

MOC CZYTANIA CO NAS WIEDZIE NA CMENTARZE | AMERYKA PRZED WYBOREM
PRAWDZIWE ZAROBKI POLITYKÓW | MIGRACJE BEZ ZŁUDZEŃ | WĄSY WAŁĘSY
FIESTA DLA DUSZ | KOGO CZYTAJĄ POLKI | PODZIEMNE RZeki **NA DNI ZADUSZNE**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 30 października – 5 listopada 2024

nr 44 (3930)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

A close-up portrait of Dorota Segda, a woman with blonde hair and blue eyes, looking directly at the camera with a slight smile. She is wearing a blue top and a dark jacket.

Dorota Segda Gdy odchodzi ktoś, kogo kochasz

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



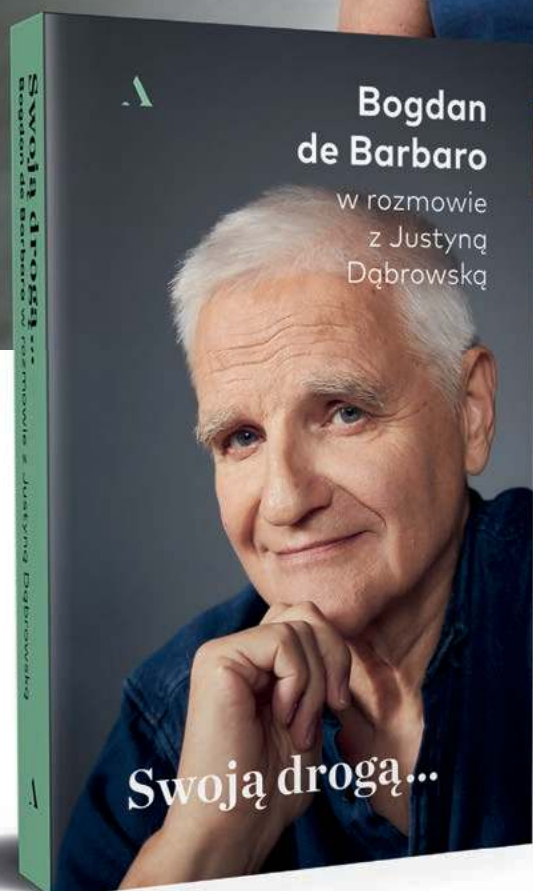
9 770041 480406

STRONY SPECJALNE

■ ARS CAMERALIS ■ PRAWO DO MIASTA



Wydawnictwo
Agora



Bogdan
de Barbaro

w rozmowie
z Justyną
Dąbrowską

Swoją drogą...

Kojące, mądre i inspirujące

ROZMOWY O TYM, CO W ŻYCIU
NAJWAŻNIEJSZE

*bliskość, cierpienie, konflikt, miłość, odwaga,
gniew, emocje, zabawa, przyjaźń,
wewnętrzne dziecko, choroba i śmierć,
religia, nadzieja*

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

PATRON
MEDIALNY



LABORATORIUM
PSYCHOEDUKACJI

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: Poza czasem i przestrzenią

JAK CO ROKU ZADUSZKI, PRZYPOMNIENIE o zmarłych. Ja akurat teraz nie potrzebuję żadnych przypomnień. W ostatnim czasie zmarły trzy najbliższe osoby: siostry, brat... Z czasem, o tych, co odeszli, można już mówić spokojnie, lecz są takie odejścia, na które nie godzimy się nigdy. Będziemy o nich rozmawiać spokojnie, ale ten spokój jest tylko przykrywką, bo rana się nie goi. Pozwólmy jej na to.



Czas sprawia, że odchodzą bliscy i w końcu my sami odchodzimy. Normalne, ale trudne do przyjęcia. Niby o tym odchodzeniu wiemy. Myślimy, że poświęcimy coraz więcej czasu bliskim, świadomi, że – powoli to do nas dociera – sami odejdziemy lub oni odejdą. Teraz pytam: kiedy? Czas poświęcamy, owszem, ludziom, ale nie tym, którym byśmy najbardziej chcieli. Błąd nie do naprawienia.

W końcu odchodzą, wierzymy, do nieba, do Boga. Co to właściwie znaczy? Z dziecinnych obrazów szybko wyrastamy i zostaje mrok tajemnicy, niewiedzy, czasem zwątpienia lub wprost negacji. Na niepokój tajemnicy odpowiadamy wiarą, ale na zwątpienie czy negację nie ma odpowiedzi. Choć może jest, bo przecież dopiero wtedy wiara jest rzeczywiście wiarą. I mówi o zbawieniu. No właśnie. Czy można mówić o kimkolwiek, że nie jest zbawiony? Nie sądzę. Chodzi o jakieś oczyszczenie? Być może. Poza czasem i przestrzenią, w świecie, którego sobie nie możemy wyobrazić. Zdumienie, że jest „życie po życiu”, poza nimi. Wszyscy tam będziemy? Niektórzy tylko? Wiem na pewno, że nasze ludzkie miary są nazbyt mizerne, by osądzać. Ciekawe, czy to życie po życiu, poza znanym nam czasem i przestrzenią, może zależeć od naszej pamięci?

Zaduszki. Dzień poświęcony zmarłym. Myśleniu o zmarłych. Modlitwie... Uświadomienie sobie, ilu ludzi (zwłaszcza jeśli żyjemy względnie długo), którzy byli nam bliscy, odeszło. Zaduszki powinny o tym przypominać. Bo zapominamy. A należy pamiętać. Sięgam pamięcią wstecz: pierwszy pogrzeb, który jako ksiądz prowadziłem, inne, niestety nie wszystkie, zapamię-

tane. Zmarli uczniowie, przyjaciele, krewni. Nigdy nie byłem ani proboszczem, ani wikarym. Odprowadzałem na cmentarz tych, którzy tego za życia chcieli, albo chciała ich rodzina. Tylu znajomych, przyjaciół i krewnych odprowadzonych...

Przed samymi Zaduszkami idziemy na cmentarz w Tyńcu. My, to znaczy redakcja „Tygodnika”. Porządkujemy groby, zamykamy, my-

jemy je, stroimy w kwiaty i znicze. Nasze groby, bo to nasi przodkowie redakcyjni. Coraz więcej z nas, pracujących w redakcji, nie znało ludzi, których groby porządkują. To normalne, czas przecież płynie, ale tamci są przecież dla nas wszystkich tutaj ważni. Ja akurat pamiętam ich wszystkich i kiedy przychodzi ten moment, kiedy już posprzątam, odpowiadam na pytania tych, którzy są teraz w „Tygodniku”, czasem od wczoraj. Dzięki nim pismo było. Ku zgorszeniu tych, którzy uważali, że lepiej milczeć, niż nie mówić wszystkiego, i oburzeniu tych, którzy nie wiedzieli, ile ingerencji cenzury miał każdy numer. Wychodził i spełniał swoją rolę. Ryzykował, więc budził szacunek. Jego ludzie wiedzieli, co znaczy „być na bruku”, kiedy nie uległo się władzy. Nie będę dziś tego opisywał, bo dziś trzeba się pomodlić, albo chociaż ogarnąć myślą tamten czas, tamtych ludzi, także tych, którzy się mylili, popełniali błędy. Myślmy o nich z miłością, nawet jeśli byli z nimi kłopoty.

Co roku jesteśmy w Tyńcu na cmentarzu, co roku porządkujemy groby. „Tygodnik” zawsze jest ten sam, ale przecież nie może być taki sam. Nikt z nas nie musi iść porządkować grobów, ale wszyscy tam idziemy. I znów przyjadą ci, którzy na tyńckim cmentarzu będą po raz pierwszy. Taka jest nasza otwarta tradycja, nasza siła. ©©

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”



Od tego numeru cena egzemplarza „Tygodnika Powszechnego” wzrośnie do 15 złotych.

Podnosimy ją, by w trudnej sytuacji na rynku mediów móc należycie dbać o jakość dostarczanych Wam treści i niezależność prezentowanych przez nas opinii.

Zapraszamy także do prenumeraty wydania papierowego i subskrypcji cyfrowych na TygodnikPowszechny.pl

Nie ćwiczymy się w **ŻAŁOBIE**. Nie mamy odwagi przetrenować jej na sucho, nim jeszcze stanie się prawdziwa. Pewnie by się dało. Być może nawet zyskalibyśmy coś dzięki temu, ale z reguły nie próbujemy. Perspektywa utraty bliskiej osoby jest wpisana w życie, nie chcemy jednak tracić go na przedwczesne żale.

DOROTA SEGDA w rozmowie z Katarzyną Kubisiowską dzieli się za to swoją żalobą po zmarłym mężu. Bez zbędnej czułości, ale i bez udawania. Buzują w tym wywiadzie uczucia najwyższej intensywności, co dziwić nie może, bo od śmierci **STANISŁAWA RADWANA** minął dopiero rok. Nie sposób oczywiście traktować tej rozmowy jako uniwersalnej odpowiedzi, w końcu żaloba i tęsknota zawsze mają wymiar wybitnie indywidualny, są w niej jednak szczerość i autentyczność, które pozwalają wierzyć, że w każdym mroku można wypatrzyć iskierkę **NADZIEI**.

W historii, którą opowiada Annie Goc poeta i pisarz **MACIEJ ROBERT**, mamy cuchnące łódzkie podziemia. Brniemy przez gęste trawy, z których nie widać dalej niż na metr, duszące opary unoszące się nad wodą barwy nieokreślonej, wreszcie tropem samej wody, która znika nagle pod ziemią, by wydostać się spod niej paręset metrów dalej, jak rzeźmieszek, który próbuje zgubić pościg. Robert prowadzi naszą reporterkę śladem **RZEKI**, która była towarzyszem jego dzieciństwa, której miasto **ŁÓDŹ** zawdzięcza nazwę i sens egzystencji, i które potem niewdzięcznie skryło ją pod ziemią, jak świadka własnej, wstydlivej młodości.

W tym numerze, związanym w oczywisty sposób z **DNIEM ZADUSZNYM**, wielu naszych autorów krąży w swoich tekstach wokół przemijania i wspomnień. Mam jednak wrażenie, że komponując całość, nie daliśmy się ponieść smutkowi. Jest nawet miejsce, w którym, jak sądzę, na Państwa twarzach zawita uśmiech: kiedy przeczytacie, w jak nieprawdopodobnych okolicznościach **LECH WAŁĘSA** trafił na osiemnastowieczny plafon. ©P



MAREK RABIJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.



27 Wasy Wałęsy
DOROTA KWIATKOWSKA

Stan wojenny. Milicja pahuje protestujących przed Zamkiem Królewskim w Warszawie, a w jego wnętrzu prof. Janusz Strzelecki rekonstruuje plafon Bacciarellego, nadając jednej z postaci rysy lidera zdelegalizowanej Solidarności.



32 Rzeka Obiecana
MACIEJ ROBERT, POETA I PISARZ

Moje miasto, Łódź, powstało dzięki rzekom. A potem się im odwdzięczyło – zakopując je.



**BOHATERKA
Z OKŁADKI**

46 Rozpaliłam ognisko
ROZMOWA Z DOROTĄ SEGDĄ:

Staś nie chciał, żebym po jego śmierci zamknęła się w żalobie. Żądał, żebym rozpoczęła nowy rozdział.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Synod zmienia Kościoły
EDWARD AUGUSTYN

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Kieszonki polskiej władzy
PIOTR ŚMIŁOWICZ *analizuje*
prawdziwe zarobki polityków

24 Migracje bez złudzeń
ROZMOWA Z MACIEJEM
DUSZCZYKIEM, WICESZEFEM
MSWIA: *Jak pomagać migrantom,*
zachowując przy tym integralność
polskiej granicy

27 Wąsy Wałęsy
DOROTA KWIATKOWSKA

■ ■ Z ODDECHEM

32 Rzeka obiecana
ANNA GOC, MACIEJ ROBERT

■ ■ WIARA

36 Zrobić na wieczne zbawienie
ANNA KORZEC *przygląda się*
działalności Fundacji Pogłębiarka

40 Ulotna pełnia
PIOTR SIKORA

42 Rzeźbiarz ciszy
ROZMOWA Z MARCINEM RZĄSĄ,
RZEŹBIARZEM

■ ■ Z ROZMOWA

46 Rozpaliłam ognisko
Z DOROTĄ SEGDA ROZMAWIA
KATARZYNA KUBISIOWSKA

■ ■ ŚWIAT

58 Smak ponownego spotkania
HONORATA ZAPAŚNIK

61 Ze śmiercią za pan brat
ROZMOWA Z KS. WIESŁAWEM
SKOWROŃSKIM *o meksykańskiej*
duchowości

MOC CZYTANIA NA DNI ZADUSZNE

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

12
Wspólnota wszystkich świętych
TOMASZ STAWISZYŃSKI ZASTANAWIA SIĘ,
CO NAS PROWADZI NA CMENTARZE

32
Rzeka Obiecana
ANNA GOC I MACIEJ ROBERT PODAJĄ
ŚLADEM PODZIEMNYCH RZEK ŁODZI

40
Ulotna pełnia
PIOTR SIKORA I JEGO KOLEJNA MEDITACJA
NA ZADUSZKI

46
Rozpaliłam ognisko
DOROTA SEGDA OPOWIADA KATARZYNIE
KUBISIOWSKIEJ O BÓLU PO STRACIE
I O TĘSKNOCIE ZA ZMARŁYM MĘŻEM

58
Smak ponownego spotkania
HONORATA ZAPAŚNIK TOWARZYSZY
OBCHODOM MEKSYKAŃSKIEGO
DNIA ZMARŁYCH

■ ■ STRONY SPECJALNE ■

52 FESTIWAL ARS CAMERALIS

79 PRAWO DO MIASTA

■ ■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
51 WOJCIECH BONOWICZ
108 OLGA DRENDĄ **109** PAWEŁ BRAVO
114 STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
DOROTA SEGDA, KRAKÓW, PAŹDZIERNIK 2024 R.
FOT. GRAŻYNA MAKARA

62 Trumienkę czy wianuszek?

MARTYNA WASIUTA:
Czechy przodują w Europie pod
względem odsetka kremacji

64 Walka na milimetry
KORESPONDENCJA MARTY
ZDZIEBORSKIEJ Z USA *na finiszu*
kampanii wyborczej

67 Café Dziura
AGNIESZKA PIKULICKA-
-WILCZEWSKA *relacjonuje sytuację*
na granicy między Syrią a Libanem

■ ■ HISTORIA

70 Obywatel Wielkiego Księstwa
TOMASZ FIAŁKOWSKI *wspomina*
Marka Karpię, założyciela Ośrodka
Studiów Wschodnich

■ ■ NAUKA

72 Ile wytrzyma człowiek?
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Jesteśmy*
znacznie mniej odporni na wysoką
temperaturę, niż dotąd uważaliśmy

76 Potwory i skarby z otchłani
MARZENA ZDANOWSKA:
Dlaczego opłaca się przenieść
górnictwo na dna mórz i oceanów?

■ ■ KULTURA

96 Kobiety z papieru
MAGDALENA NOWICKA-
-FRANCZAK: *Co czytają dziś Polki?*

100 Siedem błysków
MACIEJ MIŁKOWSKI *o podróżach*
Zbigniewa Herberta

103 Kwestia smaku
DOROTA MALINA: *Jak podnieść*
wartość prywatnej kolekcji? Najlepiej
pokazując ją w publicznym muzeum

106 Gigantomania
ANITA PIOTROWSKA *o filmie*
„Megalopolis” Francisca Coppoli

107 Przyjaciółki
LEKTOR *o książce Ewy Mańkowskiej*
„Hanna i Dorota”

■ ■ ZMYŚŁY

110 Jak żdźbła trawy
JULIA FIEDORCZUK *zaprasza na*
spacer po Nowym Jorku

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ...

... NA STRONIE

17



Słuchaj podkastów
POWSZEC.NET/PODKAST



Zapisz się na newsletter
POWSZEC.NET/NEWSLETTER

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

SYNOD ZMIENI KOŚCIOŁY

Mimo usilnych starań papieża, kilku dykasterii i wielu biskupów, by niektóre problemy wyłączyć z dyskusji, żadna z ważnych kwestii nie została pominięta w dokumencie końcowym synodu.

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

POWYŻEJ:

Papież Franciszek na wspólnym zdjęciu z uczestnikami synodu po zakończeniu obrad, Watykan, 26 października 2024 r.

SKOŃCZYŁ SIĘ SYNOD, ZACZĘŁA SIĘ synodalność – można by rzec o tym, co wydarzyło się w Watykanie, parafrazując przy okazji kilka znanych, mniej lub bardziej żartobliwych powiedzeń. Bo koniec trzyletniego procesu synodalnego to zarazem początek nowej drogi w życiu Kościołów. I nowych, znacznie trudniejszych, na niej schodów.

Zacznijmy od zaskakującej liczby mnogiej. Dokument końcowy synodu używa jej wielokrotnie, ale mówiąc o „Kościołach” nie ma na myśli katolickich Kościołów wschodnich, lecz wszystkie – diecezjalne, krajowe czy regionalne – które dotąd zwykło się określać mianem „Kościołów lokalnych”. Pominięcie przymiotnika nie jest pomyłką czy stylistycznym zabiegiem. To świadoma, przegłosowana przez synod zmiana języka, a w zamiarze – także myślenia. Wyrażająca „nową tendencję”, aby nie mówić już o jednym

Kościele powszechnym, traktowanym jak „międzynarodowa korporacja z lokalnymi oddziałami i siedzibą główną”, ale o „komunii Kościołów zjednoczonych w doktrynie” (cytaty z oficjalnej prezentacji dokumentu w Watykanie).

ZERO DECYZJI, DUŻO ZALECEŃ | Doceniając znaczenie tego i podobnych zabiegów lingwistycznych – dokument rzeczywiście napisany został „nowym językiem”, by kształtować „nową mentalność” – warto jednak zapytać, czy zmieni się coś poza słowami.

O tym, że synod nie będzie podejmował żadnych decyzji, wiedzieliśmy od roku, więc nie ma powodu, by ponownie składać wyrazy rozczarowania. Dokument końcowy zbiera w 155 paragrafach doświadczenie długiej wędrówki – w parafiach, diecezjach, krajach i kontynentach – zakończonej dwoma miesią-

camy obrad plenarnych, przedzielonych rocznymi konsultacjami. Dostajemy więc 155 zaleceń, czasem mglistych, do rozstrzygnięcia w przyszłości, czasem konkretnych, ze wskazaniem osoby czy instytucji, która powinna je zrealizować. Dodajmy – zaleceń dużo odważniejszych, niż można się było spodziewać. Bo mimo usilnych starań papieża, kilku dykasterii i wielu biskupów, by niektóre problemy, jakie w czasie tej drogi się pojawiły, wyłączyć z dyskusji, żadna z ważnych kwestii nie została w dokumencie pominięta.

Świadczą o tym zresztą wyniki głosowania. Mocny sprzeciw delegatów wzbudzały takie tematy, jak nowa formuła synodu, *sensus fidei* (czyli dana łaską chrztu Ludowi Bożemu intuicja w sprawach wiary i moralności), otwarcie się na osoby nieheteronormatywne, różnorodność Kościołów, zwiększenie udziału świeckich w posługach, podejmowaniu decyzji i wyborze biskupów, uznanie roli doktrynalnej i jurysdykcyjnej konferencji episkopatów krajowych i regionalnych (decyzje tych gremiów mają być wiążące dla biskupów diecezjalnych niczym decyzje synodów), transparentność we wszystkich sferach działania Kościołów oraz – *last but not least* – zwiększenie roli kobiet w liturgii, duszpasterstwie, zarządzaniu i formacji księży.

KTO WYGRAŁ, KTO PRZEGRZAŁ

! Synod „wzywa do pełnego wdrożenia wszystkich możliwości zwiększenia roli kobiet, przewidzianych już obowiązującym prawem, zwłaszcza w miejscach, w których to się wciąż nie dokonało. Nie ma powodów, by unie możliwiać kobietom pełnienie ról przywódczych w Kościele: to, co pochodzi od Ducha Świętego, nie może zostać zatrzymane. Kwestia dostępu kobiet do posługi diakonickiej również pozostaje otwarta. Potrzebne jest dalsze rozeznanie w tym względzie” – mówi artykuł 60. dokumentu końcowego, który otrzymał najwięcej, bo aż 97 głosów przeciwnych.

Jego obecność i kształt świadczą nie tylko o wadze tematu, ale też o porażce prefekta Dykasterii

Nauki Wiary, kard. Victora Manuela Fernández, który wielokrotnie zapewniał, powołując się na papieża, że „sprawa diakonatu kobiet jeszcze nie dojrzała”. Synod zdecydował się na inne słowa, kładąc akcent na możliwość zmiany nauczania Kościoła w tej kwestii. Niewiele, ale robi różnicę.

Fakt, że Franciszek zaakceptował taki zapis, wraz ze wszystkimi pozostałymi, rezygnując z przygotowania własnego, postsynodalnego dokumentu, jak każe zwyczaj, świadczy o samodzielnej – niepochochącej tylko z nadania papieża – sile i randze tego synodu. Zapowiedziana publikacja dokumentu końcowego z podpisem papieża będzie oznaczała włączenie go do magisterium Kościoła.

SYNODALNOŚĆ W 3D | Decentralizacja, deklerykalizacja i deliberacja (nowe słowo, które zrobiło karierę w ostatnich dniach synodu, na równi z „rozeznaniem”) to niemal synonimy synodalności. Do tego jeszcze równość i różnorodność Kościołów lokalnych, które mogą, na wzór wschodnich, różnić się liturgią, dyscypliną, zwyczajami, a pozostawać w jedności doktrynalnej z innymi Kościołami i biskupem Rzymu.

Po trzech latach udało się więc opracować pakiet zaleceń oraz metodę, która pomoże w ich realizacji.

– Wiele zmian można wprowadzić natychmiast. Choćby te, które dotyczą roli świeckich – prawo kościelne zezwala na ich uczestnictwo w organach decyzyjnych (synodach, radach ekonomicznych, duszpasterskich, a nawet kapłańskich) – mówi „Tygodnikowi” kard. Mario Grech, sekretarz generalny synodu. – Biskup może też, już dziś, delegować osobę świecką, mężczyznę lub kobietę, na nadzwyczajnego szafarza chrztu, a nawet do błogosławienia sakramentu małżeństwa. Tyle że nikt z tego prawa nie korzysta – dodaje kardynał, podkreślając, że ważniejsza od reformy przepisów i struktur jest zmiana mentalności i atmosfery.

Synodalność to droga – mawia papież, sięgając do greckiego źródłosłowu. Ta, która się zaczęła, będzie długa. Jak od słów do czynów. ©P



Rosyjskie paczki

AGATA KAŹMIERSKA

BYŁY ICH CZTERY, NA POZÓR CZTERY ZWYKŁE PACZKI. Tę, która 21 lipca zapaliła się w bazie firmy kurierskiej w podwarszawskim Jabłonowie, nadano kilka dni wcześniej w Wilnie. Tego samego dnia ta sama osoba nadała jeszcze trzy inne paczki. Wszystkie z tą samą zawartością: poduszką do masażu, tubkami z kosmetykami i erotycznymi gadżetami. W poduszkach były zapalniki czasowe, w tubkach zaś substancja łatwopalna.

W Lipsku jedna z tych paczek zapaliła się tuż przed zapakowaniem jej wraz z innymi przesyłkami do samolotu. Niemieckie służby uważają, że do katastrofy w powietrzu nie doszło tylko dlatego, że samolot transportowy miał opóźnienie. O włos od tragedii mogło być też w brytyjskim Birmingham, gdzie kolejna przesyłka zapaliła się wkrótce po tym, jak firma kurierska przejęła ją po wypakowaniu z samolotu. Czwartą paczkę – jedyną, która się nie spaliła – przechwyciły polskie służby.

„Gazeta Wyborcza”, która jako pierwsza opisała tę operację, poinformowała, że w Litwie, Polsce i Hiszpanii zatrzymano mężczyzn, którzy odpowiadali za przewóz, przygotowanie i nadanie tych paczek: zwerbowani w internecie, nie mieli albo prawie nie mieli ze sobą kontaktu, żaden nie wiedział, co robi kolejny ani jaki ma być finał akcji, w której biorą udział. Opłaceni byli kryptowalutą (bitcoinami). Wiele wskazuje, że nie byli wyszkolonymi oficerami służb ani ich stałymi agentami. Gdy wpadli, w Moskwie pewnie nikt po nich nie płakał. Podobnie jak po kilkudziesięciu innych sabotażystach, których w ostatnich miesiącach łapano prawie w całej Europie.

W odpowiedzi na jedną z rosyjskich operacji na naszym terytorium Polska zdecydowała kilka dni temu o zamknięciu konsulatu Federacji Rosyjskiej w Poznaniu. To jednak nie wystarczy.

Potrzeba solidarnej i stanowczej odpowiedzi całej Europy, bo na razie jesteśmy w defensywie. A prędzej czy później nasze szczęście może się skończyć.

W Europie dostarczanych jest 16-18 miliardów przesyłek rocznie. Organizując operację z paczkami, Kreml wysłał jasny sygnał, że tą drogą może boleśnie uderzyć praktycznie wszędzie. I to już jest jego sukces. Jednocześnie rosyjskie służby przetestowały, czy mogą w taki sposób organizować ataki. Paczki nadane w Wilnie nie wyglądały podejrzanie: dwie przed załadowaniem do samolotów zgodnie z procedurami prześwietlono skanerami, otwarto i sfotografowano. Nie wzbudziły podejrzeń.

Następnym razem zapalniki czasowe mogą być ustawione dokładniej. ©



Kardynał „za”, a nawet „przeciw”

ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ NIE BĘDZIE SIĘ WTRACAŁ w prace legislacyjne parlamentu” nad ustawą o związkach partnerskich – powiedział kard. Kazimierz Nycz w Pol-sat News. Choć jednocześnie dodał, że Kościół „wyrazi w jakimś sensie swoją opinię”. Dopytywany, czy poprze projekt ministery Katarzyny Kotuli (kompromisowy, bo wykluczający adopcję dzieci oraz ceremonię w urzędzie stanu cywilnego), metropolita warszawski stwierdził, że „jakaś tolerancja wobec poglądów ludzi”, którzy chcieliby związku innego niż małżeństwo, musi być „ze strony wierzących i Kościoła”.

Rzecznik prasowy kardynała i archidiecezji warszawskiej już następnego dnia ogłosił: „Wypowiedź kard. Kazimierza Nycza o »związkach partnerskich« nie może być w żaden sposób interpretowana jako wyraz poparcia dla jakiegokolwiek projektu ustawy o tzw. »związkach partnerskich« ani też rozumiana jako przychylne stanowisko Kościoła w tej sprawie”. I przypomniał, że wybór takiego życia przez katolików „jest grzechem”. Skąd ten krok do przodu i dwa do tyłu?



Wypowiedź kardynała można interpretować jako trzeźwą diagnozę: w doraźnej walce politycznej głos Kościoła nie jest już brany pod uwagę – każda próba ingerencji nie tylko nie przynosi zamierzonych skutków, lecz wywołuje silną reakcję antykle-rykańską. Biskupi zatem nie będą starali się wpływać na wynik procesu legislacyjnego.

Jest całkiem możliwe, że prywatnie metropolita warszawski uznaje prawo osób homoseksualnych do życia w sposób, który uznają za najlepszy. Jego publiczne domaganie się o tolerancję dla nich mogło być ważnym głosem w debacie społecznej. Ale kard. Nycz już wcześniej pokazywał, że nie chce wychodzić przed szereg i przecierać nowych szlaków. Wolał zatem i tym razem zniwelować wrażenie, jakie jego wypowiedź zrobiła, przewidując, że nie spodoba się ona innym biskupom. I się nie mylił.

Rzadko kiedy polscy biskupi publicznie się wzajemnie krytykują. W dwa dni po wypowiedzi metropolity warszawskiego arcybiskup krakowski podczas mszy wskazał, że jest ona niezgodna z obecnym nauczaniem Kościoła. ©P

NA PUNKTY

PREZYDENT

Władysław Kosiniak-Kamysz zaproponował wystawienie przez koalicję rządową wspólnego kandydata na prezydenta, ale Donald Tusk odrzucił ten pomysł: „partie wystawiają najlepszych kandydatów, nie atakujemy swoich w I turze, wszyscy popieramy (jednoznacznie!) tego, kto przejdzie do II tury” – nakreślił swój scenariusz na portalu X.

PARTNER

W koalicji nie ma jednności również co do związków partnerskich: choć ich wprowadzenie popiera niemal 60 proc. Polaków, w PSL nie podoba się m.in. legalizacja związków osób tej samej płci, pozwalająca na przysposobienie dzieci.

PIŁKARZ

Dzieli nas również ocena gry Roberta Lewandowskiego w meczu z Realem. Zdobył dwa gole, ale mógł więcej: trudno się zgodzić z oceną premiera, że to jeden z najlepszych występów piłkarza.

PODEJRZANY

Nie wszystkim Polakom za granicą idzie dobrze: podejrzany w sprawie nieprawidłowości w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych Paweł Sz. został zatrzymany w Dominikanie. ©P



Smoleńsk: kilka prostych prawd

PIOTR ŚMIŁOWICZ

ANTONI MACIEREWICZ JUŻ od 2010 r. wiedział, jaka jest prawda o katastrofie smoleńskiej. Jarosław Kaczyński również. Jednak obaj zdecydowali się przez całe lata propagować kłamstwo na ten temat. Pierwszy był wykonawcą, drugi zleceniodawcą.

Można nawet zrozumieć ich motywy. Gdyby Kaczyński zaakceptował prawdę, że katastrofa smoleńska była wypadkiem komunikacyjnym, wynikającym z bałaga-

nu, łamania procedur i nie-szczęśliwego splotu okoliczności – odpowiedzialność za to spadałaby pośrednio na jego brata Lecha, jako głównego dysponenta feralnego lotu. A na to nie mógł się zgodzić. Lech musiał pozostać w pamięci jako nieskazitelny heros, który został zdradziecko zamordowany, niczym oficerowie w Katyniu (pamięć których chciał uczcić). Bo skoro był prawdziwym polskim patriotą, to nie powinien był zgi-

nać ot tak, przez przypadek. Nie zasługiwał na to.

To główna przyczyna, dla której przez całe lata Kaczyński świadomie propagował kłamstwo na temat katastrofy. Akceptując działalność fabryki tego kłamstwa, jaką były kolejne ciała, na których czele stał Antoni Macierewicz – najpierw zespół parlamentarny, potem podkomisja MON. Ostatnie ustalenia resortu obrony w sprawie działalności Macierewicza są tylko formal-

nym potwierdzeniem tego, co od dawna było oczywiste dla uczciwych ludzi. Bo prawda o katastrofie była dostępna dla wszystkich, którzy chcieli ją poznać. Niezależnie od tego, że „Tusk oddał śledztwo Rosjanom”.

Czy politycy, którzy w tak jawny i cyniczny sposób posługują się tak gigantycznym kłamstwem, zasługują na moralną ocenę? Owszem. Są kłamcami. Czy partia, na której czele stoją, a której członkowie takie praktyki akceptują, może być popierana przez ludzi przyzwoitych, kierujących się wartościami? Na to trzeba odpowiedzieć we własnym sumieniu. ©P



Razem już osobno

MAREK KĘSKRAWIEC

JESTEŚMY WŁAŚNIE ŚWIADKAMI PRZESILENIA w ciągnącym się sporze na linii Nowa Lewica – Partia Razem, którego nie rozumiało wielu wyborców. Wygląda na to, że ideowy radykalizm przegrał z życiową praktyką.

Razem zawsze walczyło o związki partnerskie, prawo do aborcji i zakaz pushbacków na granicy, a w sferze nakładów publicznych: o większe fundusze na ochronę zdrowia i budżetówkę, wyższe podatki dla bogatych oraz uspołecznione formy budownictwa mieszkaniowego. Tymczasem zarówno w KO, jak i w Trzeciej Drożce wiele z tych postulatów odrzucano albo realizowano w „przygaszonej” formie. Dlatego Razem, będąc co prawda w Sejmie częścią klubu lewicy, tak naprawdę pozostawało poza koalicją rządzącą, nie biorąc stanowisk w ministerstwach, a ostatnio nie popierając też projektu budżetu na 2025 r.

Sytuacja była o tyle dziwna, że silniejsza część klubu parlamentarnego, czyli Nowa Lewica Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia, mimo cyklicznych kłótni (zwłaszcza z PSL), stała się trwałą częścią rządu. Piastuje w nim ważne funkcje, a nawet dorobiła się już swoich afer, choćby z obsadzaniem stanowisk w placówkach naukowych. Dla Partii Razem było to jak wirus wywołujący rozkład w jej własnych szeregach.

Fracja skupiona wokół Adriana Zandberga i Marceliny Zawiszy uważała, że lewica nie realizuje programu, płacąc w sondażach rachunki za nie swoje grzechy.

Tymczasem wokół wicemarszałkini Senatu Magdaleny Biejat rosła inna grupa, przekonana, że Razem staje się „zakładnikiem czystości ideowej”, ale w efekcie żadnej sprawy nie popycha do przodu, gnuśniejąc w wygodnych fotelach komentatorów i pozwalając, by liberalna KO przejmowała kolejne lewicowe ideały. I dlatego tuż przed kongresem partii, o którym wiadomo było, że zdecyduje o jednoznacznym przejściu do opozycji, ok. 30 działaczy (w tym pięć parlamentarzystek) zdecydowało się na secesję. Mają rzekomo nie przystępować do Nowej Lewicy, ale to raczej kwestia czasu, zwłaszcza że Biejat planuje zaważczyć z ministrami pracy Agnieszką Dziemianowicz-Bąk o nominację tego ugrupowania w wyborach prezydenckich.

Strategia ciekawa, choć ryzykowna. Daje szansę na większą sprawczość, ale też grozi rozpuszczeniem w uniwersum Tuska, zwłaszcza jeśli ostatecznie koalicja wybrałaby wspólnego kandydata na prezydenta. ©P



Gruzja żegna się z Europą?

WOJCIECH JAGIELSKI

RZĄDZĄCA OD 12 LAT PARTIA Gruzińskie Marzenie wygrała po raz czwarty wybory, ale jej dalsze rządy mogą sprawić, że Gruzja jeszcze bardziej oddali się od Zachodu.

Centralna komisja wyborcza ogłosiła, że w wyborach do parlamentu z 26 października – okrzykniętych najważniejszymi, odkąd kraj odzyskał w 1991 r. niepodległość – Marzyciele zdobyli ponad połowę głosów. Ich zwycięstwo nie jest niespodzianką, ale jego rozmiary już tak: większość prognoz zapowiadała, że większość zdobędzie przymierze czterech partii opozycyjnych.

Przekonywały one Gruzinów, iż pod rządami Marzycieli i ich wodza, oligarchy Bidziny Iwaniszwilego, kraj zrezygnuje z marszu ku Zachodowi i wróci pod skrzydła Rosji, dawnej metropolii kolonialnej. Niespełna rok temu UE przyznała Gruzji status kandydatki do akcesji. Dziś Unia ostrzega, że Marzyciele sabotują zachodnie sankcje wobec Rosji (Gruzja nieźle na tym zarabia), że wprowadzają wzorowane na Rosji prawa i polityczne obyczaje, i że pod ich rządami kraj nie zostanie przyjęty do Unii ani NATO.

Marzyciele, wspierani przez Cerkiew, grozili, że jeśli do władzy dojdzie opozycja, Gruzja zostanie wciągnięta w konflikt z Rosją przez

zachodnią „globalną partię wojny”. Ich wyborcy uważają najwyraźniej, że bardziej opłaca się zwolnić marsz na Zachód, byle nie narazić się Rosji. Ta zaś nie kryła życzliwości dla Marzycieli, a przed wyborami zniosła dla Gruzinów wizy. Teraz jako pierwszy z gratulacjami pospieszył premier Orbán, który zaraz po wyborach przyjechał do Tbilisi z wizytą. Marzyciele uważają go, a także Trumpa, za swoich politycznych guru.

Przywódcy opozycyjnego sojuszu, a także prezydent Salome Zurbiszwili nie uznali wyników i ogłosili, że Marzyciele i Rosja sfałszowali wybory przy pomocy zastosowanych po raz pierwszy elektronicznych maszyn do głosowania. „Nie uznaję ich, bo oznaczałoby to nową podległość Gruzji wobec Rosji” – oświadczyła Zurbiszwili i wezwała do protestów.

Wszystko to zapowiada pogłębienie rozbratu Gruzji z Zachodem albo kolejną niespokojną jesień. Te w Gruzji bywają burzliwe: w 1991 r. bunt przeciw rządowi pierwszego prezydenta Zwiada Gamsachurdii doprowadził do wojny domowej, a w 2003 r. sfałszowane wybory wywołały uliczną rewolucję róż. ©P

O sytuacji w Gruzji słuchaj także w podkaście Jagielski Story.

Gruziński premier Irakli Kobachidze oddaje głos w lokalu wyborczym podczas wyborów parlamentarnych. Tbilisi, 26 października 2024 r.



SHAKH AIVAZOV / AP / EAST NEWS

Nie przestajemy czytać, przestajemy płacić za książki

CZYTELNICTWO ■ Wzrost cen produktów i usług sprawia, że szukamy oszczędności w codziennych wydatkach. Jak pokazuje najnowszy raport Biblioteki Analiz na temat kondycji polskiego sektora książkowego, najszybciej rezygnujemy z zakupów w księgarni. Na książki i inne wydawnictwa (bez wydawnictw przeznaczonych do nauki) wydajemy średnio w ciągu całego roku tylko 23,76 zł (o 11,6 proc. mniej w porównaniu z 2021 r.).

To jednak nie znaczy, że przestajemy czytać. Rezygnując z odwiedzin w księgarniach stacjonarnych, chętniej korzystamy z bibliotek. Mimo że wypożyczających przybywa, problemem rynku książki pozostaje brak regulacji dotyczący zakupów bibliotecznych. Pracownicy bibliotek zamawiają książki głównie w hurtowniach lub dużych sklepach internetowych: OSDW Azymut (44,6 proc. wskazań), Bonito.pl (34,8 proc.), Platon (29,9 proc.). Z oferty lokalnych księgarni korzysta tylko 15,5 proc. bibliotek publicznych. Bezpośrednio u wydawców zaopatruje się tylko co dziesiąta placówka, choć takie rozwiązanie byłoby dla sektora książkowego o wiele korzystniejsze.

Biblioteki okazują się atrakcyjne również z powodu udostępniania swoim czytelnikom oferty książek elektronicznych: e-booków, audiobooków i synchrobooków. Jako dostawca oferty subskrypcyjnej od lat prym wiodzie Legimi (85,6 proc. wszystkich zakupów), wobec którego kilkanaście dni temu poważne zarzuty dotyczące nieprawidłowych rozliczeń zgłosili najwięksi wydawcy w Polsce. Drugie miejsce w zakupach bibliotecznych zajmuje IBUK Libra (20,6 proc. zamówień), a trzecie – Empik Go (18,4 proc.).

Wzrost zainteresowania e-książkami potwierdzają także wyniki finansowe firm dostarczających swoje usługi do wypożyczalni. Przychód Legimi wzrósł w minionym roku (w porównaniu z 2022 r.) o 38 proc., osiągając poziom 87 mln zł. To najlepszy wynik w historii firmy (choć warto zaznaczyć, że w wyniku konfliktu z wydawcami ceny akcji Legimi w ostatnich dniach obniżyły się o 55 proc.). Liczba klientów usługi abonamentowej Legimi na koniec 2023 r. wynosiła 217 tys. (wzrost o 36 proc.), a w ofercie było 515 tys. książek w dostępie abonamentowym (w Polsce i w Niemczech).

Ankietowani przez Bibliotekę Analiz wydawcy i bibliotekarze zwracają uwagę, że mimo składanych przez władze obietnic, wciąż nie ma w Polsce żadnej spójnej, długofalowej i wystarczająco szeroko adresowanej polityki wobec sektora książkowego. © MONIKA OCHEŃDOWSKA

Po co Kimowi ta wojna?

KOREA PÓŁNOCNA ■ Nie ustają sensacyjne doniesienia o północnokoreańskim żołnierzach, którzy wkrótce mieliby walczyć przeciw Ukrainie. Według prezydenta Zełenskiego nawet 12 tys. żołnierzy szkoli się na rosyjskim Dalekim Wschodzie; mają trafić do obwodu kurskiego, gdzie Ukraińcy zajmują niewielki kawałek terytorium Rosji.

Informacje o Koreańczykach z Północy przebywających na terenie Syberii potwierdzają udostępniane materiały, np. film, na którym widać azjatyckich żołnierzy otrzymujących ekwipunek. Były wprawdzie opinie, że mogą to być obywatele Rosji z tamtejszej koreańskiej mniejszości. Jednak na nagraniu słychać – co potwierdza autor tego tekstu – rozmowy po koreańsku z północnokoreańskim akcentem.

Choć siły te są raczej niewielkie, mają znaczenie dla zmęczonej rosyjskiej armii. Mogą doprowadzić do przetasowań na linii frontu – mówi „Tygodnikowi” Anton Sokolin, ekspert portalu NK News, który specjalizuje się w tematyce obu Korei. Sokolin, zajmujący się relacjami rosyjsko-północnokoreańskimi, dodaje: – Pojawiały się też doniesienia o śmierci oficerów z KRLD w Donbasie, jednak najprawdopodobniej ich rola sprowadzała się tam do kwestii zaplecza i inżynierii wojskowej. Jeśli Ukrainie uda się pokazać zatrzymanych żołnierzy z KRLD, będzie to przełom.

Po co Kim Dzong Un wysłał żołnierzy na tę wojnę? Obecny moment

to dla niego sytuacja typu *win-win*: taka, na której może jedynie wygrać. Po pierwsze, przed inwazją Rosja musiała pilnować się z przestrzeganiem międzynarodowych sankcji nałożonych na Koreę Północną, tymczasem dziś są one przez Moskwę otwarcie łamane. Po drugie, większe zaangażowanie w wymianę z Rosją rozbija chiński monopol na Koreę. Pjongjang desperacko potrzebuje innych partnerów niż Pekin – choćby po to, by poprawić swoją pozycję w relacji z Chinami. Dziś niemal 98 proc. handlu zagranicznego Korei Północnej to handel z ChRL.

Po trzecie, udział w wojnie na Ukrainie poprawia militarne ambicje reżimu Kima. Nie tylko uzasadnia jego dalsze zbrojenia, ale uderza w Koreę Południową i to w chwili, gdy relacje Północy z Południem są najgorsze od kilkunastu lat.

Jeżeli obecność północnokoreańskich żołnierzy na froncie zostanie potwierdzona, Seul znajdzie się w trudnej sytuacji. Południe unikało dotąd zaangażowania w ten konflikt. Jednak w tle obecnych wydarzeń pojawiają się w Seulu głosy, by wysłać dla Ukrainy własną broń. Wprawdzie wciąż silna jest tu „frakcja” zachowawcza, która boi się eskalacji międzykoreańskiego konfliktu, jednak to może się zmienić. © ROMAN HUSARSKI

Autor pracuje w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ, specjalizuje się w tematyce koreańskiej.



Przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un (z prawej) w strategicznej bazie rakietowej w nieujawnionej lokalizacji w Korei Północnej.

Maria Halber laureatką 10. edycji Nagrody Conrada

LITERATURA ■ Trzydzieści lat temu nastoletnie czytelniczki przeglądały się w bohaterkach „Panny Nikt” Tomka Tryzny. Popularność powieści o losach dziewcząt dorastających w czasach transformacji (sfilmowana przez Andrzeja Wajdę) jest dziś dowodem na to, jak bardzo potrzebowałyśmy rozpoznać się w swoich literackich odpowiednikach. Tryzna przedstawiał losy mieszkanki dolnośląskiej wsi, która niespodziewanie przeprowadza się do miasta. Ale – symbolicznie – zobrazował też sytuację, w której słabsi stają się atrakcyjni dla sprawujących władzę: można im wiele obiecać, niekoniecznie dotrzymując słowa. „Panna Nikt” to historia uwiedzenia i manipulacji, choć dla wielu ówczesnych nastolatek była to opowieść o intensywności uczuć, które w pewnym momencie życia trudno zrozumieć.

Dziś młodym czytelniczkom dużo łatwiej jest znaleźć w książce ulubioną bohaterkę – literatura młodzieżowa zdomino-



ALICJA RZEPA / KBF

wała rynek książki. Sukces prozatorskiego debiutu Marii Halber, choć nie ma z gatunkiem Young Adult wiele wspólnego, zdaje się być odbiciem tej tendencji. Dorosłe czytelniczki „Panny Nikt” wracają podczas lektury „Strużek” do czasów młodości, próbując zrozu-

MARIA HALBER
laureatką Nagrody
Conrada 2024
za książkę „Strużki”.
Gala Festiwalu Conrada,
Kraków,
27 października 2024 r.

mieć, w jaki sposób kluczowe kiedyś relacje i wydarzenia wpłynęły na to, kim dzisiaj jesteśmy. Dlaczego właśnie tak potoczyły się nasze losy? Czy historię można by napisać inaczej? Na ile jesteśmy odpowiadalne za to, kim się stałyśmy? Halber – podobnie jak niegdyś Tryzna – nie ucieka w swojej książce od kwestii społecznych. Przeciwnie, zderza młode kobiety z wymaganiami dorosłości, towarzysząc im podczas wyprawy we współczesną, rozczarowującą je Polskę. Bohaterki „Strużek” wychodzą z kokonu dzieciństwa, by przekonać się, że składane im obietnice nie mają pokrycia.

Niemal co drugi Polak żyje dziś w tzw. sferze niedostatku, czyli poniżej minimum socjalnego. Nierówności edukacyjne skutkują nierównym dostępem do wykształcenia i pracy. Literatura, jako barometr przemian, jakiś czas temu dostrzegła to, co raportują dziś badacze i media. Ale w najbliższym czasie możemy spodziewać się jeszcze silniejszego sprzęgnięcia Bildungsroman z raportem o życiu w świecie nierównych szans i rozwarstwiającego się społeczeństwa. „Strużki” Marii Halber to jedna z pierwszych powieści dających wgląd w towarzyszące temu emocje.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Nadchodzi elektrorolnictwo

PRZYSZŁOŚĆ ■ Ewolucja procesu fotosyntezy, dzięki któremu rośliny przetwarzają energię słoneczną w chemiczną, pozwalającą im (oraz roślinożercom) rosnąć i rozmnażać się, zmieniła historię życia na naszej planecie. Bez wytwarzających cukier ze światła, wody i dwutlenku węgla roślin zerwałyby się wszystkie łańcuchy pokarmowe i sieci zależności w przyrodzie.

Do dziś, by wykarmić 8 mld ludzi zamieszkujących Ziemię, w oparciu o fotosyntezę wytwarzamy rocznie 11 mld ton żywności. Ten proces nie jest jednak wydajny – rośliny przetwarzają tylko niewielką część docierającej do nich ener-

gii słonecznej. Globalna produkcja rolnicza wymaga wykorzystania 48 mln km kwadratowych – aż 44 proc. powierzchni lądowej Ziemi nadającej się do zamieszkania.

Trudno więc się dziwić, że w perspektywie rosnącej liczby ludności i zmian klimatycznych, które ograniczą ilość dostępnych terenów uprawnych, naukowcy poszukują sposobów na poprawienie wydajności fotosyntezy (manipulując genami odpowiadającymi za szlaki metaboliczne w roślinach) lub... zastąpienie jej innym procesem. Tą drugą drogą postanowili pójść Bradie S. Crandall z Uniwersytetu Waszyngtona w St. Louis i współpracownicy, którzy ogłosili na łamach czasopisma „Joule” narodziny elektrorolnictwa.

Idea jest prosta: w procesie elektrolizy (wykorzystując energię elektryczną) można z dwutlenku węgla i wody otrzymać

związki złożone z wodoru, węgla i tlenu – m.in. etanol i octan. Te związki można następnie dostarczać roślinom w warunkach hydroponicznych, a one wykorzystują je do wzrostu. Jak przekonują autorzy, elektrorolnictwo ma wiele zalet. Nie wymaga światła. Zmniejsza zapotrzebowanie roślin na wodę o 95 proc. I jest bardzo wydajne: pozwoliłoby zmniejszyć wykorzystanie terenów rolniczych nawet o 90 proc. „Zaoszczędzony” ład, uważają autorzy, można by przeznaczyć na lasy, które pochłoną dwutlenek węgla z atmosfery.

Nawet jeśli wszystko brzmi dobrze, to na razie elektrorolnictwo jest nieopłacalne. Autorzy nie potrafili nawet oszacować jego kosztów. Ale już teraz można je wykorzystać tam, gdzie fotosynteza nie wystarcza – np. w misjach kosmicznych.

©© ŁUKASZ KWIATEK



TEMAT
TYGODNIKA

WSPÓLNOTA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Czy to polski romantyzm, czy katolicyzm,
czy pełna ofiar historia, czy może martyrologia narodowa?
Żadna odpowiedź nie wydaje się satysfakcjonująca.
Co nas prowadzi na groby 1 listopada?

TOMASZ STAWISZYŃSKI



Cmentarz Bródnowski w Warszawie

TOMASZ PACZOS / FOTOGRA

→ DANE I SONDAŻE KORESPONDUJĄ Z WYNIKAMI OBSERWACJI uczestniczących, które prowadzi wielu z nas. Listopadowa frekwencja na polskich cmentarzach wcale się nie zmniejsza. Przemiany cywilizacyjne, światopoglądowe, polityczne – w Polsce i na świecie – nic w tym względzie nie zmieniają. Ani wojny, ani pandemiczne, ani zanik żałoby w zachodnich społeczeństwach, ani wypieranie śmierci z powszechnej świadomości. Podobnie kryzys wiary, kryzys Kościoła, kryzys wspólnoty czy demokracji. W ogóle żaden kryzys, żadna katastrofa, żadne kulturowe trendy i procesy nie osłabiają naszej potrzeby spotkania ze zmarłymi na początku listopada, w dniu Wszystkich Świętych.

Co nas tam tak przyciąga?

Odwiedzający i odwiedzani

Z dziecięcych wizyt na cmentarzach pamiętam głównie zimno, jesienne brzozy, czerwienie i pomarańcze, setki, tysiące zniczy, ich bijący w niebo blask. I te ciągnące uliczkami, alejami tłumy. Niekończące się potoki ludzi, wesołych i smutnych, rozgadanych i milczących, energicznych i powolnych, idących sprężystym krokiem i powolnych, drepających, przygarbionych. Kobiet, mężczyzn, dzieci, starych, młodych, małych, dużych, bogatych i biednych. Tak bardzo od siebie różnych, a zarazem połączonych wspólnym celem, jednym kierunkiem. Przynajmniej tego dnia.

Pamiętam też uporczywą, powracającą wciąż (także dzisiaj, także teraz) myśl: że przecież my, odwiedzający, już wkrótce nieuchronnie staniemy się odwiedzanymi. Już wkrótce inni ludzie będą chodzić po tych zaułkach, zapalać znicze, wspominać zmarłych. Wkrótce o nas, o mnie, będą traktować słowa: „Nie ma mnie i nie ma mnie / I nigdy w życiu mnie nie będzie” (to Tuwim w pięknym wierszu „Berlin 1913”, na który natknąłem się kiedyś w eseju zmarłego w kwietniu Zbigniewa Mikołejki). I że 1 listopada, rok w rok, w przedziwny sposób ujawnia się jakaś prawda o życiu i śmierci. O ich nierozłącznym splocie. O tajemniczym cyklu, którego wszyscy – ci wciąż jeszcze żywi, ci już umarli – jesteśmy częścią.

Czy nie taki jest, zawsze był, sens wszelkich rytuałów i świąt? Ujawnienie jakiejś fundamentalnej prawdy, której za pomocą symboli, mitów i wynikających z nich gestów nadajemy metaforyczną formę? Prawdy, o której zazwyczaj, porywani obowiązkami i troskami codziennego życia, nie pamiętamy? Umyka nam ciągle, rozmywa się, rozpływa w banalnych powtarzalnościach. Owszem, czasami uderza i staje wprost przed oczami. Na przykład w chorobie, wypadku, niespodziewanej albo spodziewanej stracie. Dopóki jednak nie uderzy, dopóty da się ją ignorować.

Co nas czeka

Wyobrażamy więc sobie, że już tak będzie, jak jest. Że kres to nieledwie idea, abstrakcja, fikcja. Niewykluczone zresztą, że – tak twierdził choćby Ernest Becker, autor klasycznej już pracy „The Denial of Death” (1973) – inaczej się nie da. Wciąż myśląc o śmierci, nie byłibyśmy w stanie w ogóle funkcjonować. Tymczasem idąc raz w roku na cmentarz, wspominając zmarłych, zapalając znicze, uświadamiamy sobie – być może na krótko, lecz za to wyraziście – że już wkrótce również my będziemy tu leżeć. Również my zmienimy się we wspomnienie

(„Zostanę w liście, zostanę w śnie” – to znowu Tuwim). I właśnie wówczas, w tym przeblasku – stajemy się, przynajmniej na chwilę, prawdziwą wspólnotą. Kierujemy się bowiem ku czemuś, co poprzedza wszelkie podziały. Ku jakiejś bazowej rzeczywistości, kosmicznemu porządkowi, z którego nie wiadomo dlaczego wyłonił się tylko na chwilę, i który nie wiadomo dlaczego w końcu nas pochłonie.

Co nas wtedy czeka? Czy w ogóle cokolwiek? Czy naprawdę – jak podszeptuje nauka – wszystko jest tylko ślepa gra materii? Sterowanych siłami fizyki i biologii cząsteczek, które na mgnienie oka układają się w naszą osobowość, myśli, emocje, biografie? A potem rozpraszają w przestrzeni i nigdy nie wracają do tej samej konfiguracji? Czy też może działa gdzieś pod spodem – albo wewnątrz – jakaś niewidzialna zasada? Duchowa tkanka, trwalsza niż wszelkie materialne poruszenia? No bo jak to tak? Tyle zaangażowań, poruszeń, wzlotów, myśli, wysiłków, karier, książek, filmów, podróży, miłości, przyjaźni, komunii dusz – a potem już nic, nigdy więcej, pustka, nicość („I nigdy w życiu mnie nie będzie”)?

Jeśli cokolwiek jeszcze w dzisiejszym świecie wywołuje tego typu pytania, to właśnie zetknięcie ze śmiercią. Z tym, co nieuchronne, nieodwołalne i absolutne. Z tym więc, czego współczesna kultura znać nie chce. Od czego się z lękiem lub wstrętem odwraca, co przenosi za szpitalne parawany. Albo definiuje jako karę za nowoczesne grzechy: złą dietę, nieodpowiednią suplementację, niedostatecznie intensywne treningi. Na tę szczególną właściwość nowoczesności już kilkadziesiąt lat temu zwracali uwagę tacy autorzy, jak antropolog Geofrey Gorer czy historyk Philippe Ariès.

Triumf śmierci

Ale przecież – można by odpowiedzieć – śmierć otacza nas ze wszystkich stron. Mamy ją w obrazach przewijających się przez media konwencjonalne i społecznościowe – z ukraińskiego frontu, z Bliskiego Wschodu, z Afryki. Dominuje w dyskusjach o majaczącej na widnokręgu kolejnej globalnej wojnie; nuklearnym konflikcie, który pochłonie, jeśli nie całą, to w każdym razie znaczną część ludzkości i zmiecie rzeczywistość, którą znamy. Pobrzękuje w powracających jak mantra sporach o Smoleńsk – tragedię, która zintensyfikowała najgłębsze polskie podziały. Wiedzie prym we wciąż świeżej pamięci o pandemii koronawirusa, która pochłonęła w Polsce ponad 100 tysięcy ofiar.

Nawiasem mówiąc, pamiętacie? Zapadło po nich w sferze publicznej dziwaczne milczenie. Obyliśmy się – to ewenement na międzynarodową skalę – bez oficjalnych uroczystości, bez zbiorowej żałoby. Nawet Czesi, którzy do rytuałów pogrzebowych i śmierci mają stosunek znacznie lżejszy, upamiętnili swoje ofiary covidu. Na Zamku Praskim, w obecności obywateli i najwyższych rangą polityków, zapłonęło 30 tysięcy świec. W Polsce natomiast – nic. A przecież w naszej historii pełno jest śmierci, które z upodobaniem celebrujemy w rocznicach powstań, wojen, bohaterskich czynów i zrywów, a także porażek, których odnieśliśmy, trzeba przyznać, pod dostatkiem.

Z tym wszystkim jednak można się na różne sposoby układać, można to oswajać, neutralizować. Przeplływające przez media obrazy śmierci i okrucieństwa w pewnym mo-

mencie – prawem habituacji – obojętnieją. Wydarzenia historyczne już na wstępie zdają się odległe. No chyba że się wiąże z nimi jakieś szczególne emocje – wtedy z kolei ulegają specyficznemu umiycznieniu. Polityczne animozje płoną w szaleństwie polaryzacji, ale – na co zwracał uwagę filozof René Girard – zwaśnione strony nie tylko stopniowo upodabniają się do siebie, ale też z czasem zapominają, za co tak bardzo się nienawidzą. Wojna, owszem, toczy się przy polskich granicach, co wywołuje poczucie zagrożenia, ale wciąż jeszcze nie „u nas”, wszak należymy do NATO. Ach, byłbym zapomniiał – jeszcze katastrofa klimatyczna. Cóż, jeśli ktoś martwi się przede wszystkim o to, żeby przetrwać do końca miesiąca, nie spędza mu snu z powiek perspektywa globalnego ocieplenia.

Z dziejów monokultury

Doprawdy, jest coś niepowtarzalnego w tych polskich cmentarzach, nad którymi w jesienną noc roztacza się luna. Jest coś niepowtarzalnego i specyficznego w naszej wierności temu świętu. Jak podają rozmaite sondaże i szacunki – bierze w nim corocznie udział od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu kilku procent Polaków. Co więc za tym – powtórzmy początkowe pytanie – stoi? Co się w tym kryje?

Czy wciąż jeszcze żywy „paradygmat romantyczny”? Jego koniec ogłaszała ongiś prof. Maria Janion, nieustannie zarazem podkreślając szczególnie związek polskiej wspólnoty z umarłymi. Z tymi, którzy tworzyli jej symboliczne pole. Ale także z tymi, którzy za istnienie tej wspólnoty, za jej ciągłość, oddawali życie w kolejnych powstaniach, zbrojnych konfliktach, konspiracjach, racjonalnych i mniej racjonalnych niepodległościowych aktach heroizmu. Czy zatem Janion się myliła? Polski romantyzm ma się dobrze i to on co roku wyprowadza nas na cmentarze?

A może raczej katolicyzm? Wprawdzie przeżywający dziś kryzys – niektórzy powiedzą: odchodzący w przeszłość wraz z całym „chrześcijańskim światem” – ale wciąż obecny w obyczaju, rytuale, geście? Być może pustym, być może odtworzanym automatycznie, niemniej zewnętrznie na tyle jeszcze aktywnym, żeby co roku angażować dziesiątki milionów ludzi?

A może to ściśle powiązana z katolicyzmem „monokultura”, jak ją ongiś nazwał (w eseju pod tym samym tytułem) Bohdan Chwedeńczuk, jeden z najważniejszych filozoficznych ateistów, jakich mieliśmy po roku 1989? W tekście pomieszczonym w niewielkiej, ale mającej moc buldożera (proszę mi wierzyć) książce „Trzeba w coś wierzyć?” – wydanej przez wydawnictwo Aletheia w 1997 r. – Chwedeńczuk krok po kroku demontował większość intensywnie wówczas proklamowanych tradycyjnych, chrześcijańskich nakazów, stereotypów, wartości. Między innymi „święto zmarłych”, jak celowo określał ten dwudniowy, zawsze starannie na lek-

Jest coś niepowtarzalnego
w naszej wierności
temu świętu.
Jak podają rozmaite
szacunki – bierze
w nim udział nawet
do dziewięćdziesięciu
kilku procent
Polaków.

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

cjach religii różnicowany konglomerat: Wszystkich Świętych oraz Dzień Zaduszny. Pośród licznych zarzutów i wątpliwości względem owego konglomeratu Chwedeńczuk podkreślał, że odbywa się on pod dyktando monokultury. To znaczy: istnieje w Polsce tylko jeden dopuszczalny sposób obchodzenia tego święta. Jeden dopuszczalny wzorzec stosunku do zmarłych. Jedna data, jedna symboliczna i kulturowa forma, nakazująca, co myśleć, co robić i jak się zachowywać.

Kontrapunkt dla Halloween

Czy prawie 30 lat później zastrzeżenie to zachowuje aktualność? Z pewnością społeczną pozycją Kościoła katolickiego – o zmianę której dopominali

się wtedy, w latach 90. Chwedeńczuk z Barbarą Stanosz i pozostałymi członkami redakcji kwartalnika „Bez Dogmatu” – uległa osłabieniu. M.in. dlatego, ale i z powodu otwierania się polskiej „monokultury” na zachodnie wpływy, dotarło do nas również święto Halloween, obchodzone 31 października. Nieodmiennie zresztą, choć wpisało się już dobrze w polski krajobraz, krytykowane przez niektórych katolickich hierarchów albo fundamentalistycznie usposobionych publicystów. Już to jako import „obcej tradycji”, już to jako bez mała celebrowanie sił demonicznych, otwieranie się na ich przerażające władztwo.

Z tych krytyk i ostrzeżeń nic sobie wszakże nie robią dzieci, które radośnie zapalają świeczki, wydrążają dynie, przebierają się, biegają po mieszkaniach, no i stawiają sąsiadów przed znaną alternatywą: cukierek albo psikus. Halloween – wyrastające z innej, nie mniej niż patos Wszystkich Świętych archetypowej postawy wobec śmierci, czyli kpiny, zabawy, performansu – stanowi dziś kolorowy, karnawałowy kontrapunkt dla milczących, refleksyjnych, listopadowych wypraw na cmentarze.

Z tego kontrapunktu cieszył się w opublikowanym kilka lat temu w „Newsweek Polska” wywiadzie Zbigniew Mikołajko. Wytrawny znawca śmierci, który – z czego nie raz się śmiał – w listopadzie właściwie nie wychodził z telewizyjnych i radiowych studiów. Opowiadał o śmierci, o naszym do niej stosunku, o kulturze, z której śmierć znika, o symbolice polskich form celebrowania relacji ze zmarłymi. Ale w kwietniu tego roku – i on umarł. Już samo czytanie tych jego wypowiedzi, pamięć o zmaganiach, jakie z tematyką śmierci prowadził, wywołuje metafizyczny dreszcz. Tyle napisał o śmierci – a teraz sam nie żyje? Dziwne to i niesamowite...

Mikołajko w każdym razie podkreślał – we wspomnianym wywiadzie i nie tylko – że Halloween wzbogaca zabawą i karnawałem tanatyczną powagę polskiej tradycji. Równoważy jednostronność, rozświetla nieco jej marsowe oblicze. Więc czy i dzisiaj, z początkiem listopada, Chwedeńczuka nawiedza poczucie funkcjonowania w monokulturze? Przy najbliższej okazji muszę go o to koniecznie zapytać, dopóki wciąż jeszcze obaj żyjemy („I nigdy w życiu mnie nie będzie”).

Za fasadą

⇒ A co z innymi argumentami, które Chwedeńczuk wytaczał w swoim eseju, wznowionym zresztą niedawno przez Bractwo Trojka w serii wydawniczej TIKN? Powierzchnością, pustką rytuału nieprzekładającego się na realne życiowe postawy, wreszcie – wszechobejmującą tandetą, tyleż estetyczną, co moralną? Nekrogadzetami w złym guście albo plagą pijanych kierowców („akcja Znicz” – to także wbiło się w moją dziecięcą pamięć)? No i wreszcie z najzwyklejszą, powszednią hipokryzją: świętowaniem na pokaz, przed innymi, a potem powrotem do standardowego *modus operandi*, które nie ma nic wspólnego z głębokimi wymiarami istnienia, jakie rytuały pamięci o zmarłych mają uzmysławiać?

Owszem, mnóstwo już na ten temat napisano. Za fasadowym świętowaniem często nic nie stoi, nierzadko w tle są alkohol, przemoc i zwykła głupota. Poza tym następnego dnia i tak wracamy do codzienności. A sferą polityki i życia społecznego nieodmiennie zarządza nienasycony potwór polaryzacji. Najlepszymi przykładami są wspomniane wcześniej tragedie: Smoleńsk i pandemia. Pokazały one dobitnie, że kiedy bezsensowna, okrutna śmierć dotyka nas wszystkich – społeczeństwo, grupę, wspólnotę – nie umiemy sobie z nią poradzić. Nie umiemy się prawdziwie wesprzeć, odruchowo reagujemy przerzucaniem winy na tych, których uznajemy za innych i gorszych.

W przypadku Smoleńska – ten mechanizm zadziałał niemal od razu. Połowa społeczeństwa została automatycznie uznana za ciemnogród, druga za zdrajców i zaprzańców. Jedni za współników zbrodni, drudzy za paranoików. W pandemii stało się podobnie – nie byliśmy w stanie razem przeżyć żałoby, pograżyliśmy się bowiem, częściowo zwiedzeni przez polityków, we wzajemnych oskarżeniach o to, kto jest największym winowajcą. W tym sensie – o czym przed dwoma laty pisałem na łamach „Tygodnika” w tekście „Wspólnota i milczenie” (nr 4/2022) – nie było u nas oficjalnej żałoby, bo nie było ofiar pandemii, były tylko ofiary PiS-u lub „totalnej opozycji” (w zależności od politycznej afiliacji oskarżających).

Takie przykłady i zarzuty można by mnożyć. W zasadzie wszystko, co da się powiedzieć o powierzchownym, fasadowym świętowaniu 1 listopada, da się powiedzieć o innych aspektach funkcjonowania polskiej zbiorowości.

Tam, gdzie poszli inni

A jednak jest jakaś różnica. Sunąc po cmentarnych alejach, uczestniczymy wszak w pochodach, w których idą ramię w ramię wyborcy wszystkich politycznych ugrupowań. Przedstawiciele wszystkich mniejszości, większości, stronnictw, obozów, plemion, płci, orientacji i partii. Nie ma tu konfliktów pokoleń, patriarchalnych opresji, światopoglądowych kontrowersji, młodości i zdrowia, starości i chorób. To znaczy – oczywiście są, nie tutaj magicznie nie znika, nic się nie ulatnia, nie rozplywa się w egzaltacji. Po prostu, tego dnia razem idziemy tam, gdzie ostatecznie wszyscy trafimy („Nie ma mnie i nie ma mnie”). Idziemy tam, gdzie przed nami poszli inni. To dzięki nim tutaj teraz jesteśmy, to dzięki nim i nam przyjdą kolejni i kolejni, i kolejni.

Nie wiem, czy to polski romantyzm, czy katolicyzm, czy pełna ofiar historia, czy może martyrologia narodowa albo coś jeszcze innego prowadzi nas rokrocznie na groby. Zanim usiadłem do tego tekstu, przeczytałem wiele esejów, książek, dyskusji i polemik na ten temat. Owszem, znalazłem w nich różne hipotezy, ale żadnej faktycznej odpowiedzi. Wiem tylko, że w tym zimnie, jesiennych kolorach, blasku zniczy i niezmiernych tłumach odsłania się coś uniwersalnego. Jakaś łączność, której na co dzień coraz bardziej nam brakuje, bo z kultury stopniowo wypierają jej zewnętrzne oznaki, jej symboliczne ujęcia („Zostanę w liście, zostanę w śnie”). Łączność wcześniejsza, głębsza i ważniejsza niż inne. Paradoksalnie też – bardziej od nich rzeczywista, choć nieodłącznie związana przecież z końcem, nieistnieniem i pustką.

No właśnie, czy aby tylko z pustką? Tego my, odwiedzający, na sto procent nie wiemy. Ale może ci odwiedzani – tak? Więc czy i my się o tym dowiemy, kiedy już z odwiedzających staniemy się odwiedzanymi? Czy się o tym kiedyś dowiemy?

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
 Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
 Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
 Marek Rabij, Piotr Śmiałowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięćkaj (kierownik)
Historia: Wojciech Pięćkaj
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
 Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
 Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
 Grażyna Makara (kierownicza), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierownicza), Michał Kuźmiński,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
 Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
 Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
 Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
 Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
 Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
 Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
 Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
 ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabata,
 Eliza Kącka, Marcin Kędziński, Bartek Kiełżun, Piotr Kłodkowski,
 Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski,
 Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziółek,
 Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
 Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek,
 Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
 Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajzka, Zbigniew Parańanowicz, Piotr Paziński,
 Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
 Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
 Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
 Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
 Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieboraka,
 Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
 GRUPA TOYA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny



Tylko do 30 listopada masz szansę przedłużyć lub rozpocząć prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w dotychczasowej, niższej cenie. Nie czekaj – już dziś wybierz swoją prenumeratę i zagwarantuj sobie nieprzerwany dostęp do wartościowych treści!

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

PARTNER MARKETINGOWY **SALESi/manago**
marketing automation

MAŁGORZATA

Kordowicz: Z prochu Ziemi



WŚRÓD SWOICH STARYCH ZAPISKÓW NATRAFIŁAM NA MATERIAŁ, KTÓRYM CHCIAŁABYM SIĘ Z PAŃSTWEM PODZIELIĆ. WEDLE RDZ 2, 7 CZŁOWIEK ZOSTAŁ UFORMOWANY Z PROCHU ZIEMI [hebr. *afar min ha-adama*]. To samo słowo

– afar – niejednokrotnie pojawia się w Biblii w kontekście, z którego wynika, że jest ono synonimem gliny. Przykładowo w Kpł 14, 42 afar jest nazwą materiału, którym należy obłożyć dom. Motyw lepienia człowieka odnajdujemy w Piśmie zwłaszcza u Izajasza: człowiek jest „uważany za glinę Garncarza” (29, 16), padają słowa: „czyż rzecz glina do Formującego ją: co czynisz?” (45, 9) oraz „my jesteśmy gliną, a Tyś naszym Garncarzem, wszyscyśmy dziełem Twoich rąk” (64, 7). A w mitologii bliskowschodniej? Wspomina o tym „Epos o Gilgameszu”, a także jeden z mitów starobabilońskich i jego odpowiednik asyryjski. Motyw ów sięga korzeniami niezwykle zamierzchłych czasów – pojawia się już w literaturze sumeryjskiej z trzeciego tysiąclecia. Ponadto znane są egipskie wizerunki bóstwa, które siedzi na tronie przy kole garncarskim i lepi człowieka.

Na pierwszy rzut oka opowieść biblijna doskonale mieści się w kanonie bliskowschodnim. Jednakże podobieństwo wykazane na podstawie jednego motywu jest powierzchowne. Zajrzyjmy w głąb tekstu biblijnego. Widzimy, że jedynie przy stwarzaniu człowieka określono tworzywo, z którego został uformowany. Poza aktem Bożej woli jest też działanie – wskazuje to na szczególną pozycję człowieka wśród Bożych stworzeń. Tchnienie życia zostało „wdmuchinięte” w człowieka nozdrza przez samego Boga. Tylko przed stworzeniem człowieka Bóg wyraził Swoją intencję: „Uczyńmy człowieka” (Rdz 1, 26). W „Enuma Elis”, babilońskiej kosmogonii, bogowie tworzą człowieka, by miał n nich pracować i zaspokajał ich potrzeby. Tymczasem Bóg sam daje człowiekowi pożywienie (zob. Rdz 1, 29 oraz 2, 16) i troszczy się o zaspokojenie jego potrzeb. Koncepcja żydowska diametralnie odbiega od koncepcji zawartej w mitologii bliskowschodniej: człowiek nie jest wydany na łaskę ślepych sił, ma swoją godność i wolną wolę, a jego życie jest bezcenne (Rdz 9, 6).

Wróćmy do motywu gliny: jakie ma on znaczenie dla osoby wierzącej? Człowiek nie jest zupełnie niezależny, totalnie wolny, lecz mimo wszystko poddany Bogu, który jest nazwany Jocer, co po hebrajsku znaczy zarówno „Twórca”, jak i „Garncarz”. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Droga dobrze oznakowana



„BĘDZIESZ SIĘ BAŁ PANA, BOGA SWEGO”, CZYTAMY W LEKCJONARZU MSZALNYM. W INNYCH TŁUMACZENIACH TO ZDANIE BRZMI: „ODCZUWAJ BOJAŻŃ PRZED PANEM, TWOIM BOGIEM”, „BĘDZIESZ LĘKAŁ SIĘ PANA, TWOGO BOGA”, „MASZ ODCZUWAĆ BOJAŻŃ PRZED TWOJYM BOGIEM”, „MASZ ŻYĆ W BOJAŻNI PANA”, MASZ BYĆ „PRZEJĘTY CZCІĄ DLA PANA” I BĘDZIESZ SIĘ „OBAWIAŁ WIEKUISTEGO, BOGA TWOJEGO, PRZESTRZEGAJĄC WSZYSTKICH USTAW I PRZYKAZAŃ JEGO”.

Bać się czegoś lub kogoś, z Bogiem włącznie, znaczy tyle, że trzeba od tego wszystkiego, łącznie z Bogiem, trzymać się jak najdalej. A jeśli już zajdzie smutna konieczność skontaktowania się z Bogiem, to trzeba w jakiś sposób przypodobać się Mu, przekonać Go do siebie, co zwykło się nazywać modlitwą.

Jak wiemy, nie zawsze się to udaje. Jakub Apostoł mówi: „Modlicie się, a nie otrzymujecie, bo się źle modlicie. Pragniecie zaspokoić tylko własne namiętności”. A na czym ta psująca modlitwę namiętność polega, wyjaśnia Paweł Apostoł: „Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie”. Przez coś takiego przeszli nawet apostołowie. Mieli „nadzieję, że Jezus wyzwoli Izraela”, skoro jest Mesjaszem, ale Jego śmierć unicestwiła ich marzenia o wysokich urzędach w mesjańskim państwie. Później dopiero zrozumieli, że śmierć Jezusa, jak też każdego człowieka, niczego nie niszczy.

Księga Mądrości: „Ty (Panie) litujesz się nad wszystkimi, gdyż wszystko możesz, i przymykasz oczy na grzechy ludzkie, czekając na pokutę. Miłujesz bowiem wszystko, co istnieje, i nie czujesz wstrętu do żadnego stworzenia, gdyż nie stworzyłeś tego, co miałbyś nienawidzić, (...) miłujący życie Panie”. Dlatego Bóg, ponieważ jest wszechmocny, choćby nawet chciał, nie potrafi nikogo od siebie odepchnąć. Stąd jeśli już mamy się kogoś bać, to na pewno nie Boga, ale siebie samych.

Psalmista prosi Boga: „Ukaż mi drogi Twoje, Panie, naucz mnie chodzić ścieżkami, które wskazujesz”. Tę drogę łatwo znaleźć, jest dobrze oznakowana: „Będziesz miłował Pana, twojego Boga, całym swoim sercem, całą swoją duszą i z całej swojej mocy”. „To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie jest podobne do niego: będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Przestroga na koniec Synodu

*Udam się tam,
gdzie jest trud.
I tam zaznam pokoju.*

ABBA IZYDOR Z SKETIS



*Nie przez
niepodejmowanie
działania
osiąga człowiek
wolność od działania.
Nie przez porzucenie
obowiązku dochodzi
do doskonałości.*

BHAGAWADGITA



„KTOŚ Z TŁUMU RZEKŁ do Jezusa: Nauczycielu, powiedz mojemu bratu, żeby się podzielił ze mną spadkiem. Lecz On mu odpowiedział: Człowieku, któż Mnie ustanowił nad wami sędzią lub rozjemcą? (...) I opowiedział im przypowieść: Pewnemu zamożnemu człowiekowi dobrze obrodziło pole. I rozważał w sobie: Co tu począć? Nie mam gdzie pomieścić moich zbiorów. I rzekł: Tak zrobię: zburzę moje spichlerze, a pobiuduję większe i tam zgromadzę całe moje zboże i dobra. I powiem sobie: Masz wielkie dobra, na długie lata złożone; odpoczywaj, jedz, pij i używaj! Lecz Bóg rzekł do niego: Głupcze!” (zob. Łk 12, 13-21). Rzecz – sama w sobie – jest o pieniądzach. Jednakże kard. Mario Grech, przewodnicząc mszy otwierającej ostatni tydzień prac Synodu Biskupów w Rzymie, odczytał ów fragment w odniesieniu do kończącego się Synodu właśnie. Co się z nim teraz stanie? – pytał.

I przedstawił dwie możliwe dramatyczne perspektywy. Pierwsza: zachowamy się jak ów człowiek „z tłumu”. Będziemy chcieli „podzielić dziedzictwo”, wyrwać z dorobku Synodu jakiś „kawałek” odpowiadający naszym własnym ideom i przekonaniom, i pójść sobie z tą zdobyczą dalej – swoją własną drogą, osobno – odcinając się od brata, z którym nie byłem

w stanie się „dogadać”. To całkiem możliwe (i przerażające), że przyjechalibyśmy na ten Synod poróżnieni, i poróżnieni z niego wyjedziemy, pozostając każdy przy swoim. A przecież – mówił kardynał, sekretarz generalny Synodu Biskupów – Dziedzictwo jest niepodzielne. Duch Święty jest Bogiem harmonii i jedności, a nie podziałów.

Druga możliwość: zachowamy się jak bohater Jezusowej przypowieści: potraktujemy dorobek Synodu jako „wielkie dobro”, które można teraz złożyć w odpowiednio dużym magazynie, i następnie ogłosić czas zasłużonego odpoczynku. Jest dokument końcowy; będzie jeszcze papieska adhortacja – wystarczy!

Każdy, kto tak myśli, usłyszy od Jezusa: Głupcze! Prawdziwa praca dopiero się zaczyna. Teraz trzeba stanąć za tym Synodem, by jego „zbiory” posiać w Kościele – wprowadzić w życie, w kulturę myślenia i działania w naszych diecezjach i parafiach. Najmłodszy członek Synodu, 19-letni Wyatt Olivas ze Stanów Zjednoczonych, zawarł tę prawdę w jednym, prostym zdaniu: „Dokument końcowy nie przyniesie Kościołowi synodalności; my – tak!”. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 XI)

31. niedziela zwykła: Pwt 6, 2-6;
Ps 18; Hbr 7, 23-28; Mk 12, 28b-34;
Poniedziałek: Flp 2, 1-4; Ps 131; Łk 14, 12-14;
Wtorek: Flp 2, 5-11; Ps 22; Łk 14, 15-24;
Środa: Flp 2, 12-18; Ps 27; Łk 14, 25-33;
Czwartek: Flp 3, 3-8a; Ps 105; Łk 15, 1-10;

Piątek: Flp 3, 17 – 4, 1;
Ps 122; Łk 16, 1-8;
Sobota: Ez 47, 1-2. 8-9. 12
lub 1 Kor 3, 9b-11. 16-17; Ps 46; J 2, 13-22;
32. niedziela zwykła: 1 Krł 17, 10-16;
Ps 146; Hbr 9, 24-28; Mk 12, 38-44.

Wybrał PIOTR SIKORA

KIESZEŃ POLSKIEJ WŁADZY

Jedna tylko kwestia łączy głęboko dziś podzieloną scenę polityczną – pieniądze.

A dokładnie przekonanie samych polityków, że zarabiają za mało.

Faktem jest na pewno, że system ich wynagradzania to kraina kuriozalnych paradoksów.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

WSZYSTKIE STRONY POLITYCZNEGO sporu boją się tego tematu i mało kto godzi się na rozmowę pod nazwiskiem. Po pierwsze sprawa pieniędzy jest drażliwa z uwagi na niechętny stosunek społeczeństwa do polityków, a po drugie wielu z nich ma traumę w związku z wydarzeniami z wiosny 2018 r. Wtedy to uruchomiona została lawina po ujawnieniu nagród dla członków rządu Beaty Szydło. Gdy przedstawiciele ówczesnej opozycji wykryli, że ministrowie z PiS otrzymali rekordowe, idące w dziesiątki tysięcy złotych nagrody, była już wtedy premier wystąpiła z trybuny sejmowej, formułując słynne zdanie, które na długo do niej przylgnęło: „te pieniądze im się po prostu należały!”.

Sprawa miała dalej idące konsekwencje, bo opozycyjna PO zaczęła organizować w całej Polsce „konwoje wstydu”, propagując informacje o nagrodach. W odpowiedzi rządzący, by ograniczyć polityczne straty, a także zemścić się na opozycji, podjęli decyzję o obniżeniu wynagrodzeń wszystkich parlamentarzystów o 20 procent. Oznaczało to, że od tego czasu mieli zarabiać ok. 8 tys. złotych brutto. – *Vox populi, vox Dei* – tłumaczył Jarosław Kaczyński dodając, że „do polityki nie idzie się dla pieniędzy”.

Trzy lata później pensje podniesiono, wracając do istniejących do 2018 r.



proporcji w stosunku do przeciętnych zarobków Polaków. Jednak zdaniem wszystkich parlamentarzystów, z którymi rozmawialiśmy, są one wciąż za niskie.

Obecnie poseł zawodowy, jeśli nie pełni w parlamencie żadnej funkcji, dostaje na rękę prawie 10 tys. złotych (12,8 tys. zł brutto). – Z takimi zarobkami wchodzimy w drugi próg podatkowy i w końcówce roku na rękę dostajemy 8 tysięcy – żali się poseł KO.

Dodatki, dodatki, dodatki

Jednak parlamentarzyści otrzymują też dietę w wysokości 3,5 tys. zł, która nie jest opodatkowana. Ponadto dostają pieniądze na prowadzenie biura (ok. 20 tys.). Muszą pokryć z nich wszystkie wydatki związane z jego utrzymaniem, w tym wynagrodzenie pracowników i czynsz.

Do tego dochodzą różne dodatki w zależności od pełnionej funkcji: 20 proc. podstawowego uposażenia dla przewodniczących komisji; 15 proc. dla ich zastępców;

10 proc. dla przewodniczących stałych podkomisji. Dochodzą do tego jeszcze przywileje, takie jak prawo do bezpłatnych przejazdów środkami publicznego transportu zbiorowego, w tym komunikacją miejską, oraz przelotów samolotami. Na zakończenie kadencji posłowi i senatorowi przysługuje zaś odprawa w wysokości trzech uposażeń.

Jeśli parlamentarzysta nie mieszka w Warszawie i nie chce korzystać z hotelu poselskiego (który dla wielu jest zbyt mało komfortowy), przysługuje mu (lub jej) 4 tys. zł miesięcznego ryczałtu na wynajem mieszkania oraz zwrot pieniędzy za paliwo, jeśli do wykonywania mandatu używa własnego samochodu.

Jednocześnie posłowie, jeśli pełnią tę funkcję zawodowo (czyli zawieszają swoją pracę lub działalność), praktycznie nie mogą nigdzie dorabiać. Zabronione jest zasiadanie we władzach spółek, możliwe są w zasadzie tylko wykłady na wyższych uczelniach.

Wielu naszych reprezentantów w Sejmie i Senacie wyraża niezadowolenie z istniejącego systemu finansowania i przyznaje, że jest on niejasny i prowokuje do nadużyć. Najczęściej ich przedmiotem są dodatki do wynagrodzenia, o czym ostatnio usłyszeliśmy w związku z kłopotami poselskiego małżeństwa Kingi Gajewskiej i Arkadiusza Myrchy z KO, którzy pobierali dwa dodatki mieszkaniowe, choć Gajewska mieszka pod Warszawą, razem zaś kończą budować dom. Z kolei np. poseł Robert Kropiwnicki z KO czy minister nauki Dariusz Więczorek z Nowej Lewicy pobierają dodatki mieszkaniowe, choć ten pierwszy jest właścicielem 12 mieszkań, a drugi ma ich 6. Prawo na to pozwala, gdyż obaj mają te nieruchomości poza Warszawą, natomiast dodatki biorą na pobyt w stolicy w związku z wykonywaniem mandatu.

Z rozmów z posłami, oczywiście nieoficjalnych, wynika, że pomysłowość co do form wyłudzeń jest duża i nie ogranicza się do dodatków mieszkaniowych. Wielu posłów zapisuje się np. na wyjazdy zagraniczne, bo otrzymuje wówczas diety, na których może sporo zaoszczędzić. Rutyną jest też maksymalne rozliczanie ryczałtów samochodowych, czyli tzw. kilometrów (do 4,5 tys. zł miesięcznie), niezależnie od tego, czy ktoś to naprawdę „wyjeździł” w ramach działalności poselskiej.

Częstą praktyką są wyłudzenia związane z kosztami prowadzenia biura. Znane są przypadki, w których rachunek za catering na otwarcie biura wynosił 10 tys. zł, choć rzeczywiste koszty nie przekraczały 3 tys. Inny problem z transparentnością polega na tym, że z pieniędzy na biuro parlamentarzysta opłaca wynagrodzenie dla jego pracowników i pokrywa inne koszty. Nie jest tak jak w Parlamencie Europejskim, gdzie koszty osobowe finansowane są z osobnej puli.

Ubodzy krewni Włochów

Generalnie dzięki różnym sprytnym praktykom, tylko formalnie zgodnym z prawem, miesięczne zarobki na rękę, jak przyznaje jeden z posłów, mogą sięgać 18 tys. – zamiast 10 tys. zł.

Kinga Gajewska i Arkadiusz Myrcha (w środku) podczas głosowania w sprawie kandydatów na stanowisko Rzecznika Praw Dziecka. Warszawa, 27 listopada 2023 r.



PAWEŁ WODZIŃSKI / EAST NEWS

→ Usłyszeliśmy też o przypadkach ewidentnych nadużyć, czyli np. kupowania na biuro telewizora plazmowego czy mebli, które potem trafiały do domów posłów. Chociaż są i przypadki strat. Jedna z posłanek KO opowiada, że musi oddać Kancelarii Sejmu ponad 500 zł, bo ma niewłaściwą fakturę za wyczyszczenie wykładziny w biurze poselskim. Uważa ona, że tak naprawdę wyludzać fundusze jest trudno, bo wszystko podlega dokładnej kontroli.

– Ekscytacja tym, że ktoś kupił odkurzacz czy ekspres do kawy, albo wydał na kilometrówkę pieniądze swojego biura, jest nieistotna na tle tego, że fundusze polskich parlamentarzystów są nieporównywalne z tym, co zarabiają kongresmani czy posłowie w innych państwach. Pieniądze, które otrzymujemy, nie pozwalają np. zamawiać projektów ustaw u specjalistów. W rozliczeniu biur poselskich nie ma w ogóle takiej pozycji, zresztą wyssałaby cały budżet, bo prawnicy dużo sobie liczą za pracę. Kończy się to tak, że ustawy pisze tylko rząd – mówi wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak z Konfederacji.

Parlamentarzyści narzekają, że przy europarlamentarzystach czy deputowanych z innych krajów czują się jak ubodzy krewni. Np. włoscy parlamentarzyści zarabiają ponad pięć razy więcej niż przeciętny Włoch i nawet więcej niż eurodeputowani. W Niemczech i Francji wynagrodzenia deputowanych są na poziomie europarlamentarzystów. W Polsce mamy znaczne dysproporcje, bo europosłowie otrzymują wynagrodzenie na poziomie 35 tys. zł miesięcznie. Fakt, są też kraje, jak Malta czy Hiszpania, gdzie pensje parlamentarzystów są w relacji do średniej krajowej niższe niż w Polsce (2,7 średniej krajowej). Inna sprawa, że przeciętne zarobki są tam sporo wyższe.

Prof. Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego zwraca uwagę, iż sama wysokość wynagrodzeń nie musi zabezpieczać przed pokusami nadużyć, co pokazuje przypadek europosła PiS Ryszarda Czarneckiego, zbijającego dodatkowy majątek na fikcyjnych kilometrówkach (wśród środków lokomocji podawał m.in. chińskie motorowery i ciągnik siodłowy). Jednocześnie ekspert uważa, że co do zasady polscy politycy powinni zarabiać więcej, najlepiej kosztem rezygnacji z nietransparentnego systemu dodatków.

Zwolennikiem wyższych wynagrodzeń jest też wspomniany wicemarsza-



MARYSIA ZAWADA / REPORTER

KRZYSZTOF BOSAK:

Ludzie z dużym doświadczeniem zawodowym i prestiżem nie są zainteresowani wchodzeniem do polityki parlamentarnej za obecne pieniądze.

łek Bosak. – Jeśli chcemy zatrzymywać najzdolniejszych ludzi w polityce, to powinniśmy ich wynagradzać lepiej. Oczywiście większe pieniądze nie impregnują na pokusy korupcyjne. Za to mogą generować mechanizm, w którym mamy więcej do stracenia – mówi Krzysztof Bosak. – Dotkliwy jest też problem tego, że ludzie z dużym doświadczeniem zawodowym i prestiżem nie są zainteresowani wchodzeniem do polityki parlamentarnej za obecne pieniądze – dodaje.

Ustawowe zakazy

W przeszłości przedmiotem rozmaitych skandali była kwestia łączenia funkcji publicznych z zasiadaniem w radach nadzorczych spółek. W 1994 r. ówczesny minister sprawiedliwości Włodzimierz Cimoszewicz stworzył nawet listę posłów i ministrów, którzy łamali ustawę antykorupcyjną, zakazującą łączenia posad we władzach spółek (z udziałem skarbu państwa) z działalnością publiczną. Od tamtego czasu tzw. ustawa antykorupcyjna była kilkakrotnie zaostrzana. Ostatnia nowelizacja z 2021 r. zakazała parlamentarzystom zasiadania w jakichkolwiek władzach spółek, w których jest chociaż 10 proc. udziału Skarbu Państwa. Niemożliwa stała się forma obchodzenia tych zakazów, która była często praktykowana w przeszłości przez delegowanie do rady nadzorczej danego polityka jako przedstawiciela Skarbu Państwa.

Jednak zdaniem wielu ekspertów podobne ograniczenia, połączone z nie najwyższymi zarobkami, są właśnie powodem tego, że do udziału w polityce trudno zwerbować fachowców. – Jak ktoś jest dobrym lekarzem czy prawnikiem, traci bardzo finansowo na wejściu do naszego świata – przyznaje młody poseł.

Oczywiście można być tzw. posłem niezawodowym i dalej być aktywnym w swojej profesji. W obecnym Sejmie taką osobą jest np. Roman Giertych, który cały czas prowadzi swoją kancelarię adwokacką. Podobnie niezawodowym posłem jest Ryszard Petru. – Te pieniądze są na tyle niskie, że ich nie pobieram – przyznaje Petru.

Po pamiętnej obniżce uposażeń parlamentarzystów w 2018 r. nagle wielu posłów, głównie z PiS, zaczęło zmieniać swój status na posłów niezawodowych i zatrudniać się na niższych, ale świetnie opłacanych stanowiskach w spółkach Skarbu Państwa (jeśli nie były to zarządy czy rady nadzorcze, można było to łączyć z mandatem). Masowość zjawiska stała się jednym z powodów wycofania obniżek wynagrodzeń po trzech latach. Argumentowano, że jeśli ktoś chce prowadzić działalność parlamentarną z prawdziwego zdarzenia, nie znajdzie czasu na łączenie jej z aktywnością zawodową. Wielu posłów niezawodowych ucierpiało zresztą na swoim statusie, gdy wybuchła pandemia i wiele segmentów działalności gospodarczej zamarło.

Zdarzało się też, że opcja z dodatkowym zatrudnieniem była używana jako polityczny wabik. Posłanka Małgorzata Janowska wróciła do PiS po tym, jak zaoferowano jej pracę w Elektrowni Bełchatów. Podobnie było z posłem Lechem Kołakowskim, który opuścił PiS po sprawie „piątki dla zwierząt”, ale wrócił, gdy dostał intratną pracę w BGK.

Były polityk UW i SLD Andrzej Celiński, dziś nieobecny w polityce, uważa, że praktyka przechodzenia z polityki do spółek i instytucji administracyjnych, gdzie nie ma limitów finansowych, to jedna z patologii naszej demokracji i często wykorzystywany mechanizm korpupowania i wymuszania posłuszeństwa, stosowany przez liderów partyjnych. Dlatego jego zdaniem powinno się wprowadzić kilkuletnią karencję między aktywnością w polityce i biznesie związanym z państwem.

Inaczej na sprawę patrzy Jacek Karnowski, były prezydent Sopotu, a dziś poseł KO i wiceminister funduszy. – Były prezydent Gdyni Wojciech Szczurek jest krytykowany, że znalazł miejsce w radzie nadzorczej miejskiej spółki wodno-kanalizacyjnej. Ale kto ma się znać na takich sprawach lepiej, niż były prezydent miasta? Wydaje się, że czasem gubimy ludzi z doświadczeniem, którzy powinni być dalej obecni w służbie publicznej – mówi Karnowski.

W rządzie też narzekają

Sytuacja finansowa członków rządu nie jest wiele lepsza niż parlamentarzystów, zresztą wynagrodzenia podsekretarzy stanu i posłów są ustawowo powiązane. Ministrowie zarabiają ok. 14 tys. zł brutto, sekretarze stanu nieco mniej, a podsekretarze stanu tyle co posłowie. Premier, podobnie jak marszałkowie Sejmu i Senatu, otrzymuje co miesiąc ok. 20,5 tys. zł brutto, prezydent RP zaś ok. 25 tys. zł brutto.

Trudno się więc dziwić, iż wiele wysoko wykwalifikowanych osób, które na rynku mogą zarobić dużo więcej, waha się, czy wejść do rządu. Lewica ma dziś np. problem z obsadą stanowiska podsekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości po dymisji Bartłomieja Ciałyńskiego, który zresztą poprzednią, świetnie płatną pracę w instytucji badawczej otrzymał dzięki partyjnemu układowi.

Wicemarszałek Bosak uważa, że wynagrodzenia ministrów, wiceministrów i premiera są niewystarczające. – Moim zdaniem pensja na stanowisku wiceministra powinna odpowiadać komuś pełniącemu funkcję członka zarządu dużej firmy – mówi.

Dziś jest inaczej i dlatego, zdaniem Bosaka, wiele stanowisk wiceministerialnych jest obsadzona nie fachowcami, ale kolegami partyjnymi, którzy np. nie dostali się do Sejmu. – Każdy premier chciałby pracować z ludźmi, którzy reprezentują wysoki poziom, ale jeśli nie jest w stanie ich zrekrutować, wypełnia te stanowiska tymi, których ma pod ręką, czyli posłami i działaczami partyjnymi – mówi Bosak.

Zdaniem Jacka Karnowskiego, niskie pensje są hamulcem dla pozyskiwania do rządu wielu fachowców, zwłaszcza tych spoza Warszawy, którzy dla obecnych pieniędzy nie chcą rezygnować z dotychczasowego życia. – Pensje polityków są

godne, ale nie są wysokie. Wiem, że wypowiadam się wbrew opinii publicznej, ale sądzę, że powinny być wyższe – mówi były prezydent Sopotu.

Aktualny system wynagradzania osób piastujących najwyższe stanowiska w rządzie doprowadza do kuriozalnych sytuacji. Np. minister zarabia dwa razy mniej niż podlegający mu dyrektor departamentu. Wynagrodzenia w służbie cywilnej oparte są bowiem na osobnej podstawie prawnej. Tak jest np. w MSZ – dyrektorzy należący do służby zagranicznej zarabiają ok. 20 tys. zł, ambasadorowie – od 6 do 10 tys. dolarów. A sam minister 14 tysięcy, gdyż Radosław Sikorski wchodząc do rządu zrzekł się mandatu europosła; nie zasiada też w polskim parlamencie, więc nie otrzymuje nawet diety. – Minister nie powinien zarabiać mniej niż prezes powiatowej spółki wodociągowej, a czasem tak się zdarza, bo pensje tych ostatnich przekraczają nie rzadko 20 tys. zł – mówi polityk KO.

Poseł traci kontakt

Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego przyznaje, że sytuację, w której dyrektorzy zarabiają o kilka tysięcy więcej niż ministrowie, należałoby jak najszybciej zmienić. Inni eksperci dodają, że brak możliwości prowadzenia działalności zawodowej powoduje, że polityk zasiadający w Sejmie przez wiele kadencji traci kontakt ze swoim światem i często w momencie, gdy wypada z życia parlamentarnego, nie ma do czego wrócić.

Jan Rokita, który w 2007 r., po 18 latach działalności w parlamencie, wypisał się z polityki, musiał wielu rzeczy uczyć się od nowa. Z kolei Andrzej Celiński, gdy w 1997 r. nie dostał się do Senatu, znalazł się na pewien czas w bardzo trudnej sytuacji materialnej. – Pod koniec miesiąca żywiłem się jedną bułką dziennie i jogurtem – opowiada. Celiński uważa, że posłom powinna przysługiwać renta

lub emerytura parlamentarna po trzech kadencjach, podobnie jak to jest w Parlamencie Europejskim. – Po jednej, dwóch kadencjach jeszcze można wrócić do poprzedniego życia, po trzech jest to już niezwykle trudne – ocenia.

Jego zdaniem renta parlamentarna zmniejszyłaby zjawisko kurczowego trzymania się mandatów. – Ci, którzy widzą, że ich mandat jest zagrożony, pod koniec kadencji zaczynają zachowywać się, jak dzikie zwierzęta – ocenia.

Podobne zjawiska mają też miejsce w samorządach, gdzie wynagrodzenia ustalone są – w ramach dopuszczalnych widełek – przez rady odpowiedniego szczebla. Powoduje to czasem duże różnicowanie; w biedniejszych gminach wynagrodzenia są niskie. Krzysztof Izdebski zwraca uwagę, że może to rodzić pokusy korupcyjne, zwłaszcza jeśli urzędnik zarabiający 4 tys. zł decyduje o budowie drogi kosztującej miliony.

Samorządowcy mają za to większą niż posłowie swobodę w zatrudnianiu się w różnego rodzaju instytucjach czy w zasiadaniu w radach nadzorczych, pod warunkiem, że nie podlegają one bezpośrednio ich szczeblowi samorządu. – Gdyby nie ta możliwość, mało kto chciałby zostać radnym – mówi członek Rady Warszawy.

Marszałek Szymon Hołownia zapowiedział po sprawie małżeństwa Myrchoń audyt. Szef Kancelarii Sejmu Jacek Cichocki przyznaje, że w jego ramach po zakończeniu roku rozliczeniowego zamierza też zbadać zasadność wykorzystania wszystkich ryczałtów. Wynik będzie w pierwszym kwartale przyszłego roku, a jednym z efektów może być zmiana zasad wynagradzania posłów. Tymczasem wicemarszałek Krzysztof Bosak opowiada, że niedawno w Sejmie gościła delegacja jednego z państw afrykańskich, która dziwiła się, że polscy posłowie mogą zarabiać tak mało.

© © PIOTR ŚMIŁOWICZ

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy pod sygn. akt II Ns 426/24 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy z udziałem Anny Michulec o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Galińskiej, zmarłej 17.08.2020 r. w Warszawie, której ostatnie miejsce pobytu znajdowało się przy ul. Dickensa w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Migracje bez złudzeń

MACIEJ DUSZCZYK, WICESZEF MSWIA:

Nigdy nie powiem, że ratowanie ludzi przed śmiercią jest czymś złym. Ale sytuacja na granicy ma kontekst.

MICHAŁ OKOŃSKI: Będzie Okrągły Stół w sprawie strategii migracyjnej?

MACIEJ DUSZCZYK: Oczywiście. To jest temat tak ważny, budzący tak wiele nieporozumień i tak mocno upolityczniony, że nie wyobrażam sobie, żeby go nie przedyskutować ze wszystkimi chętnymi.

I aktywiści ratujący ludzi na granicy też będą zaproszeni do dyskusji?

Formułą konsultacji zajmie się nowa minister ds. społeczeństwa obywatelskiego Adriana Porowska, ale ja jestem otwarty na każdy dialog.

Sama strategia jest już przyjęta. Rząd mówi, jak ma być, i nic nie zmieni.

Nie. Rząd mówi, że ma pewien model podejścia do migracji. Natomiast samej strategii będzie towarzyszył, rozpisany na lata, plan implementacyjny. Nie wykluczam, że niektóre elementy zostaną w trakcie debat zweryfikowane. Trudno, żeby było inaczej: migracje zmieniają się na naszych oczach, podlegamy presjom zewnętrznym i wewnętrznym, świat wygląda inaczej niż kilkanaście lat temu.

Kilkanaście lat temu mówił Pan w „TP”, że na skutek kryzysu demograficznego Polska będzie potrzebować najpierw kilkuset tysięcy, a potem kilku milionów mało wykwalifikowanych imigrantów – wtedy horyzontem był 2035 r., w którym liczba mieszkańców kraju miała spaść o dwa miliony. „Siło robocza, przybywaj”, brzmiał tytuł tekstu.

W 2009 r. żyło wśród nas ok. 100 tys. cudzoziemców. Dziś mamy ich 2,5 miliona, czyli tyle, ile miało być w 2035 r. Jeszcze 10 lat temu Polska była państwem typowo emigracyjnym – więcej ludzi wyjeżdżało, niż przyjeżdżało. Po pierwszym etapie agresji Rosji na Ukrainę, ale też na skutek znaczącego wzrostu zezwoleń na pracę i wiz studenckich dla obywateli

państw afrykańskich, azjatyckich czy bliskowschodnich, zmieniliśmy się w kraj imigracyjny. Rozwijająca się gospodarka potrzebowała rąk do pracy, uczelnie zmagające się z niżem szukały studentów. Jednak kluczowa zmiana nastąpiła wraz z napływem uchodźców wojennych z Ukrainy. Straciliśmy kontrolę nad procesami migracyjnymi. Pora ją odzyskać.

Jak czytam strategię, to mam poczucie, że nikomu się nie spodoba. Nawet tym uczelniom i pracodawcom chcecie ograniczyć napływ świeżej krwi. W wywiadzie dla „Krytyki Politycznej” powiedział Pan, że lepiej teraz zapłacić cenę PKB mniejszego o 0,2 proc., niż za pięć lat przeznaczyć 1 proc. PKB na wyzwania związane z obecnością migrantów, których nie zdaliśmy zintegrować.

Kiedy rozmawiam z pracodawcami, to oni mówią, że przede wszystkim chcą jasnych komunikatów. W strategii je dostają. Oczywiście imigracja nadal będzie uzupełniała niedobory na rynku pracy, ale nie może być tak, że mimo przyjęcia prawie dwóch milionów pracowników pojawia się oczekiwanie ściągnięcia kolejnych dwóch milionów. Gdzie jest koniec?

Spójność społeczna kosztuje, to po pierwsze. Po drugie, powinniśmy być mądrzejsi o doświadczenia krajów Europy Zachodniej, które w latach 60. i 70. XX w. masowo otwierały się na migrantów, ale lekcewały potrzebę ich integracji. Trudno zamknąć oczy na pojawiające się tam zjawisko gettoizacji czy na radykalizację postaw w kolejnych pokoleniach migrantów. Trudno się też spodziewać, że jeśli będziemy robić tak samo, efekty będą inne.

No i przedstawiciel kolejnego rządu straszy migrantami.

Nic podobnego! Migracja co do zasady jest pozytywna, zajmuję się tym zjawiskiem naukowo od lat i zawsze będę

to twierdził. Jest też nieunikniona ze względu na zmiany demograficzne i kryzys klimatyczny. Tyle że powinna być ograniczona i kontrolowana: napływ migrantów nie może zaburzać spójności społecznej i zwiększać niepewności w życiu mieszkańców Polski.

Powiedział pan, że strategia się nikomu nie spodoba. Otóż ja mam wrażenie, że ona się podoba wielu osobom, dopóki nie natrafiają na jakiś element, który nie odpowiada ich poglądom. Przedstawiciele lewicy mówią np., że 95 proc. dokumentu jest super, ale kwestionują zapisy na temat możliwości – czasowego i terytorialnego, podkreślam – zawieszania prawa do przyjmowania wniosków o azyl. Ten sam punkt krytykują aktywiści, ale mam wrażenie, że potrafią docenić to, jak wiele mówimy o integracji. Część szkół wyższych krytykuje ograniczenie masowego importu studentów, ale inne się cieszą, że nie będą miały do czynienia z nieuczciwą konkurencją ze strony tamtych, nazywanych wręcz „pralnią wiz”. Gdybyśmy chcieli zadowolić wszystkich, to nie stworzylibyśmy dobrego dokumentu.

Ja nie mówię, że on jest niedobry.

Mam raczej wrażenie, że jest słuszny jak list Episkopatu, którego później księża nie wcielają w życie.

A da pan jakiś przykład?

Czytam o humanitaryzmie, o udzielaniu pomocy migrantom, których zdrowie i życie mogłoby być zagrożone, o ochronie cudzoziemców należących do tzw. grup wrażliwych. Ale potem myślę o strażniku granicznym, który w trakcie pushbacku sięga po przemoc.

Mówimy o dokumencie strategicznym. Pokazującym kierunek, który zamieni się w konkret na poziomie legislacji. Proszę jednak zwrócić uwagę, że nawet bez ustaw i rozporządzeń, wydając dyspozycje Straży Granicznej i Policji, tworząc grupy poszukiwawczo-ratownicze, doprowadziliśmy do sytuacji, w której na granicy w zasadzie przestali ginąć ludzie. W 2023 r. o tej porze mieliśmy 18 zgonów, teraz mamy dwa, z czego jeden dotyczy zaatakowanego nożem polskiego żołnierza.

Pushbacki jak były, tak są, choć w świetle prawa międzynarodowego trudno uznać ich legalność.



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

W Polsce mieszka ok. 2,5 miliona cudzoziemców – z kraju typowo emigracyjnego w szybkim tempie zmieniliśmy się w imigracyjny. Warszawa, czerwiec 2019 r.

Pushbacki nie zniknęły, bo w polskim instrumentarium nie ma żadnego narzędzia do obrony przed wojną hybrydową, w której część ludzi na granicy jest *de facto* bronią w rękę Łukaszenki i Putina – bronią, która ma posłużyć destabilizacji społeczno-politycznej w Polsce i w UE.

O tym, że z pushbackami szybko nie skończymy, mówiłem przed wejściem do rządu – podkreślając, że bezpieczeństwo nie może wykluczać człowieczeństwa. Sposób, w jaki poprzednia władza postawiła zaporę na granicy, jej nieszczelność, nie sprzyjały zapanowaniu nad kryzysem. Potrzebujemy odzyskać kontrolę nad sytuacją także po to, by pushbacków nie było. Już dziś jest ich zdecydowanie mniej, a nie powinno być wcale także dlatego, że one nie działają – jeśli ktoś już się dostał z drugiego końca świata na Białoruś, nawet po pushbacku będzie próbował przekroczyć granicę ponownie.

No a co z tymi, którzy chcą wystąpić o ochronę międzynarodową?

Jeżeli wnioski są prawidłowe, powinny być przyjmowane. Tak stanowi obecne prawo. Proszę jednak zdawać sobie sprawę z realiów: 95 proc. takich osób w ciągu dwóch tygodni opuszcza Polskę i dociera do Niemiec, które chcą odsyłać je z powrotem. Część nie chce być zarejestrowana i zatrzymana, nie chce składać wniosków. Musimy, podkreślam, musimy odzyskać kontrolę nad granicą. Uszczelnić ją. Wysłać w świat sygnał, że – wbrew rozsiewanej przez Moskwę i Mińsk propagandzie – ten szlak nie jest niestrzeżony. Ale potrzebujemy też zmian legislacyjnych, bo Konwencje genewska czy dublińska nie przewidywały

Łukaszenki i Putina ani tego, że Niemcy wprowadzą kontrole graniczne.

Dzisiejsze przepisy nie przystają do rzeczywistości. Ukształtowane po II wojnie zasady przyznawania ochrony są wykorzystywane przez reżimy dyktatorskie. Szlak migracyjny idący przez naszą granicę został sztucznie wykreowany, a dotychczasowe ustawodawstwo obejmujące kwestie azylowe takich przypadków nie przewidywało. To rzeczy, o których również mówiłem przed wejściem do rządu. Nie jestem hipokrytą. Boli mnie natomiast to, że nie udało mi się zażegnać konfliktu między aktywistami i służbami.

Może z perspektywy Pańskiego gabinetu nie widać tych, którzy nocą przedzierają się na mrozie przez las.

Oczywiście, że widać. Migracje to zjawiska dotyczące ludzi, ze wszystkimi cechami odróżniającymi jedną osobę od drugiej. Indywidualizacja jest tu kluczem. Trudno ją jednak osiągnąć, mając do czynienia z kilkudziesięcioma nielegalnie przekraczającymi granicę mężczyznami.

Dobrze byłoby wyrwać tę rozmowę z czarno-białych opozycji.

Wszyscy prześladowani w krajach swojego pochodzenia powinni móc dostać azyl, tu się zgadzamy, ale pomyślmy o tym, że często ów azyl jest zasłoną dymną. Co zrobić z osobami, które wnioskuje o ochronę międzynarodową, ale nie mówią, że tak naprawdę chcą się dostać do Niemiec? Może kiedy opowiemy sobie tę historię do końca, lepiej się zrozumiemy? Naprawdę jesteśmy na wojnie hybrydowej. Bezpieczeństwo państwa jest zagrożone. I nie jest tak, że aktywiści

stoją po jasnej stronie mocy, a strażnicy czy minister Duszczyk są bandytami.

Bandytami?

Ataki w mediach społecznościowych czy na spotkaniach dotyczą mnie regularnie. Nazywają mnie mordercą, najgorszym typem człowieka, jaki można sobie wyobrazić. Czasami trudno po takich oskarżeniach usiąść do kolejnej rozmowy, ale chowam emocje do kieszeni. Zwłaszcza że mam świadomość zrealizowania wielu założonych celów, włącznie z tym bardzo dla mnie ważnym: zero śmierci przy granicy. Kiedy w kwietniu rzuciłem to hasło, sporo zaryzykowałem, ale to był dla mnie priorytet i cieszę się, że został również zapisany w strategii.

Ten wywiad jest dla „Tygodnika”, więc ośmielę się powiedzieć o nadstawianiu drugiego policzka. Nigdy na ataki się nie odwinę. Cenię ludzi, którzy ratują życie. Nawet jeśli mam poczucie, że nie wszystkie życiorysy ratowanych są prawdziwe, nigdy nie powiem, że ratowanie ludzi przed śmiercią czy odmrożeniami jest czymś złym. Nie: jest czymś dobrym. Ale musimy zobaczyć kontekst sytuacji.

Hanna Machińska, dawna zastępczyni Adama Bodnara w biurze Rzecznika Praw Obywatelskich, więc ktoś, kto również był urzędnikiem państwowym, sypie przykładami osób spotkanych w lesie. Opowiada o kobietach w ciąży, o 17-letnich dziewczynach...

Panie redaktorze, cała moja wiedza o kanałach migracyjnych podpowiada, że 17-letnia Somalijka nie znalazła się na polsko-białoruskiej granicy przez przypadek.

To, czy ona albo jej rodzice zostali skuszeni fałszywymi obietnicami, niczego w jej sytuacji nie zmienia.

Ale doprowadźmy to rozumowanie do końca. Pytanie brzmi, co się stanie z tą dziewczyną za dwa-trzy tygodnie – i aktywiści nie mają na nie odpowiedzi. Nie możemy jej zamknąć w ośrodku strzeżonym, bo ma 17 lat. Nie możemy jej umieścić w domu dziecka.

Więc?

Z państwowej placówki takie osoby najczęściej uciekają, nawiązując kontakt z przemytnikami. Ich celem nie jest złożenie wniosku o ochronę w Polsce, tylko

→ wyruszenie w dalszą drogę i często, niestety, podjęcie działalności umożliwiającej spłatenie długu zaciągniętego przez rodzinę w kraju pochodzenia. A tu wchodzi kwestia przestępczości zorganizowanej.

Widziałem działania Greków, którzy próbowali zapobiec handlowi dziećmi syryjskimi w 2015 r. w Pireusie. To są naprawdę trudne rzeczy. I kiedy oskarża się mnie, że nie pomagam 17-letniej dziewczynie na granicy, to odpowiadam, że chcę zamknąć kanał migracyjny także po to, by Polska nie stała się państwem tranzytowym dla handlu ludźmi. By mój kraj nie przykładął ręki do tego procederu, podtrzymując fikcję wprowadzania do systemu kogoś, kto ucieknie i trafi w ręce handlarzy. To kolejny przykład, że prawo nie przystaje do obecnych realiów. Potrzebujemy globalnego porozumienia na temat handlu ludźmi. Cieszy mnie, że Polska przesunęła się w rankingach państw do grupy najbardziej efektywnie walczących z tym procederem.

Tylko czy nieprzykładanie ręki na pewno ma się sprowadzać do zamykania granicy i szukania furtek w prawie międzynarodowym?

To nie jest szukanie furtek. Wypracowujemy rozwiązania zgodne z polską konstytucją i prawodawstwem europejskim. Jestem po rozmowach z przedstawicielami Komisji Europejskiej, którzy przyznają: „chronicie bezpieczeństwo państwa, więc wolno wam to zrobić”.

Powtarzam: mówimy o ograniczonym czasowo i terytorialnie zastosowaniu instrumentów limitujących dostęp do naszego terytorium w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa państwa. Kraj frontowy, stojący wobec zjawiska instrumentalizacji migrantów przez wrogich mu sąsiadów, musi mieć możliwość obrony. Nie możemy zawiesić prawa do azylu – ale możemy zawiesić dostęp do naszego terytorium w celu złożenia wniosku azylowego.

A nie jest tak, że Komisja Europejska daje zielone światło, bo politycy w całej Europie mają problem z popularnością populistów grających na antymigranckich instynktach?

Nie patrzę w tej perspektywie. Nie startuję w wyborach, nie jestem politykiem: jestem ekspertem od migracji, którego poproszono o scenariusz wyjścia z kryzysowej sytuacji. Politycy mogą go przyjąć albo



TOMASZ GOŁĄB / GOŚĆ NIEDZIELNY / FORUM

PROF. MACIEJ DUSZCZAK jest wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji. Politolog, ekspert i badacz migracji, współtwórca rządowej strategii migracyjnej na lata 2025-2030 „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo”.

nie – i w obrębie koalicji rządowej przyjmują, zarówno konserwatywna część PSL-u, jak najbardziej lewicowa część lewicy, z którą dyskutujemy o zapisie azylowym i wydaje mi się, że kiedy zobaczy akt prawny, jej wątpliwości też się rozwieją.

A opozycja?

Opozycja z natury ma kłopot z przyznaniem, że rząd robi coś dobrego. Choć ja np. chwalebę PiS-owską inicjatywę utworzenia Centrów Integracji Cudzoziemców. Przyznam natomiast, że ze zdziwieniem słuchałem pana prezydenta, który mówił, że ta strategia komplikuje sytuację uchodźców politycznych z Białorusi – jest wręcz przeciwnie. Podobnie dziwiłem się słowom prezesa Kaczyńskiego, że to strategia, która prowadzi do „multi-kulti”: mam wrażenie, że ona ma raczej zapobiegać „multi-kulti”. W polityce integracyjnej jej priorytetem jest przecież akceptacja przez cudzoziemców norm i zasad obowiązujących w Polsce.

Czytam: „Polska wdroży program zapobiegania i przeciwdziałania radykalizacji religijnej oraz kultywowania sprzecznych z polskim prawem tradycji. Cudzoziemcy, którym udowodnione zostanie takie postępowanie, będą podlegać powrotom przymusowym do państw ich pochodzenia”.

To właśnie przykład wyciągnięcia wniosków z doświadczeń krajów zachodnich, które w imię wielokulturowości milcząco akceptowały sprzeczne z prawem działania niektórych grup migranc-

kich. Dzisiaj płacą za to wysoką cenę, łącznie z zamachami terrorystycznymi.

Państwo ma rozstrzygać, co jest radykalizacją religijną? Ryzykowne.

Wolność religijna jest oczywistością. Ale jeśli religijny radykalizm wiąże się z łamaniem prawa, np. z nawoływaniem do nienawiści, państwo musi działać.

Czytam ten dokument jak miażdżącą recenzję dotychczasowej polityki migracyjnej wielu krajów zachodnich.

One same mają świadomość popełnianych błędów – a my mamy okazję ich uniknąć. Nie możemy udawać, że w ostatnich latach nic się nie wydarzyło.

A co się wydarzyło?

Poczucie bezpieczeństwa w wielu państwach członkowskich spadło do najniższego poziomu w historii. I jest to kojarzone z obecnością cudzoziemców. W Europie znów są osiedla zamieszkiwane głównie przez migrantów lub osoby o korzeniach migracyjnych, w części społeczności migranckich kwitnie przestępczość. Są przestępstwa, w których migranci się wyspecjalizowali. Nawet u nas daje się zaobserwować to zjawisko, choć na nieporównanie mniejszą skalę.

O jakich przestępstwach Pan mówi?

Przed wszystkim o przemyśle i handlu ludźmi, także o handlu narkotykami. Statystycznie cudzoziemcy w Polsce nie popełniają więcej przestępstw niż Polacy, ale widzimy pewną specjalizację.

Trudno jednak mówić o błędach w polityce migracyjnej bez poruszenia kwestii integracji, bo to dwie strony tej samej monety. Przez lata różne państwa przyjmowały migrantów zakładając, że ci wkrótce wyjadą, więc nie ma potrzeby wydawania pieniędzy na integrację. To był podstawowy błąd – i my również powinniśmy przyznać, że Ukraińcy, którzy mieszkają dziś w Polsce, prawdopodobnie już zostaną. Wykorzystując ich potencjał, musimy unikać potencjalnych napięć.

Do pewnej podstawówki od dłuższego czasu chodzi ukraińskie dziecko.

Było akceptowane i lubiane do chwili, gdy któryś z kolegów puścił w klasie filmik o zbrodni wołyńskiej.

Szkola musi w takiej sytuacji zareagować – ale szkoła nie może być sama.

Obligatoryjne włączanie dzieci ukraińskich w nasz system edukacyjny łączymy z powoływaniem asystentów międzykulturowych.

Ale sytuacja, o której pan mówi, jest też skutkiem tego, jak wyglądają relacje polsko-ukraińskie i tego, że władze w Kijowie nie mają woli zmiany podejścia do zbrodni wołyńskiej.

Dzieci za to nie odpowiadają.

Zgoda. I jako rząd jesteśmy świadomi takich napięć, a za proces wspierania szkół, do których chodzą dzieci migrantów, odpowiada minister Joanna Mucha. Ściśle współpracujemy.

Niech mnie Pan jeszcze przekona, że cała ta strategia nie ma być dla rządu politycznym paliwem.

Kiedy zaproponowano mi stanowisko wiceministra, uświadomiłem sobie, że oznacza to wyjście z gigantycznej strefy komfortu. Jestem badaczem migracji, który posiada najbardziej cytowane artykuły na świecie, byłem też ekspertem zarabiającym wystarczająco dużo pieniędzy w rozmaitych grantach czy ekspertyzach. A teraz obrywam z każdej strony. Gdyby tu chodziło o polityczny PR, po pierwsze by mi tego nie zaproponowano, a po drugie ja bym tego nie wziął. Moim zdaniem strategia jest właśnie dokumentem, który zmniejsza upolitycznienie problemu. Koncentrujemy się w niej na konkretnych sprawach, a nie na politycznej nawalance.

Widział Pan przecież te kampanijne spoty straszące uchodźcami. Tytuł dokumentu, „Odzyskać kontrolę, zapewnić bezpieczeństwo”, również brzmi jak slogan.

Ale zadaniem państwa jest dawać ludziom bezpieczeństwo, dotyczy to nie tylko sytuacji na granicy, ale np. wzrostu wynagrodzeń czy kondycji służby zdrowia. I nie chodzi wyłącznie o bezpieczeństwo osobiste. Żyjemy w czasach niepewności, dotyczącej wojny w Ukrainie, kryzysu klimatycznego czy lęku przed kolejną pandemią – jeśli dodamy do tego jeszcze niepewność, jaką budzi obecność nieintegrujących się z nami migrantów, dla społeczeństwa może to już być za wiele.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI



DOROTA KWIATKOWSKA

Plafon z podobizną Lecha Wałęsy na Zamku Królewskim w Warszawie.

Podczas stanu wojennego plafon Marcella Bacciarellego rekonstruował prof. Janusz Strzałecki i nadał jednej z postaci rysy przywódcy Solidarności.

Wąsy Wałęsy

DOROTA KWIATKOWSKA

Janusz Strzałecki pracę nad głową Turka zaczyna od przestudiowania czarno-białego zdjęcia. Maluje ciemne oczy i charakterystyczne wąsy. Kupiec w niebieskim turbanie ujarzmiający wielbłąda ma symbolizować poskromienie Rosji. Jest rok 1982.

RZUCILI BUTY.

Mama zakłada mi kombinezon, buzię smaruje kremem Nivea. Wychozimy. Koła wózka skrzypią w śniegu, krótki spacer mnie usypia. Sklep obuwniczy jest na pierwszym piętrze. Mama zostawia wózek na dole i wchodzi na górę. Mężczyzna przy ladzie kupuje dwie standardowe pary. Chce wziąć jeszcze trzecią, dużą.

– A pan co, na handel bierze? Ja dla męża potrzebuję, bo nie ma w czym chodzić!

Do sklepu wchodzi żołnierz, karabin ma przewieszony na skos. Zimowa czapa zsunęła mu się na oczy.

– Czyjeś dziecko płacze w wózku na dole!

– To moje – mówi mama. Nie jest pewna, czy w głosie żołnierza słyszy troskę, czy oskarżenie. Kupuje zimowe relaksy (rozmiar 46) i szybko wychodzi. Jest luty 1982 roku, a ja mam cztery miesiące. Połowa mojego życia to stan wojenny.

Z dzieciństwa pamiętam mgliste opowieści dorosłych o strajkach, czołgach →

→ i kartkach na deficytowe towary. Na podwórku prowadziliśmy wojny na patyki i powtarzaliśmy to, co mówiło się w domach. Wybory rodziców decydowały, w której było się bandzie.

Turek ogląda się na wschód

W Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku dowiaduję się, że na Zamku Królewskim w Warszawie wisi plafon z podobizną Lecha Wałęsy. Sufity malował tam pod koniec XVIII wieku Marcello Bacciarelli. W czasie II wojny światowej Zamek zburzyli Niemcy; odbudowa ruszyła dopiero po wydarzeniach grudnia 1970.

– Podczas stanu wojennego plafon odnawiał profesor Janusz Strzałecki i w tajemnicy przed władzami przerobił jedną z postaci – tłumaczy mi Anna Zelmańska-Lipnicka, autorka doktoratu o malarzu.

W czwartą sobotę na Zamku jest pusto. Idę prosto do apartamentów ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Po Sali Audiencyjnej krąży w ciszy kilka osób ze słuchawkami na uszach. Patrzę na sufit, a głos w audioprzewodniku objaśnia: „Owalne malowidło przedstawia rozkwit sztuk, nauk, rolnictwa i handlu pod panowaniem Stanisława Augusta. Autorem tej części plafonu był Marcello Bacciarelli. Kompozycja obrazu pozwala ogarnąć wzrokiem jego całość”.

Rzeczywiście, z dołu widać wszystkie postacie naraz. Z prawej strony znajduje się dwóch mężczyzn we wschodnich płaszczach i zawojach na głowach. Jeden z nich to Turek o twarzy przypominającej Lecha Wałęsę. Ma długie, ciemne wąsy i jako jedyny ogląda się za siebie – na wschód.

Z audioprzewodnika dowiaduję się jeszcze, że Janusz Strzałecki rekonstruował zniszczony po wojnie plafon przez 7 lat. Nie skończył swojej pracy, zmarł w 1983 r.

Przez salę przechodzą trzy grupy z przewodnikami. Żaden z nich nie wspomina o plafonie.

Malarz na leżaku

– Profesor Strzałecki potrafił się wczuć w styl Bacciarelliego do tego stopnia, że po

jego śmierci myśmy powiedzieli: „Nikt już nie będzie tego dotykał. Zostawimy tak na wieki” – tłumaczy były dyrektor Zamku Królewskiego, prof. Andrzej Rottermund.

Strzałeckiego pamięta bardzo dobrze: – Za każdym razem, jak przechodziłem przez Salę Audiencyjną, to profesor leżał na leżaku ustawionym na rusztowaniach i tak malował. O Wałęsie nigdy mi nie opowiedział, ale na Zamku się o tym mówiło.

– Osobowość mego stryja Janusza można podsumować określeniem *esprit de contradiction*, duch sprzeczności – mówi z kolei jego bratanek, dziś 87-letni prof. Andrzej Strzałecki. Ma nienaganną dykcję i do rozmowy w naturalny sposób wtrąca francuskie zwroty. Pomysł z Wałęsą uważa za polityczny fortel stryja.

Przodkowie Strzałeckich od pokoleń kolekcjonują dzieła sztuki, malują i konserwują. Dziadek Janusza, powstaniec styczniowy, odnowił między innymi zniszczone wnętrza Zamku Królewskiego. Sam Janusz ma 17 lat, gdy w 1920 r. jako ochotnik idzie na wojnę z bolszewikami. Odłamek kuli, która ciężko go rani w bitwie o Grodno, nosi w ciele do końca życia.

Studiuje w krakowskiej ASP i kilka lat spędza we Francji. Tam przybiera pseudonim Jast, maluje, wygrywa konkursy, poznaje Pabla Picassa, chodzi na bale, ma szalone powodzenie wśród kobiet. Podczas okupacji z drugą żoną Jadwigą prowadzi dom dla sierot i ratuje żydowskie dzieci. Jego syn Ryś ginie w powstaniu warszawskim.

Po zakończeniu wojny zakłada Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Pięknych w Sopocie i zostaje jej pierwszym rektorem. Po kilku latach wraca do Warszawy i do emerytury uczy malarstwa. W 1975 r. dostaje propozycję rekonstrukcji plafonu na odbudowywanym zamku. Rok później rozpoczyna prace nad malowidłem, które pamięta jeszcze z opowieści dziadka. Plafon odnawia wspólnie z trzecią żoną Urszulą, ale już po rozwodzie. Robią to jako przyjaciele. Urszula zapisze po latach: „Jast uważa Wałęsę za swojego syna”.

Cenzura kroi trzykrotnie

Dzienniki Urszuli Brzozowskiej-Strzałeckiej również znajdują się na Zamku; cztery bruliony przechowywane są w archiwum. Jest w nich wszystko: receptury farb, relacje z plenerów i prac nad plafonem, sytuacja w Polsce, losy Wałęsy. Urszula wkleja zdjęcia Janusza, wyniki jego badań (choruje na raka krtani), pocztówki i szkice. Używa różnych kolorów, często nie stosuje interpunkcji, zdania zapisuje jedno nad drugim. Dużo skreśla. Literę stawia duże i okrągłe. W kilku miejscach znajdują się zapiski Janusza – pismo jest mniejsze i wyraźnie pochylone na prawo.

31 sierpnia 1980 r. Urszula notuje: „Koniec strajku na Wybrzeżu. Jast zachwycony L. Wałęsą”.

Dwanaście dni wcześniej Krystyna Jagiełło, dziennikarka tygodnika „Literatura”, pakuje do torby szczoteczkę do zębów, koszulę nocną i mydło. Magneto fonu nie bierze, boi się, że zabiorą. O szóstej rano jedzie pociągiem do Gdańska. Po podpisaniu porozumień sierpniowych wraca do Warszawy i pisze reportaż, który cenzura okroi trzykrotnie. Wyłatują wszystkie zdania o Wałęsie.

Córką Krystyny Jagiełło jest dr hab. Aleksandra Bernatowicz, profesor w Instytucie Sztuki PAN i autorka artykułu o rekonstrukcji plafonu, która wiele godzin rozmawiała o tym z Urszulą Strzałecką.

Zastanawiamy się nad tym, czy Janusz Strzałecki pytał kogoś o zgodę, zanim namalował Turkowi twarz Wałęsy. – Myślę, że była to tajemnica, chociaż ówczesny dyrektor Aleksander Gieysztor na pewno by się zgodził, bo poglądy miał takie jak nasze środowisko. Tu bardzo niewielu ludzi było związanych z władzą – mówi Bernatowicz.

O swojej mamie dziennikarce wspomina, gdy mówię, że urodziłam się w 1981 r. W tej i innych rozmowach okazuje się to kluczem otwierającym różne opowieści. Moi bohaterowie mają dzieci w zbliżonym do mnie wieku. Chcą opowiedzieć mi, jak było kiedyś.

Ta noc potrwa długo

Krystyna Jagiełło o stanie wojennym dowiaduje się z radia. Telefony są wyłączone, więc dopiero później usłyszy, że aresztowano kilkoro jej znajomych. Szykuje z małą Oleńką paczkę ciepłych ubrań dla internowanych. Temperatura spada do

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



Lech Wałęsa opuszcza miejsce internowania w Arłamowie, 15 listopada 1982 r. Przywódca Solidarności był przetrzymywany w miejscu odosobnienia na mocy bezprawnie wprowadzonego stanu wojennego, od 13 grudnia 1981 r.

Obok: Janusz Strzalecki i Urszula Brzozowska-Strzalecka przy pracy nad rekonstrukcją plafonu Bacciarellego. Zdjęcie z dziennika Urszuli Brzozowskiej-Strzaleckiej, które artystka przekazała do archiwum Zamku Królewskiego.

minus dwudziestu stopni. „Ta noc potrwa długo. Pewnie parę lat” – notuje.

Urszuli śni się z kolei Lech Wałęsa. „Byliśmy razem i zastanawialiśmy się, jak długo trzeba gotować makaron podczas stanu wojennego” – zapisze rok później.

Janusz Strzalecki bardzo przeżywa aresztowanie lidera Solidarności. „Stan wojenny. Nastroj smutku. Jast dużo pali. Śledzimy losy Wałęsy” – czytam w dzienniku Urszuli.

Przewodniczący Solidarności zostaje interviewany i przebywa w Otwocku. W notatkach służbowych ma kryptonim 333. Starszy inspektor Biura Ochrony

Rządu zapisuje: „W dniu 23.03.82 r. »333« zwrócił się z prośbą o dostarczenie mu Visolvitu oraz dobrego mydła kąpielowego. Ponadto stwierdził, że o ile nie dostanie z powrotem radia, będzie wszędzie opowiadał, że był represjonowany”.

3 maja 1982 r. prof. Strzalecki kończy 80 lat. Tak naprawdę urodził się 23 maja, ale za sprawą dziadka powstańca urodziny dawno temu przeniesiono na dzień Święta Konstytucji. Wchodzi na Zamek przez Bramę Senatorską. Jest po kolejnym, długim pobycie w szpitalu. Mija Salę Koncertową, w której prof. Rottermund wraz z innymi historykami spo-

tyka się, by porozmawiać o konstytucji – sesja naukowa ma się wkrótce rozpocząć. Przechodzi do Sali Audiencyjnej i rozpoczyna pracę.

O godzinie 11 na plac Zamkowy przybywa generał Wojciech Jaruzelski, pierwszy sekretarz KC PZPR i przewodniczącym Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON). Rozpoczynają się oficjalne obchody 3 Maja. Po ich zakończeniu plac pustoszeje.

Po południu znów zaczyna gromadzić się tam tłum, zwołany przez podziemną Solidarność. Zbiera się też milicja. Studenci niosą transparenty z hasłami: „Wypuścić Lecha, zamknąć Wojciecha”, „WRONA skona”. Powiewają flagi z namalowaną czerwona szminką napisem Solidarność.

Dziennikarka Krystyna Jagiełło z placu Zamkowego zapamięta adidasy, znak rozpoznawczy demonstrantów. „Tylko w takich butach można przecież dobrze uciekać” – zapisze tego dnia w dzienniku.

Zomowcy atakują około szesnastej.

Fotoreporter Chris Niedenthal patrzy na plac Zamkowy z mieszkania swojej koleżanki. Opowie potem, że z góry wszystko wyglądało trochę jak teatr. ZOMO nawołuje do rozejścia. Demonstranci się cofają, by za chwilę ponownie ruszyć. Zomowcy znów atakują. Strumień wody z armatki przyciska ludzi do drzwi przy bramie zamku.

Przez okno Sali Audiencyjnej wpada dym zmieszany z gazem. Prof. Strzalecki i Urszula więcej dzisiaj nie namalują. Huk wystrzałów przerywa sesję naukową, historycy podbiegają do okien. Widzą młodych ludzi rozganianych pałkami i wodą.

– Zamek był otoczony i dowiedzieliśmy się, że nie będziemy mogli wyjść. Siedzieliśmy tam do 10 wieczorem – opowiada mi prof. Rottermund.

Gaz, żywica i zapach farby

W tym samym czasie Tomasz Taraszkiewicz, student szkoły teatralnej, na ulicy Miodowej rzuca kamieniami w zomowców, krzycząc: „Gestapo, gestapo!”. Przed stanem wojennym aktywista NZS, teraz jest w podziemiu. Razem z kolegami drukuje nielegalne czasopisma.

Niegdyśiejszy student Tomasz jest dziś kustoszem na Zamku. Prowadzi zajęcia dla Uniwersytetu Trzeciego Wieku i opowiada o ciekawostkach z czasów

→ odbudowy, w tym o postaci Wałęsy na plafonie. Reakcje są różne. Jedni są zadowoleni, inni się oburzają. Prawie wszyscy są zaskoczeni.

Taraszkiewicz jest pewien, że wydarzenia tamtego dnia wpłynęły na Janusza Strzałeckiego: – On widział to, co działo się na placu Zamkowym, zomowców bijących ludzi długimi pałkami. Postać podobna z twarzy do Lecha Wałęsy to był jego cichy protest.

Wydarzenia z 3 maja 1982 r. pamięta doskonale: – To była nasza młodość. Zomowcy nas gonili, my w nich rzucaliśmy kamieniami. Pamiętam, że wprowadzało nas w euforię, gdy oni się nagle cofali. Mieliśmy wtedy poczucie, że jednak mamy jakąś siłę.

Strzałcki wyjdzie z Zamku grubo po zmroku, gdy plac robi się pusty.

Dziennik Urszuli: „Jesteśmy zmęczeni i zagazowani przez ZOMO. Wypuścić Lecha, wsadzić Wojciecha”.

W wąskich uliczkach Starego Miasta gryzący zapach gazu unosić się będzie jeszcze kilka dni. Powietrze oczyści się dopiero 9 maja, po burzy.

W Sali Audiencyjnej pachnie za to żywicą. Urszula miesza specjalną emulsję z jajkiem i wodą destylowaną. Farby muszą mieć skład naturalny, jak w XVIII wieku. Dodaje 5 gramów bieli. Kolor jej się podoba.

W podziemnej drukarni, z którą związał się student Tomasz, używa się innej techniki. Sprawdzona już receptura farby drukarskiej to pasta czyszcząca „Komfort”, olej i tusz. Można też użyć budniuni albo wiórków szarego mydła.

Najnowszy numer „Tygodnika Akademickiego” jest jeszcze ciepły po wy-

druku, gdy 13 czerwca milicja aresztuje całą redakcję. Następnie miesiąc student Tomasz spędzi na Rakowieckiej. W celi będzie z nim siedział chłopak z Radia Solidarność, opozycjonista z regionu Mazowsze Solidarności oraz szpieg CIA.

333 w Bieszczadach

Wałęsa, czyli „333” z notatek oficerów BOR-u, od maja przebywa w ośrodku dla internowanych w Arłamowie, w Bieszczadach. Gdy nadchodzi lato, odwiedza go żona Danuta z siedmiorgiem dzieci. Spędzą tam prawie 6 tygodni. Pobyt całej rodziny jest finansowany przez państwo. Rozmawiają, spacerują, grają w ping-ponga i bilard. Posiłki jedzą w pokoju.

Funkcjonariusze BOR-u notują: „Do obiadu »333« wraz z żoną i dziećmi przebywał na tarasie. Po obiedzie nie wychodził z pokoju. O godz. 21:00 wraz z żoną, po uśpieniu dzieci oglądał film francuski »Głina czy łajdak«”.

W notatkach służbowych zapisują wszystko: szczegóły podsłuchanych rozmów, nazwiska odwiedzających, liczbę dostarczonych papierosów i kartek pocztowych.

W tym czasie na Zamku Janusz Strzałcki zaczyna malować Turka. Dobiera zieleń do szarawarów i czerwień do kaftana. Przez kolejne upalne tygodnie powstaje niebo, wielbłąd i perski dywan. Na szczycie w sali działa klimatyzacja.

Malarz studiuje też czarno-białe zdjęcie lidera „S”, które dostał od znajomych związanych z Solidarnością na Wybrzeżu. Maluje ciemne oczy i charakterystyczne wąsy. Kupiec w turbanie staje się Lechem Wałęsą.

– Turek ujarzmiający wielbłąda to była taka parabola – wyjaśnia mi Andrzej Strzałcki, profesor z nienaganną dykcją i bratanek Janusza. – To człowiek, który ujarzmił dziki wschód, Rosję.

11 listopada 1982 r. Urszula notuje w dzienniku: „Wczoraj podobno umarł Breżniew. Wypuszczono Lecha Wałęsę”.

42 lata później

Z prezydentem Wałęsą rozmawiam przez telefon. Akurat tego dnia jest na wybieżce w Arłamowie. Pytam go, czy wie o plafonie ze swoją podobizną.

– Meldowano mnie w podobny sposób jak pani, ale nigdy nie sprawdzałem tego – mówi.

Ciekawi go, czy Janusz Strzałcki nie miał kłopotów z powodu plafonu. Zapewniam, że nie.

– Cieszę się i niedługo podziękuję mu osobiście. Mam już przecież 81 lat – mówi.

Próbuję protestować, a potem wspomniam, że ’81 to mój rok urodzenia. Do tej pory na tę wieść moi rozmówcy stawali się bardziej otwarci. Wałęsa ich przebija. – *Oh my God!* Zazdroszczę pani! – słyszę.

Wracamy do plafonu. – Dotarło to do mnie, tylko że ja miałem wiele problemów, a na te miłe rzeczy nie było wtedy miejsca. Zresztą, nie lubię być weteranem. Ja chcę walczyć, proszę pani.

Po rozmowie przesyłam mu zdjęcie plafonu, które zrobiłam na Zamku. Chwilę później wstawia je na Facebooka. Pod zdjęciami spotykają się dwie grupy komentujących. Ludzie piszą: „Jest pan symbolem wolności!”, „Jest pan symbolem zdrady!”.

© DOROTA KWIATKOWSKA

REKLAMA



„POWRÓT FATUM”

Nowa książka TOMASZA STAWISZYŃSKIEGO

Podobno każdy jest kowalem własnego losu.
Ale czy na pewno?



znak litera
nova

TOMASZ

Stawiszyński: Oblicza Twittera



JEDNĄ Z PIERWSZYCH DECYZJI, JAKIE PO zakupie Twittera podjął Elon Musk, było zniesienie tam wszelkiej „cenzury”. A dokładniej rzecz ujmując: zwolnienie ludzi, którzy zajmowali się filtrowaniem treści i weryfikacją faktów. Nie stało za tym jednak wy-

łącznie wolnorynkowe przekonanie, że to sami użytkownicy wszystko sobie we własnym zakresie najlepiej uregulują. Stało za tym coś więcej, mianowicie: opowieść o radykalnie skorumpowanych, kłamliwych i niewiarygodnych „mediach głównego nurtu”. Prześiąkniętych polityką, kumoterstwem, dyndających na pasku wielkich korporacji – zwłaszcza, jak wiadomo, farmaceutycznych.

Cóż, jest w tym oczywiście okruczeństwo. Świat mediów konwencjonalnych, by tak rzec – oficjalnych, kruszeje co najmniej od czasu kryzysu finansowego 2008 r. i wielkiej cyfrowej rewolucji, która też mniej więcej wtedy się rozpoczęła. Uwikłania polityczne, propaganda udająca obiektywizm, nakręcanie panik moralnych, zależność od wielkiego kapitału – to niektóre jego przywary. Ale któż nie ma żadnych? W wydaniu Muska – i wielu innych antysystemowych autorów – przywary te wypełniają wszakże całość krajobrazu, urastając do rangi jakiejś wielkiej, zaplanowanej mistyfikacji. Założenie jest tutaj takie, że ktoś świadomie, strukturalnie ukrywa przed ludźmi prawdę – podając im w zamian ogłupiającą papkę – a w tle skutecznie swoje malwersacje. Po to więc właśnie Musk „uwolnił” Twittera (przy okazji zmieniając jego nazwę na „X”), żeby stworzyć przestrzeń, w której, dla powszechnego dobra, będą działały reguły nieskrępowanej wymiany informacji.

Czy faktycznie działają? Otóż nie jest, jak przypuszczam, żadnym zaskoczeniem, że zamiast bezkompromisowego, niezależnego dziennikarstwa mamy tam teraz wysyp najdziwniejszych bzdur, nienawiści, pomówień, kłamstw i wymysłów. Nie jest to zaskoczeniem, wszędzie bowiem, gdzie nie funkcjonują mechanizmy filtrowania, gdzie nie ma procedur świadomego, podporządkowanego jakiemuś systemowi wartości odsączania ewidentnych jadów i fantazmatów od przekazów rzetelnych i sprawdzonych – dzieje się to samo. Najświeższym – i bardzo pouczającym – przykładem jest historia portalu 4chan.org, który stał się kilka lat temu rozsądnym teorii spiskowych głoszonych przez niejakiego „Q”. Ale nie tylko przez niego. Niepoddani żadnym ograniczeniom użytkownicy 4chan propagowali wszelkie możliwe perwersje i drastyczności. Słowem, wszystkiego tam było pod do-

statkiem, tylko nie niezależnych, zweryfikowanych, niechby i „niewygodnych dla mainstreamu”, prawd.

Dzisiaj, po dwóch latach od momentu przejęcia przez Muska, podobnie wygląda platforma „X”. Oprócz teorii spiskowych, pornografii i agresywnych, nienawistnych postów, największą popularnością cieszą się tam filmy przedstawiające przerażające sceny wypadków, morderstw czy krwawych bójek. W większości amatorskie nagrania – ze smartfonów, kamer na ulicach czy w samochodach – na których ludziom albo zwierzętom dzieje się krzywda. Im potworniejsza, tym lepiej.

Zwrócił na to ostatnio uwagę Sam Harris – autor świetnego podcastu „Making sense”, niegdyś ważna postać „nowego ateizmu” – który, nawiasem mówiąc, dawno już konto na „X” zlikwidował. Przypomniawszy w tym kontekście krążący w latach 80. na kasetach VHS cykl filmów „Oblicza śmierci”. Dzieło to było kompilacją najstraszliwszych sposobów, w jakie człowiek może rozstać się z życiem, częściowo zainscenizowanych, częściowo autentycznych. Czy ktoś jeszcze – zwracam się do czytelników urodzonych w stosownych latach – pamięta tę makabrę? Otóż platforma „X” przypomina dziś właśnie filmy z tego cyklu. Różnica polega tylko na tym, że w latach 80. dostęp do nich był ograniczony. Jedna kasetka wędrowała po wielu domach, oglądało się to na kiepskim telewizorze, w fatalnych kopiach – choć i tak z poczuciem, że się przekracza jakieś bariery, jakieś tabu. Tymczasem teraz jest zupełnie inaczej. Rzeki, morza, oceany makabry wylewają się z tabletów i smartfonów. Wszystko jest na widoku, wszystko jest dostępne, pod ręką, w jakości HD. A zatem powszednie, blaknie, obojętnieje. Staje się elementem tła. Sądzić, że nie przekłada się to na naszą codzienną wrażliwość, że pozostaje bez wpływu zarówno na ludzi wchodzących dopiero w dorosłość, jak i tych już psychicznie ukształtowanych, to, jak sądzę, cechować się daleko posuniętą naiwnością.

A jest to przecież tylko jeden z przykładów, które ilustrują, że ów mit „samoregulacji”, niewidzialnej ręki rynku, wypierania treści bezwartościowych przez wartościowe, niefiltrowanego obiegu informacji, w którym sami użytkownicy zapewniają sobie najwyższą jakość – opiera się na fałszywych przesłankach. Widać to zwłaszcza w rzeczywistości wirtualnej, gdzie władzę sprawują niewidoczne algorytmy, a to znaczy: rozmaite agendy wpływu, polityczne stronnictwa, wielkie korporacje i służby specjalne.

Tak, dokładnie to chcę powiedzieć: przede wszystkim w owej „nieregulowanej przestrzeni” ich władza okazuje się praktycznie nieskończona. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.

RZKA OBIECANA

Maciej Robert, poeta, pisarz:
Moje miasto, Łódź, powstało dzięki rzekom.
A potem im się odwdzięczyło – zakopując je.

ANNA GOC

CZUJESZ? TERAZ MAMY POD GÓRKĘ – Maciej Robert odwraca się, by sprawdzić, czy za nim jadę. – Rzekę, która płynie w kanale pod ziemią, trudno zobaczyć, ale można ją poczuć.

Przed nami Łódź. Trasę wyznaczy nam Łódka – rzeka, której nie ma.

Ma dwadzieścia kilometrów, dlatego wypożyczamy rowery, których metalowe błotniki będą się tłukły przy każdej próbie ominięcia ścieżek.

1.

Zaczynamy od osiedla Stoki, położonego na Wzniesieniach Łódzkich, czyli najwyższej części miasta. To tu źródła mają niektóre miejskie rzeki – poza Łódką także Jasień, Ner, Sokołówka, Bzura.

Łódka, której dzisiejsze brzmienie jest równie słodkie, co niepoważne, na początku nie miała nazwy. – Rzeka była rzeką – mówi Maciej.

Gdy ją poznawał jako chłopiec, dał jej własną nazwę – „Smródka”.

W latach 80., gdy przemysłowa Łódź była u szczytu rozkwitu, Łódka zmieniła kolor każdego dnia. – Zimą zamarzało wszystko, tylko nie woda w Łódce. Unosiły się nad nią kłęby pary, śnieg zalegał kilka metrów od brzegów – opowiada.

– Ciekawiła?

– Raczej odpychała, głównie z powodu zapachu – mówi.

Wtedy nie wiedział, skąd ten zapach. Myślał, że wszystkie rzeki tak wyglądają: zmieniają kolor wody i brzydko pachną.

Gdy miał cztery lata, jechał z rodzicami nad morze. Przejeżdżali przez most. Pamięta ten widok: ogromna woda, po obu stronach. Gdy wracali, zapytał rodziców, czy już minęli jezioro. I nie mógł uwierzyć, że to nie jezioro, tylko Wisła.

– Tam się zaczęła fascynacja rzekami?

– Fascynacja rodzi się z braku, z tęsknoty, z tego, że czegoś, czego pragniesz, nie możesz mieć. Dla mnie jako mieszkańca Łodzi oczywiste jest to, że rzeki nie mam. A jeśli chcę ją mieć, muszę się wysilić, pojechać sześćdziesiąt kilometrów na zachód, nad Wartę, albo tyle samo na wschód, nad Pilicę. A jeśli jest wysiłek, jest i święto – mówi.

W górnym fragmencie biegu Łódki, gdzie mamy zacząć spacer, koryto rzeki zwykle jest puste. Wąski nurt można zaobserwować jedynie przy większych opadach.

– Właśnie taką Łódź pamiętam z dzieciństwa – opowiada, gdy opuszczamy centrum. – Kobiety traciły pracę w przemyśle włókienniczym, a innej nie było. Miasto, które jeszcze chwilę temu goniło pod względem liczby mieszkańców Warszawę, zaczęło podupadać. Ludzie wyjeżdżali, a ci, którzy zostali, żyli wśród ruin.



Nad rzeką Łódźką w okolicach ulicy Prochowej
na Brusie w Łodzi, 24 października 2024 r.

do książki. Zabrał mapy, ale okazały się bezużyteczne – na większości z nich rzeki były zaznaczone, ale na miejscu trudno było wytropić nawet koryto.

– To nie są moje tereny, w dzieciństwie penetrowałem końcowy odcinek Łódki. Wędrówka w górę rzeki była dziewiczą wyprawą – mówi.

I dodaje, że woda zawsze go interesowała, a jednocześnie przerażała.

– Pływasz?

– Bardzo długo nie umiałem pływać i być może dlatego bałem się wody. Nauczyłem się po trzydziestce. Pewnego dnia byłem nad jeziorem Insko, wszedłem do wody i popłynąłem.

– Poczekaj.

– Mówię poważnie. Woda była przejrzysta, zanurzyłem się po pierś i popłynąłem. W morzu fale na zmianę podmywają i wciągają. Jezioro bywa spokojne, prawie majestatyczne. Najbardziej lubię jednak pływać w rzece. Możesz położyć się na plecach, poczuć zimny nurt, który cię niesie. Spróbuj.

3.

Zatrzymujemy się w miejscu, gdzie znów przez chwilę widać rzekę. To Stoczanka, najmniejszy dopływ Łódki. Na powierzchni można zobaczyć tylko niewielki fragment, właśnie tu – u wylotu kanału.

– Czujesz zapach? – pyta Maciej. – Charakterystyczny smrodek, który zapamiętałem z dzieciństwa.

Stajemy na mostku. Maciej wychyla się za barierki.

– Ktoś chyba był niedawno przy kanale – pokazuje ślady butów odcisknięte w zmiękczonej wodą ziemi. – Czyżby kanał był otwarty? – dziwi się i wyjaśnia, że duże stężenie trujących gazów uniemożliwi nam wejście do środka.

Po sekundzie jego bluza wisi już na poręczy mostku, a on zeskakuje.

– Idziesz? – pyta. Po czym, nie odwracając się, dodaje: – Tędy! Zobacz, otwarty.

Zapala latarkę, zagląda do kanału: – Co za smród! Ale woda jest czysta.

To ostatnie miejsce, gdzie ją widzimy. Przed centrum miasta płynie w podziemnym kanale. Odtąd pójdziemy śladem rzeki.

4.

Najpierw wchodzimy na teren Parku Helenów. W XIX wieku należał do Anstadtów, synów założyciela pobliskiego browaru. Park był ogrodzony, a wstęp był płatny. Schodziła się tu Łódzka socjeta.

– Gdybyśmy zamknęli oczy i przenieśli się do Łodzi z czasów „Ziemi obiecanej” Reymonta, to co byśmy tutaj zobaczyli? – pytam, gdy wychodzimy z parku.

– W tym miejscu zobaczylibyśmy potęgę rozwijającej się Łodzi. Te ceglane budynki są pozostałościami po fabryce Biedermannów. Po drugiej stronie ulicy dawna farbiarnia. A między nimi pałace – Roberta Biedermann, a tutaj Alfreda, jednego z jego synów. Po przeciwnej stronie ulicy zabudowania dawnego browaru Anstadta. Nieco dalej na zachód, już za Parkiem Staromiejskim, mamy ogromne imperium Poznańskiego z okazałym pałacem. A wszystko, nie bez powodu, nad Łódźką. Tutaj akurat, w okolicy Parku Helenów, który jest położony w widocznym obniżeniu, Łódzka często wylewała podczas wiosennych roztopów – opowiada.

Zanim przejdziemy na drugą stronę ulicy Franciszkańskiej i wejdziemy do Parku Staromiejskiego, Maciej mówi, że w tym miejscu zaczęła się Łódź. Najpierw była tu mała wieś, która ponad sześćset lat temu otrzymała prawa miejskie. I nie wykorzystała ich tak dobrze, jak inne ośrodki w okolicy, które zaczęły się prężnie rozwijać.

– Łódź sobie przycupnęła – mówi. – Wskreszili ją Rajmund Rembieliński i Stanisław Staszic, który szukał dobrego miejsca na produkcję przemysłową. Właśnie tu zobaczył, ile Łódź ma walorów: bliskość zachodnich przemysłowców, pobliską kolej warszawsko-wiedeńską. I najważniejsze: niezliczone łódzkie źródła, których wielkość być może nie imponuje, ale mają na tyle wartki nurt, by wprawić w ruch młyny i maszyny fabryczne.

W taki sposób Łódka i Jasień zdecydowały o rozwoju Łodzi. Potem Łódź im się odwdzięczyła – zakopując rzeki.

5.

Wchodzimy do Parku Staromiejskiego. Przed nami ulica Północna. – Gdy rok temu zrywano tu asfalt, dokopano się do kanału Łódki – mówi.

Jej obecność zdradzają też nazwy ulic – naprzeciw mamy Podrzeczną, która wcześniej była Nadrzeczną, a jeszcze ↗

2.

Stajemy nad korytem, w którym nie-mrawo płynie woda.

– To, co tutaj widzisz, nie jest wodą Łódki. W latach 90. przy Akademii Sztuk Pięknych powstał staw i to właśnie stamtąd spływa woda do koryta – opowiada.

– Przejdiesz? – pyta, ale po chwili jest już na środku dwóch złączonych rur, które wiszą nad korytem jak most.

Zerkam w – na moje oko – dwumetrową przepaść: – Dobra, ale musisz po- dać mi rękę.

Więc tu wszystko się zaczyna. Łódzka po raz pierwszy daje o sobie znać. Choć tylko pustym korytem.

Schodzimy w dół, na tereny, gdzie Łódzka jeszcze w XIX wieku regularnie wylewała, co dziennikarze odnotowywali zwykle na przełomie marca i kwietnia.

Maciej przyszedł tutaj po raz pierwszy kilka lat temu, gdy zbierał materiał

→ wcześniej Nad Rzeką, bo wytyczono ją nad Łódką. W innej części miasta jest też Wodna. Albo Księży Młyn.

Wiele można też wyczytać z ukształtowania terenu. – Przejdźmy się Po drzeczną, żeby poczuć, jak odwzorowuje pofalowany bieg rzeki. W Łodzi, gdzie ulice w centrum zostały wytyczone od linijki, to tym bardziej widoczne – sugeruje.

Zatrzymujemy się przy parkowej mapie. – Zobacz: dwieście czternaście metrów nad poziomem morza, a tu dwieście dwadzieścia. Spadek od strony wschodniej, gdzie Łódka płynie pod Parkiem Staremińskim – mówi.

Idziemy dalej, aż do Oka Śledzia – niewielkiego otworu w ziemi, przez który można zerknąć do kanału Łódki i podejrzeć jej podziemne życie. – Przypomina wizjer w drzwiach do celi. Zaglądasz do więźnia, który jest skazany na dożywocie. Widzi światło, ale na wolność już nigdy go nie wypuszczą – mówi Maciej, pochylając się nad otworem.

Obok niewielka tablica: 1917 rok, początek kanalizowania Łódki. I czarno-białe zdjęcie: kilkadziesiąt osób w płaszczach i garniturach stoi nad częściowo już skanalizowaną rzeką.

– Jest coś smutnego w tym zdjęciu.

– Przypomina fotografię z pogrzebu – mówi Maciej.

Właśnie tu, w miejscu dawnego targowiska, zaczęły się kłopoty Łódki.

Po dniu targowym rozkładały się i gniły resztki jedzenia, biegały szczury. Odpadki trafiały do rzeki, a ta roznosiła je dalej. Zatruta była nie tylko woda w rzece, ale też w pobliskich studniach. Stąd powracające epidemie. Wtedy właśnie zdecydowano, że jedynym rozwiązaniem będzie pozbycie się problemu, czyli rzeki.

– Jak wygląda kanalizowanie rzeki?

– Prawdopodobnie najpierw betonuje się dno, co w przypadku Łódki nie było specjalnie trudne, potem brzegi koryta, a na końcu powstaje półokrągłe sklepienie.

Pochylamy się nad otworem kanału. Widać ruch, wartki nurt Łódki.

– Zdarza się, że po deszczu nawet ją słychać – mówi.

Zanim wyjdziemy z parku, zatrzymujemy się jeszcze na chwilę.

– Zobacz – Maciej wskazuje na dwa rzędy drzew, które pochylają się lekko nad kilkumetrowym odcinkiem zaro-

śniętym trawą. – Chciałbym wierzyć, że wiele lat temu te drzewa rosły nad rzeką.

6.

Przed nami Manufaktura.

– Gdybyśmy przyszli tu w latach 80., zobaczyłabyś ruiny upadłych zakładów włókienniczych. Brama z zegarem, którą przed chwilą minęliśmy, witała robotników – opowiada.

Dzisiaj te tereny są jedną z wizytówek Łodzi. Ich rewitalizacja zaczęła się kilkanaście lat temu. Pod spodem płynie Łódka. – Pojawiły się nawet plany, by ją wydobyć. Zdjęto wąż do kanału, ale zapach był tak straszny, że szybko z pomysłu zrezygnowano. Poza tym Łódka płynie pięć metrów pod ziemią, więc i tak nie byłaby dobrze widoczna.

Kupujemy kawę, siadamy w niewielkim lasku, tuż obok dawnego liceum Macieja.

O tym, że Łódka towarzyszyła mu od dawna, zorientował się, gdy zbierał materiał do książki.

Płynęła pod jego szkołą. Jej budynek stał w miejscu, gdzie na początku XVIII wieku był młyn na Łódce.

Płynęła pod pałacem Alfreda Biedermanna, gdzie pracował nad doktoratem, gdy mieściła się tam siedziba kulturoznawstwa.

Płynęła pod przystankiem, na którym stracił jedynekę i dwójkę. Chodził wtedy do liceum, prowadził życie awanturniczo-rozrywkowe. Należał do grupy punkowej, była też druga grupa – skinheadów.

– Przypomnij mi, żebyś opowiedział coś o tym przystanku – rzucił, gdy przejeżdżaliśmy rowerami ulicą Drewnowską.

Potem, gdy szliśmy dalej śladem Łódki przez Park na Zdrowiu, sąsiadujący z łódzkim ogrodem zoologicznym, wrócił do Drewnowskiej. – Dopiero niedawno odkryłem, że straciłem zęby w miejscu, gdzie do podziemnej Łódki wpada jej dopływ, też podziemny – Ostroga. W „Londynie podziemnym” Peter Ackroyd cytuję badania, które dowodziły, że w miejscu zbiegu podziemnych rzek kumuluje się zła energia. Znacznie częściej dochodzi tam do przestępstw i rozbojów. I to by się zgadzało.

7.

„Rzeki, których nie ma”, esej z elementami reportażu, wpisuje się w opowieści o wodzie, których w polskiej literaturze

w ostatnich latach przybywa – są wśród nich „Wisła. Biografia rzeki” Andrzeja Chwalby czy „Woda. Historia pewnego porwania” Szymona Opryska. W przyszłym roku ma się ukazać w polskim tłumaczeniu „Dart” Alice Oswald.

Przed „Rzekami, których nie ma” były tomy poetyckie Macieja Roberta i motywy wodne – w tytułach: „Pora deszczu”, „Śnieg”, w kolejnych wierszach.

Podczas pierwszego naszego spotkania, tuż po spływie kajakowym Redą, proszę, by przeczytał na głos „III” z tomu „Śnieg”. Widzę, że się waha, ale czyta. Potem powie, że to tom osobisty.

Najpierw cytat: „Anka była w ciąży. Na zewnątrz padał śnieg” Wilhelm Sasnał, „Taki pejzaż” (opis obrazu „Pokój”).

„A latem jeździliśmy za miasto, kąpać się wieczorami w rzece” – czyta.

I kolejne fragmenty: „Z drugiej strony, znad łąki, nadciągały mgły, para leciała nam z ust, gdyśmy nago wchodzili do rzeki. Tylko tutaj można było zanurzyć się po szyję (...)”.

„Ktoś dryfował pod lodem aż do samego młyna, podobno woda ujawnia. Rzeką wyjawia ciało, wszystkie jego przygody”.

„Praca żałoby i praca rzeki. Dwie radykalnie różne prace”.

– Skąd tyle śmierci u ciebie? – pytam.

Opowiada wtedy scenę z dzieciństwa. Miał dziesięć, najwyżej jedenaście lat, jechał z rodzicami maluchem przez las. Wyjechali od babci i dziadka, którzy mieszkali pod Łodzią, na cmentarz. Leżał na tylnym siedzeniu i płakał. Bezgłośnie, jak ktoś, kto nie chce być przyłapany na chwili słabości.

– Zdałem sobie sprawę, że jestem śmiertelny – mówi. – Moje wiersze są wychylone w przeszłość i zwykle obcuje w nich ze zmarłymi.

I przywołuje scenę, którą znajdziemy w jego nowym tomie poetyckim, który premierę będzie miał wiosną.

Pojechał z przyjacielem na spotkanie autorskie, które miał poprowadzić. Postanowili odwiedzić miejsce, gdzie zbiegają się Warta i Noteć. Odległe i trudno dostępne. Gdy tam dotarli, zobaczyli rodzinę – rodziców i dorosłego syna, prawdopodobnie z niepełnosprawnością. Oni wędkowali, on siedział w pobliżu ze zdjętymi butami i patrzył na zachód słońca.



MTS DLA „JP”

MACIEJ ROBERT – poeta, eseista, krytyk literacki i filmowy, redaktor. Za „Rzeki, których nie ma” był nominowany m.in. do Nagrody Conrada 2024. Na zdjęciu: Maciej Robert nad rzeką Łódka w okolicach ulicy Prochowej na Brusie w Łodzi.

„Gdzie są wasze kobiety?” – zapytała matka, gdy zobaczyła Macieja i jego przyjaciela.

– Dziwne zdanie, dziwna scena. Jak z końca świata, prawda? – mówi.

8.

Idziemy dalej biegiem Łódki. Zerkam na zegarek, już prawie 15 kilometrów i pewnie co najmniej kilka przejechanych na rowerze.

Teraz będą miejsca, które lubi najbardziej.

– Możemy iść lewą albo prawą stroną. Przy samej rzece nie ma ścieżki ani możliwości przejścia – mówi.

W pewnym momencie skręca w las. Dokładnie wie, kiedy powinien to zrobić, żeby dojść do tego miejsca. Już bez ścieżki docieramy znów nad rzekę: tym razem wcale nie jest jej mało. Kamienie w korycie mają rdzawą barwę.

– Miejsce, gdzie spotykają się Łódka i jej dopływ Bałutka. Dwa betonowe kanały na rzece lekko nachodzą na siebie. Jesteśmy sami, prawie nikt tu nie dociera.

– Trudno powiedzieć, że się zachwyciłem, gdy zobaczyłem po raz pierwszy to miejsce, bo obiektywnie rzecz biorąc, jest tu dość paskudnie, ale spodobało mi się – mówi.

– Ma coś w sobie.

– Przy sporej wyobraźni można w tych potrzaskanych betonowych płytach zobaczyć pozostałości wymarłej cywilizacji zagubionej gdzieś w amazońskiej dżungli. Najbardziej lubię sobie wyobrażać, jak by to miejsce wyglądało, gdyby zedrzyć te wszystkie płyty z brzegów koryta i z dna.

9.

Ostatni łódzki odcinek. Rzeka płynie już tutaj na powierzchni i bez betonowego obmurowania, ale jest prawie niedostępna.

– Musimy się trochę przedrzeć, żeby podejść do rzeki – mówi. – Damy radę? – pyta i nie czekając na odpowiedź, rusza przodem. – Zrobię ścieżkę między pokrzywami – zapowiada, już nie odwracając głowy w moją stronę.

Trawy sięgają nam momentami do ramion, pokrzywy także. Są wciąż świeże, mimo że słońce już jesienne.

Jesteśmy tuż przed miejscem, gdzie Łódka opuszcza Łódź. Niedaleko osiedla, gdzie Maciej spędził dzieciństwo.

– Miałem kolegów w podstawówce, ale tu chodziłem raczej sam.

– W takich wysokich trawach? Byłeś wtedy malutki – dziwię się.

– Przecież to jest fantastyczne: iść w trawach, które cię zakrywają. Wyruszałem czasem z sąsiadem, który był o cztery lata starszy. Też był odmieniec. I zapalonym biologiem, który mnie w jej tajniki wciągał. Dzisiaj jest profesorem neurobiologii w Filadelfii – opowiada. – Widzisz te to pole? – pyta. – Tam musimy dotrzeć.

Po drodze instruuje co jakiś czas: chodźmy górą, dołem może być grząsko; a tu ścieżka w trawach, zobacz; tędy mogły chodzić sarny, ciekawe, czy do rzeki.

– Bażant!

– Albo kuropatwa. Coś dużego! Raczej pani bażant, ma tu swoje legowisko.

– Woda.

– I co teraz? Przeskakujemy?

– Przeskakujemy.

Docieramy do miejsca, w którym poza słupem elektrycznym nie widać nic, co byłoby związane z działalnością człowieka. Niedługo później jest i Łódka.

– Właśnie tak powinna wyglądać. Bez betonowego gorsetu – mówi.

– W czasie pracy nad książką dotarłem tutaj po raz pierwszy, choć mieszkalem niedaleko – opowiada, gdy przedzieramy się do zabudowań byłego PGR-u. – Wtedy odkryłem, że betonowe koryta wychodzące z chlewni, w której do początku lat 90. trzymano tysiące świń, odprowadzały łajno najpierw do specjalnego zbiornika, a stamtąd bezpośrednio do rzeki. To dlatego Łódka, którą poznałem jako dziecko, miała taki zapach.

10.

Na koniec stajemy na drewnianym mostku. Rzeka płynie pod nami, wcale nie jest mało wody, nurtu prawie nie widać.

– Kiedy tutaj byłeś po raz pierwszy?

– Trzy lata temu.

– I co?

– No popatrz tylko przed siebie – zatacza ręką koło.

– Tatuaż jest chyba jeszcze świeży? – patrzę na lewe przedramię.

– Zrobiłem go kilka dni temu. Są na nim dwie moje najważniejsze rzeki, obie wpadają do Neru: Łódka, w pobliżu której mieszkalem w dzieciństwie, i Lubczyzna, najbliższa mi obecnie rzeka. Mam do niej równy kilometr. Wiosną czasem rozlewa. Są nad nią nawet bobry. Poza tym ma taką nazwę, że trzeba ją lubić.

11.

Dzień po łódzkim spacerze wysłał zdjęcie rzeki – dość szerokiej, okazałej.

– Co to za rzeka? – pytam.

– Nasza Łódka!

Wtedy przypominam sobie, że w czasie spaceru opowiedział mi historię tego zdjęcia. Był dzień jego urodzin, przeprowadzał się, przewoził książki. Mostkiem, nad którym skończyliśmy nasz spacer nad Łódką, przejeżdżał tego dnia kilka razy. Był wieczór, burza – ulewa była porządna, trwała godzinę. Zauważył grupkę ludzi, która stała nad rzeką. Zatrzymał się. Okazało się, że Łódka wylała, wyglądała jak jezioro.

Rozmawiał później z kobietą, która mieszka tu od urodzenia, a tamtego dnia podtopiło jej dom. Myślała, że pękła jakaś rura. „A to my mamy rzekę?”, zapytała, gdy Maciej powiedział jej, że to była Łódka.

© P. ANNA GOC



Na Festiwalu Głębi organizowanym przez Fundację Pogłębiarka w Marózkach na Mazurach

ZAROBIĆ NA WIECZNE ZBAWIENIE

Czy przyszłością Kościoła będzie unikatowe połączenie marketingu z duszpasterstwem? Poligonem sprawdzającym są działania ludzi z fundacji Pogłębiarka.

ANNA KORZEC

ECH, GDYBY CAŁY KOŚCIÓŁ TAK WYGLĄ-
dał... Justyna posyła tęskne spojrze-
nie w stronę stodoły, przed którą stoimy.
Odbyna się drugi turnus Festiwalu Głę-
bi – letniego wyjazdu społeczności zgro-
madzonej wokół chrześcijańskiej Funda-
cji Pogłębiarka. Stodoła to główne miej-
sce spotkań 380 uczestników. Na placu
przed głównym wejściem rozstawiono
ciężkie drewniane stoły i ławki. Siadamy
na jednej z nich.

– Na mszach w swojej krakowskiej
parafii słyszę twierdzenia, z którymi
głęboko się nie zgadzam: że ciało jest
złe i grzeszne. Żeby najpierw troszczyć
się o innych, bo troska o siebie jest ego-
istyczna. Oburzają mnie też raniące ko-
mentarze na temat osób homoseksual-
nych, które kilka razy słyszałam z am-
bony.

„Akceptacja” i „otwartość” to słowa,
które często słyszę zarówno od uczestni-

ków, jak i organizatorów festiwalu. – Tu
jest ogromny poziom zaufania. Jakby to,
że korzystasz z Pogłębiarki powodowało,
że jesteś „swoją” – mówi Agata Gregorkie-
wicz, jedna z prowadzących warsztaty.
Wtedy jeszcze nie wiem, że podział na
„swoich” i „tych poza” wróci w niepokoją-
cych rozmowach dwa miesiące później.

W Marózkach, czyli wiosce na Mazurach,
gdzie odbywa się Festiwal Głębi, witają
mnie uśmiechnięci ludzie. Każdy, kogo

proszę o rozmowę, podkreśla, jak wiele daje mu Pogłębiarka.

Duchowość on- i offline

Festiwal Głębi to największe wydarzenie stacjonarne organizowane przez Fundację Pogłębiarka, właściciela darmowej aplikacji o tej samej nazwie. Korzysta z niej 30 tys. użytkowników, którzy mają dostęp do kursów tematycznych (np. adwentowego, wielkopostnego), publikowanych codziennie rozważań Słowa Bożego oraz 10-minutowych medytacji Ewangelii. W każdą niedzielę publikowana jest dłuższa, 45-minutowa medytacja chrześcijańska. W aplikacji można skorzystać z ignacjańskiego rachunku sumienia, zwanego tutaj sortownikiem myśli.

Treści są osadzone w duchowości jezuickiej, bo założyciel i obecny prezes fundacji, Daniel Wojda, to były kleryk tego zakonu. Pogłębiarka startowała jako kanał na YouTube „Medytacje online” w 2015 r. Co niedziela pojawiały się tu prowadzone przez Wojdę medytacje. Sześć lat później prowincjał jezuitów zdecydował, że kleryk powinien opuścić zakon. W nagrany wtedy przez Wojdę oświadczeniu można było usłyszeć, że „przyczyna tej decyzji nie jest, jak często w takich sytuacjach bywa, związana z jakimś skandalem. To kwestia tego, że Towarzystwo Jezusowe ma zobowiązania w pracach, które wykonuje, a ja z moją charakterystyką się po prostu nie wpisuję w bardzo wiele tych prac”.

Prowincjał wydał też zgodę na zaangażowanie jezuitów w prace fundacji – np. Mieczysław Łusiak SJ jest autorem codziennych rozważań do Ewangelii. Rok po odejściu Daniela Wojdy z zakonu (w 2022 r.) odbył się pierwszy Festiwal Głębi – jeden turnus, który zgromadził 300 osób. Tegoroczny festiwal to trzy turnusy, w których łącznie wzięło udział 1140 osób. Plan festiwalu podzielono na bloki tematyczne: duchowość, psychologia i ciało. – Największą popularnością cieszyły się w tym roku warsztaty związane z ciałem – mówi Izabela Mendakiewicz, koordynator Wydarzeń i Spotkań. – Po otwarciu zapisów na festiwal 120 miejsc na ten blok rozeszło się w minutę.

Boskie ciało

Warsztat „Boskie ciało” w Warszawie zaczynaemy od rundy zapoznawczej – każdy z siedzących w kręgu (przedział wiekowy

od 20 do ponad 60 lat) mówi, dlaczego tu jest. Jakub: „Chciałbym zapoznać się ze swoim ciałem, bo na razie wydaje mi się, że jestem od niego oderwany”. W wypowiedziach ponad dwudziestu osób można usłyszeć m.in. o radości z tego, że tu są, ale też o lęku.

Potem Agata Gregorkiewicz (tancerka, nauczycielka świadomej pracy z ciałem oraz Mindfulness-Based Stress Reduction) poprosiła, abyśmy zaczęli chodzić po sali w kole, skupiając się przy tym na sobie, nie na innych. „Zauważcie swoje stopy, teraz stopy patrz na inne stopy”.

Po jakimś czasie mam wrażenie, że zaczynam być bardziej świadoma własnego ciała, które jakby odnalazło połączenia między swoimi częściami. Wokół migają stopy: z pomalowanymi na czerwono paznokciami, surowe, ze sterczącymi skórkami. Teraz mamy wyjść z koła i rozproszyć się po sali. „Spójrzcie na inne ciała, jeszcze bez nawiązywania kontaktu wzrokowego”. Po kilku minutach możemy już sobie spojrzeć w oczy – niepewnie, z lekkim napięciem. Potem mamy „znaleźć na sali odpowiednie miejsce, w którym moglibyśmy zostać”. Zaczynają się ćwiczenia indywidualne i w parach.

– Wydawało mi się, że ćwiczenie, w którym przez kilka minut mieliśmy patrzeć w oczy innej osoby, będzie trudne – mówi Jakub, jeden z dwóch mężczyzn, którzy uczestniczyli w warsztacie. – Po chwili zorientowałem się, że czuję, jakbyśmy z tą koleżanką znali się od dawna. To było bardzo otwierające doświadczenie, jak zdjęcie pancerza, który bierze się z konwenansów.

W notatkach zapisał: „Zaufać sobie i innym bardziej”. – W tym roku, czyli w wieku 35 lat, zorientowałem się, że mam samobiczujące przekonania na temat ciała: że nie warto się nim zajmować. To był dla mnie sygnał, żeby spróbować czegoś nowego.

Misyjnie i dochodowo

Czym jest Pogłębiarka? Artur Sikora, manager, który zarządza grupą 211 osób (liderów i wolontariuszy): – To hybryda firmy i wspólnoty; nie da się nas jednoznacznie zaszkladkować. Działalność fundacji ma dwie „nogi”: misyjną, czyli darmowe treści dostępne w aplikacji i poza nią, np. social media, podcasty; i dochodową, do której dostęp jest płatny. Są to warsztaty, webinary, konferencja „Krok w głąb”, Festiwal

Głębi, wydawnictwo, sklep online. Część dochodowa stara się zarobić na część misyjną. Obie integrują tematy z zakresu duchowości, psychologii i ciała.

Daniel Wojda, prezes Fundacji Pogłębiarka: – Lubię patrzeć na Pogłębiarkę jak na wioskę, czyli przestrzeń, która łączy ludzi o podobnej wrażliwości. Wiera jest dla nich ważna, ale nie chcą rozmawiać o niej w starym języku, skupionym na lęku i grzechu. Bardzo porusza mnie, że ludzie odbijają się od Kościoła i mówią: nie wierzę Bogu. A w Pogłębiarce odkrywają, że w Kościele jest dla nich miejsce.

Biznesowe inspiracje

Magdalena Tomicka, w Pogłębiarce jest liderem Centrum Rozwojowego, zawodowo – globalny dyrektor ds. HR w firmie technologicznej, zwraca uwagę, że budowanie relacji i poczucia bezpieczeństwa wspierają narzędzia biznesowe. Mówi, że Kościół, rezygnując z nich, często traci.

– W Pogłębiarce proponuję rozwiązania, które sprawdziły się w ciągu kilkunastu lat mojej pracy w różnych firmach. Po pierwsze, stawiamy na rozwój ludzi. Każdy wolontariusz uczestniczy w podstawowym kursie „Komunikacja Bez Przemocy” (NVC), prowadzonym przez certyfikowanych trenerów. Liderzy sekcji wykonują badanie „Kompas Kariery”, dzięki czemu możemy sprawdzić, czy odpowiedzialności w Pogłębiarce pokrywają się z ich naturalnym potencjałem. Drugi filar działalności naszego centrum to rozwój organizacji. Przeprowadziliśmy audyt naszej misji, wartości i zasad oraz przepływu informacji w zespole. Przygotowaliśmy też jasny opis ról i struktury organizacyjnej. Dzięki temu wiadomo, do kogo w jakich sprawach się zgłosić oraz gdzie kończy się odpowiedzialność danej osoby.

„Czerwone flagi” i wypalenie

Tomicka, zapytana o wyzwania, z którymi mierzy się zespół Pogłębiarki, wskazuje moment, kiedy zauważono ryzyko wypalenia u wolontariuszy. – Tak bardzo utożsamili się z naszą misją i służbą, że pracowali więcej, niż początkowo zakładali. Z jednej strony dawało im to ogromną satysfakcję, a z drugiej prowadziło do przemęczenia. Przeprowadziliśmy wtedy ankietę dotyczącą ich samopoczucia. Dzięki niej wdrożyliśmy pomysły, jak lepiej o siebie zadbać, np. zmniejszyliśmy liczbę obowiązków, rozdzielając je →

→ między więcej osób, lub umówiliśmy się, że nie będziemy wysyłać wiadomości na naszym fundacyjnym komunikatorze po godzinie 22.

W skuteczność tych działań wątpi Sylwia Bijak, która opuściła Pogłębiarkę, jak mówi, z chęci przemodelowania swojego życia. Pracowała tam przez trzy lata, do października 2023 r. – Z perspektywy czasu widzę „czerwone flagi”, na temat których odbywało się wiele rozmów. Od trzech lat zespół sygnalizuje, że tempo jest za duże. Mówi się, że powinniśmy zwolnić, i to się nie dzieje. Nie przekonują mnie argumenty, że Kościół albo rynek potrzebuje aż tylu projektów, jeśli jest niebezpieczeństwo, że zespół będzie przepracowany, albo nie będzie czasu na dopracowanie pewnych przestrzeni w organizacji. W takich miejscach jest jednak jeden problem: ludzi, którzy są wolontariuszami, dużo łączy. Na przykład ogromna skłonność do brania nadodpowiedzialności. To nie jest tylko o Pogłębiarce, to jest o zjawisku. Uważam, że zespół Pogłębiarki tworzą wspaniałe osoby, którym dużo zawdzięczam i które bardzo szanuję. Tym bardziej przykro mi obserwować, że powodem wielu odejść z tej organizacji jest właśnie wypalenie.

Daniel Wojda mówi, że odejść z zespołu jest niewiele. – Niektórzy uznali, że to, co robią, już ich nie rozwija lub nie cieszy. Nie uznałbym tego za wypalenie, tylko zwyczajny czas na zmianę. Sygnał o możliwym wypaleniu pojawił się w zeszłym roku. Cały zespół przeszedł wtedy szkolenie z work-life balance. Koordynatorów sekcji poprosiliśmy, żeby dbali, aby wolontariusze nie pracowali więcej, niż deklarowali w umowach wolontaryjnych. Po wakacjach przeprowadziliśmy też rozmowy na ten temat z koordynatorami sekcji. Wynikło z nich, że problem może dotyczyć jednej osoby, która obecnie zmienia dział, a reszta to nie tyle wypalenie, co frustracje wynikające z niedoskonałych procesów (np. długie oczekiwanie na decyzję, późne powstawanie

materiałów). W efekcie powstała 8-osobowa grupa, która opracowuje zmiany w organizacji zespołu.

Ochrona przed nadużyciami

I w rozmowie z Magdaleną Tomicką, i Danielem Wojdą, wraca temat ochrony przed nadużyciami. – Obserwuję to, co dzieje się w Kościele, i chciałbym zabezpieczyć Pogłębiarkę przed nieprawidłowościami. Zarówno tymi, które wynikają ze struktury organizacyjnej, jak i ludzkich działań – mówi Wojda. – Przeprowadziliśmy już wewnętrzny audyt finansowy. W planach mamy też zaangażowanie znanej ekspertki od nadużyć w Kościele, która ma przeprowadzić rozmowy z członkami zespołu. Po ich zakończeniu wyda dla nas rekomendacje.

Magdalena Tomicka dodaje, że w planach jest też stworzenie dodatkowej komórki, roboczo nazwanej komisją etyczną. Każda osoba z zespołu mogłaby tam zgłaszać potencjalne naruszenia. Komisję mają tworzyć osoby z Fundacji Pogłębiarka i z zewnątrz.

W przeprowadzeniu zmian organizacyjnych zgodził się pomóc też świecki ekspert, który chce pozostać anonimowy. Ma ponad 20-letnie doświadczenie w doradztwie dla przedsiębiorstw i organizacji z trzeciego sektora, w tym katolickich. Pomaga im tworzyć strategie rozwoju i budować ład organizacyjny. Wśród zaproponowanych przez niego rozwiązań jest dokładne opisanie zadań i odpowiedzialności w ramach zarządu, utworzenie rady programowej, która miałaby wspierać zarząd w realizacji misji i wizji fundacji oraz powołanie komisji rewizyjnej, która będzie weryfikować prawne i finansowe aspekty działania organizacji. – W Pogłębiarce przydałaby się też superwizja psychologiczna i duchowa – dodaje.

Bez asystenta kościelnego

Jezuita Krzysztof Dzieńkowski zauważa, że Pogłębiarka nie ma asystenta kościelnego, mimo deklaracji złożonej w filmie nagrany po usunięciu Daniela Wojdy z zakonu. – Wierzę, że Bóg działa przez Pogłębiarkę, Daniela i jego współpracowników. Nie oznacza to jednak wolności od błędów i działania złego ducha. Dlatego niepokoi mnie fakt, że od strony kościelnej Pogłębiarka nie ma nad sobą żadnego autorytetu ani kontroli. Gdyby pojawiły się jakieś nad-



użycia czy nieprawidłowości, Kościół nie ma formalnych środków, żeby reagować. Pogłębiarka mogłaby mieć asystenta kościelnego albo sformalizować działanie jako stowarzyszenie kościelne, jednak tak się nie stało. Pytanie, dlaczego i czy nie jest to lęk przed autorytetem i wpływem z zewnątrz? Trzeba pamiętać, że Pogłębiarka jest jak pętyna parafia: kształtuje duchowo dziesiątki tysięcy ludzi, a to bardzo poważna odpowiedzialność.

Wojda odpowiada, że Pogłębiarka od początku była instytucją świecką bez ambicji stawiania się stowarzyszeniem kościelnym. – Staraliśmy się jednak nawiązać współpracę z instytucjonalną częścią Kościoła. Dwa razy pytałem o to jezuitów: za pierwszym razem odmówili, za drugim odpowiedzi w ogóle nie było. O współpracę i audyt poprosiłem też Dominikańskie Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach i tu też odmówiono współpracy z powodu braku czasu. Na koniec prosiłem o współpracę abp. Adriana Galbasa, który najpierw się zgodził, a następnie wycofał. Wtedy stwierdziłem, że te próby nie mają sensu i zacząłem pracę nad stworzeniem gremium odpowiedzialnego za weryfikację treści w ramach Pogłębiarki: rady fundacji i rady programowej fundacji.

W filmie Wojda mówił, że o. Mieczysław Łusiak SJ nie jest asystentem kościel-



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień są

gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



FUNDACJA POGŁĘBIARKA / MATERIAŁY PRASOWE

Nad jeziorem Maróz podczas Festiwalu Głębi. Lato 2024 r.

nym, bo nie dostał na to zgody. Jest nieoficjalnym opiekunem duchowym Pogłębiarki. – Mietek ogląda wszystkie nasze materiały i kiedy widzi coś niepokojącego, reaguje. Uczestniczy też w większości organizowanych przez nas wydarzeń. Nasza wizja Kościoła nie jest klerykalna: trafnie pisze o tym Marek Kita w książce „Zostać w Kościele. Zostać Kościołem”. Uważamy, że konieczna jest superwizja, ale ani funkcja asystenta kościelnego, ani stawianie się instytucją kościelną nie załatwią tego tematu, co pokazują skandale w Kościele.

Zakaz konkurencji?

Sylwia Bijak, była współpracowniczka Pogłębiarki, mówi też o niepokoju co do duchowego funkcjonowania przedsięwzięcia. – Działa tam Duch Święty, ale nie zgadzam się, że wszystko jest rozczuwane, i że modlitwa jest zawsze na pierwszym miejscu. Jest tam też duży lęk o wypłacalność. Bierze się to z dobrej in-

tencji, bo z poczucia odpowiedzialności za ludzi, których zatrudnia Pogłębiarka. Brakuje może jednak podejścia, że jeśli to Boży projekt, to niech On się o to martwi, nie muszę aż tak biec i stawiać tylko i wyłącznie na swoje zasoby.

– Jesteśmy młodą fundacją, która przez pierwsze trzy lata rozwijała się bardzo dynamicznie. Teraz jesteśmy w fazie refleksji i reorganizacji – przekonuje Wojda. Uważamy, że kwestia wypłacalności i odpowiedzialności za podjęte zobowiązania nie podlega dyskusji. Obowiązkiem fundacji jest zapewnienie bezpieczeństwa finansowego osobom, które zdecydowały się na pracę u nas. Dlatego zarzut, że za bardzo martwimy się o wypłacalność fundacji, uważam za absurdalny.

Sylwia Bijak zwraca też uwagę na – jak mówi – przynajmniej trzy przykre rozmowy o konkurencyjności lidera z wolontariuszami lub pracownikami. Odbyły się one w ciągu ostatnich kilku mie-

sięcy i dotyczyły sprzeciwu wobec zaangażowania wolontariusza we współpracę w podobnych tematycznie projektach. Uważam, że w Kościele powinniśmy grać do jednej bramki. Nie traktować się jako konkurencji, tylko sobie kibicować. Jesteśmy w służbie temu, do czego zaprasza nas Bóg, a nie w służbie danej organizacji, i o tym nie wolno nam zapominać.

Daniel Wojda wyjaśnia: – Rozmowy odnośnie do zakazu konkurencji prowadziliśmy wyłącznie z osobami zatrudnionymi: koordynatorami, którzy mają dostęp do informacji poufnych. Czyli wrażliwej wiedzy z zakresu wytwarzanego przez nas *know-how*, projektów biznesowych lub planów fundacji. Zaczęliśmy je po tym, jak doświadczyliśmy kopiowania wytworów pracy zespołu. Należy odróżnić ograniczanie możliwości działania od dbania o to, co wypracowała organizacja. Jeśli zespół pracuje na jakiś pomysł przez kilka miesięcy, a później ktoś to kopiuje, to nie jest OK. Chcemy tworzyć kulturę szacunku dla wspólnej pracy. Jednocześnie jest dla mnie oczywiste, że ludzie angażują się poza Pogłębiarką. Nie ma tu żadnego zakazu dla wolontariuszy. Niezdrowe byłoby, gdyby tego nie robili.

Biznes w służbie

We wspomnianej książce Marka Kity jest fragment: „W układaniu wewnętrznych stosunków możemy i powinniśmy się zachowywać jak dorośli (por. 1 Kor 14, 20), traktując się nawzajem po siostrzanemu i bratersku – w tym kontekście dbając o posłuszeństwo jednemu Mistrzowi (por. Mt 23, 8. 10). Istnieje droga biegnąca slalomem między czekaniem na aprobatę »władzy duchowej« a buntem wobec wszystkiego, co kościelne”.

© ANNA KORZEC

Autorka jest psychologiem, absolwentką Polskiej Szkoły Reportażu. Publikowała w „Dużym Formacie”.

Tylko na TygodnikPowszechny.pl Czy prawdziwą żałobę zastąpi świat cyfrowych duchów?

Oparte na sztucznej inteligencji aplikacje pozwalają tworzyć wirtualne awatary naśladujące zmarłych.

Dają też szansę umierającym przygotować własne cyfrowe kopie.

Technologia może pomóc pogodzić się ze stratą, ale może też stać się kanalem dla paskudnych form marketingu czy oszustw.

Obawy badaczy budzi też wpływ takich technologii na dzieci.

Polscy badacze z Cambridge, dr Katarzyna Nowaczyk-Basińska i dr Tomasz Hollanek, przyjrzeni się potencjalnym konsekwencjom rozpowszechnienia się „griefbotów” – i podpowiadają, jak radzić sobie z cyfrowymi konsekwencjami naszej śmiertelności.

Artykuł Wojciecha Brzezińskiego, zdobywcy Grand Press Digital and Technology 2023, czytaj na powszech.net/cyfrowa-zaloba



Ulotna pełnia

PIOTR SIKORA

Pamiętaj o śmierci – mówili mędrcy i święci – ta pamięć otworzy przed tobą życie.

NIE MOŻEMY STWIERDZIĆ, ILE ŻYCIA panu jeszcze zostało. Może i kilka miesięcy, lub kilka lat, albo nawet i więcej. Ale biorąc pod uwagę, jaki jest pański organizm, może pan umrzeć w każdej chwili”. To ostatnie zdanie diagnozy brzmiało mi ciągle pod czaszką, jak wyrok: „Może pan umrzeć w każdej chwili... w każdej chwili...”.

Wyszedłem na ulicę. Zakręciło mi się w głowie. Oparłem się wzrokiem o fasadę dobrze mi znanych secesyjnych kamienic. Czy widzę je po raz ostatni?

Wyrok

Przez dobrą chwilę koncentrowałem się na tej pomalowanej najbardziej jaszkrawą farbą. Najpierw wpatrywałem się w nią tępo, świadomością przytłoczoną zalewem wspomnień. Stopniowo jednak moją uwagę zajęło tylko to, co teraz przede mną. Fantazyjny fryz. Sowa. Roślina, jej nazwy nie znam. Wzrok zacząłem przesuwając powoli w lewo, nie pomijając nawet drobnych szczegółów. Sycąc się widokiem wyrafinowanych architektonicznych detali, światłocieniem tworzoną przez słoneczne promienie padające ukośnie w lekko zamglonym powietrzu... Skoro ten widok może się już nie powtórzyć... Nagle dostrzegłem spore pęknięcie tynku. Dość! – pomyślałem. Co tu robić? – skoro „w każdej chwili...”?

Wystawiłem twarz do słońca. Jesienią, gdy ranki już zimne, sporo dni opanowanych przez wilgoć i deszcze, każdą taką

plamę jasnego ciepła na skórze czuje się bardziej przyjemnie niż latem, gdy człowiek raczej chroni się w cieniu. Szkoda, że przez ostatnie dni nie zwracałem uwagi na tę przyjemność – pomyślałem z lekkim wyrzutem wobec siebie samego, przypominawszy sobie mój sposób przemýkania przez czas: z głową zaprzętą mnóstwem planów i spraw do załatwienia jutro, za tydzień, w następnym miesiącu.

Ale dość tych osądających wspomnień, dzisiaj niebo bezchmurne, dziś jestem mądrzejszy, wobec właśnie poznanej diagnozy-wyroku bardziej uważny na dane mi chwile życia: oto światło słoneczne – ciepłe na skórze, żółto-pomarańczowe na liściach przygotowanych do swojego dziecinnego i ostatniego lotu. Leczę co tu robić? Nie mogę tylko tak stać i wygrzewać się w słońcu. Być może to ostatni dzień mojego życia. Jak go spędzić?

Smak

Robi się coraz cieplej, idę na lody, do tej lodziarni na rogu, dawno tam nie byłem. Kolejny dylemat: które smaki wybrać? Wszystkie dobre, a mogę zjeść tylko kilka. Niech będzie – pistacja, malaga i kawa. Jeszcze nigdy nie jadłem lodów tak wolno, pozwalając uwadze odczuwać, jak każdy kawałek wzięty do ust topi się na języku, uwalniając smak. Jakoś wcześniej nie zauważałem, że sama zmiana konsystencji lodów pistacjowych inna jest od malagi, i że obie zmiany też są przyjemne...

Lody skończone, życie jeszcze nie. Ale w każdej chwili... Co teraz? Wiem, co zrobić! Rzucę pracę, wrócę do domu. Zwolnię dzieci ze szkoły, powiem żonie, by wzięła urlop. Spędzimy ten dzień (może i kilka następnych) razem, relacje są najważniejsze! Zaraz, zaraz, nie tak prędko! – stary, zadowolony w synapsach głos odpowiedniego człowieka z teczką obudził się i krzyczał coraz głośniejsze. Nie powiedzieli, że umrzesz dzisiaj! Powiedzieli tylko, że nie mogą stwierdzić, ile życia ci zostało! Być może (zapewne, najprawdopodobniej) będzie to lat kilka, kilkanaście, może i kilkadziesiąt (bo tego nie wykluczyl!). Nie panikuj, nie zmieniaj nic radykalnie! Rzucisz pracę, z czego będziesz żyć, ty i twoja rodzina! Może także i dla ciebie emerytura, a trzeba na nią zapracować. Głupku, nie zapominać, wiele masz dziś ważnych spraw do załatwienia. Chcesz się nacieszyć życiem, a co z tymi, którzy zależą, na przykład z pracy, od ciebie?

Urok

Poszedłem zatem do pracy. Zauważając (że też dotychczas mi to umykało!), jak ładna droga do niej prowadzi. Nadbrzeże rzeki leniwie wystawiającej fale do słońca, park, wąska, uroczą uliczka. Wszedłem przez bramę. Ta klatka schodowa ma klimat! Dzień dobry – usłyszałem od osoby stojącej w holu. Twarz i głos dobrze znane, słowa słyszane codziennie... A jednak: „dzień dobry” – tym razem uderzyło mnie, co znaczy to powitanie.

Dzień – czyli dzisiaj, bo to jedyny dzień, który istnieje, jedyny czas, który mam; dzień – czas, w którym nie śpię, jestem przytomny. Dobry – niektórzy mówią, że fraza „dzień dobry” to skrócona forma życzenia: „niech ten dzień będzie dobry”. Może to i prawda, z etymologicznego punktu widzenia. Ale – to właśnie uderzyło mnie, gdy dziś usłyszałem niby zwyczajne powitanie – na jeszcze głębszym

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

KATOWICE, środa 6 listopada, godz. 18.00
spotkanie z ks. dr. Grzegorzem Strzelczykiem, teologiem,
„Wolność, wiara, Bóg”. Prowadzenie: red. Aleksandra Klich.
Sala Parnassos Biblioteki Śląskiej, plac Rady Europy 1.

WARSZAWA, sobota 9 listopada, godz. 16.00
Zjazd i co dalej – refleksje i plany
po XIII Zjeździe Klubów „TP”.
Kawiarnia Czytelnik Nowe Wydania, ul. Wiejska 12A.

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



poziomie „dzień dobry” to raczej stwierdzenie faktu: dzień, ten dzień, dzisiaj – jest dobry, po prostu.

Tak, tak, nieraz narzekałem: oj, znów poniedziałek..., oj, szkoda, że nie jest wczoraj, wczoraj to było fajnie... ach, Boże!, dziś jest koszmarnie... kiedy nadejdzie weekend, kiedy urlop, kiedy minie ta chwila, ta sytuacja... Lecz teraz, po usłyszeniu diagnozy-wyroku, zrozumiałem (poczułem?), że ten dzień, jaki by nie był, jest dobry. Bo: „w każdej chwili...”, a jednak oddycham, czuję tętno, smak lodów, słyszę „dzień dobry” i mogę odpowiedzieć tym samym.

Odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się do ludzi woła (popatrzyli po sobie, zdziwieni). Zdziwiony byłem i ja. Wykonuję różne czynności, których efekt przyjdzie dopiero za jakiś czas. A jeśli mnie już nie będzie? Zwykle, szczególnie gdy było nudno lub ciężko, wyobrażałem sobie ten moment w przyszłości: dzisiejsze działanie przyniosło efekt, oto sukces i ja w jego centrum! Teraz jednak każde takie wyobrażenie rozwiewała myśl: „w każdej chwili...”. Z drugiej strony ta sama myśl otrzeźwiała uwagę: tu i teraz ruszam się, mogę myśleć, działać, rozmawiać, puszczać w ruch jakiś ciąg przyczynowy... Co się dalej z nim stanie? Teraz nie wiem, może nie dowiem się nigdy, ale w zamian jakaż radość z samego działania. Jakbym nagle zamienił się w dziecko, które właśnie nauczyło się chodzić i bawi się każdym kolejnym krokiem, nie za bardzo dbając, gdzie dojdzie...

Niewiedza

Ten dzień w pracy spędziłem jak w transie, jednocześnie trzeźwo świadomy: praca pracą, nie przeciągnę jej ani minuty, wracam do domu. Znowu wąska, urocza uliczka, park, teraz tramwaj. Cała droga zabarwiona tęsknotą i lękiem: czy zdążę? Czy zdążę pobyć z nimi, dać im odczuć, jak bardzo ich kocham. Nacieszyć się każdym ich słowem i gestem. Usłyszeć, lecz tak naprawdę, nie myśląc jednocześnie o czymkolwiek innym: „Tato, wygraliśmy mecz, strzeliłem dwie bramki!”, „Tato, Jasiu jest głupi, myślałam, że mnie lubi, a on mi dzisiaj dokuczał!”. „Hej, kochanie, kończy się kawa, skończył makaron, cukier i mydło; pojechałbyś ze mną dzisiaj do sklepu?”.

Ale czy mogę im się przyznać do tego, co wiem, a właściwie: czego nie wiem? Czy mogę powiedzieć, że nie wiem, czy ten uśmiech, to przytulenie, ten spacer nie są ostatnie? Ta niewiedza otworzyła mi życie, ale czy ich nie obciąża? Hej, kochanie – spytała mnie przed zaśnięciem – co się stało? To było piękne popołudnie, ale, mam wrażenie, że jesteś dziś jakiś inny... Powiedziałem jej o diagnozie-wyroku, że nie da się stwierdzić, ile jeszcze, że w każdej chwili... Oj, kochanie – powiedziała opierając głowę na moim ramieniu – czy jest na tym świecie ktoś, kto ma inaczej? ©

NATHANIEL GONZALES / STOCK.ADOBE.COM

TO NIEPOZORNY DOM NA UBOCZU, położony niedaleko wlotu Doliny Strążyskiej. Na maleńkim podwórku wala się bale drewna, pomiędzy których wystają rzeźby smukłych postaci. Od tych rzeźb bije cisza. Stoją tam, tak jak pan czy pani w odbłaskowej kamizelce na przejściu dla pieszych obok szkoły. Gości wita siwo-rudy wyżeł, cierpiący na padaczkę Arbuz. Nad drzwiami wisi skromna tabliczka, która nie wskazuje w żaden sposób na bogactwo sztuki nagromadzonej pod tym dachem. W środku Magda Rząsa – pośród wyrzeźbionych przez męża aniołów i fotografii własnego autorstwa, pod żywozielonym portretem św. Franciszka – podaje gościom pierogi.

Galeria Rząsów to ważny punkt na kulturalnej mapie Zakopanego. Znajduje się tutaj stała ekspozycja prac Antoniego Rząsy. To też znane miejsce spotkań i rozmów o sztuce. Pracownia fotografii Magdy. I w końcu – warsztat rzeźbiarski Marcina Rząsy. Ten wszechstronnie wykształcony artysta studiował i tworzył wśród wielkich nazwisk świata sztuki lat 90. u progu salonów Warszawy. Wybrał jednak proste życie z rodziną w Zakopanem. Narty, spacer, kameralne wystawy. Otwarcie mówi o inspiracji Ewangelią i czytaniu z żoną Psalmów przed śniadaniem. A także o tym, że prostota wymaga odwagi.

Jest średniego wzrostu. Ma niebieskie oczy. Wita mnie ubrany w wypłowiałe szorty i górskie sandały. Raczej z przyzwyczajenia prowadzi do słynnej galerii swojego ojca Antoniego, wypełnionej inkarnacjami Piety, Jezusa i świętych. Pytam, czy możemy zejść do jego własnej pracowni na parterze. Godzi się z wahaniem, w obawie, że nie będzie gdzie spocząć pośród dłut, skrawków drewna i wykreowanych przezeń postaci. Choć panuje tu zupełnie inna atmosfera niż powyżej, czuć ten sam spokój, jakby przynależny miejscu. Siadamy na skromnych krzesłkach z nieheblowanego drewna.

Rzeźbiarz ciszy

MARCIN RZĄSA:

Byłem w trzech uczelniach artystycznych, ale mam problem z Jezusem Frasobliwym. A jakiś Jasiek, który podpisywał się krzyżykami, robi rzeźbę dużo lepszą.

MARCIN WÓJCIK: Co Cię wyróżnia?

MARCIN RZĄSA: Myślę, że pierwsza rzecz, która mnie wyróżnia, to że jednym moim „wujkiem” był Władysław Hasior, drugim Tadeusz Brzozowski, że mieliśmy mieszkanie służbowe w internacie szkoły Kenara, gdzie było trzydziestu chłopaków, którzy na co dzień zajmowali się rzeźbą i rysunkiem.

Ja to miałem, od kiedy wystawiłem głowę z łóżeczka i się rozejrzałem dookoła... Hasior wiedział, że bardzo lubię plastikowe, miniaturowe zwierzątka. Zawsze mi coś przywoził, a to lwa, a to coś innego.



Marcin Rząsa, bez tytułu

Kiedys od kogoś innego dostałem plastikowe zwierzęta, tylko zrobione u nas w demoludach na wtryskarce. Wszystkie były w takim sraczkowo-brązowym kolorze. Generalnie fajne były, ale kolor był po prostu rażący. Myślałem, że jak poproszę o pomoc wujka Władka, to wszystko będzie tak, jak powinno być. Dostałem te zwierzęta z powrotem, pomalowane w ten sposób, że z jednej strony były złote, a z drugiej srebrne. Po prostu je rozłożył i tak przejechał sprayem.

Takie spotkania ze sztuką jako dziecko to na pewno jest element, który mnie wyróżnia. Miałem sporo szczęścia, bo Ojciec był przepustką do świata sztuki.

Twój tata zmarł, gdy miałeś piętnaście lat. Przepraszam, jeśli to pytanie trąci banałem... ale czy szukasz dialogu z nim poprzez pracę?

Odkrycie Ojca jako artysty, jako rzeźbiarza, to dla mnie stosunkowo świeża rzecz. Gdy byłem mały, Ojciec chodził do szkoły, bo był nauczycielem, chodził na jakieś spotkania. Na relacje z Ojcem i Mamą nakładało się to, że chorowali. W moich wspomnieniach z tego okresu zawsze jest zimno, pada deszcz. To ponury czas, wszystko nie szło, wszystko się nie udawało.

Ale to, co Ojciec robił – to są refleksje z dzisiaj, nie z dzieciństwa – było zupełnie pod prąd. Nie pasowało do oczekiwań komunij, że będziemy robili przodowników z cegłami, nie pasowało do tej drugiej strony, gdzie artyści się buntowali. Wtedy przyszła taka moda, wręcz niepiśany terror abstrakcji. Ojciec się spotykał z zarzutami, że figuratywną rzeźbą to każdy głupi potrafi się zajmować. A on po prostu twardo robił swoje. I myślę, że zrozumiał, że sensem sztuki nie jest pogoń za nowością, że robienie czegoś zgodnie z modą, a wbrew sobie, nie ma sensu. I gdy czasami zestawiam się z Ojcem, to raczej nie w samej ostatecznej formie rzeźby, bo to są dwa różne światy, ale w podejściu do tego, co się robi.

Ty także rzeźbisz w drewnie.

Drewno jest materiałem dynamicznym. Ty coś mówisz do niego, a ono ci pokazuje figurę z makiem, mówi „wiesz co, to się tak nie da, bo ja tutaj mam sęka na nosie”. I człowiek zaczyna kombinować, jak wybrnąć z jakiegoś tematu, bo rzeźba miała stać na baczność, wertykal-

nie, a tu nagle słoje szaleją, biegają w lewo i w prawo i okazuje się, że czasami trzeba zmienić koncepcję rzeźby. No bo jak się ma coś faliste, to trudno z tego wyrzeźbić proste.

Z czym się zmagasz?

Tu jest kilka płaszczyzn. Najważniejsze są relacje z ludźmi. Gdy okazuje się, że ktoś z dzieci dzwoni, bo ma jakąś rozterkę, to nawet jeśli byłbym wkręcony w wystawę, priorytetem są tarapaty dzieci.

Jeżeli chodzi o rzeźbienie, to jest śmieszna sytuacja. Siedzimy naprzeciwko Jezusa Frasobliwego. I to jest problem, który mam od dość dawna – wyrzeźbić siedzącego chłopca. To symbol prostej plebejskiej pobożności, takiej z serca. Z drugiej strony: myśliciel Rodina też jest Frasobliwym. Ten sam pomysł na ustawienie postaci ludzkiej jest przykładem myśli oświeconej. Próbuje go rzeźbić, przykładając całą swoją akademicką wiedzę. Chcę rozwiązać problem formalny – i to mi nie wychodzi. Tymczasem jest cała paleta wspólnych Frasobliwych autorstwa artystów ludowych, którzy tworzą z serca, żeby pomodlić się w czyjejś intencji. No i to wkurza, że ja byłem w trzech uczelniach artystycznych i sobie z tym Frasobliwym nie daję rady, a jakiś Jasiek, który podpisywał się krzyżykami, robi super rzeźbę, dużo lepszą ode mnie, i miał odwagę na pewne decyzje, a ja się nie mogę na to zdobyć. I wiem, że za tym stoi szczerza wiara.

Wiem, że jesteś religijny. Jak to wpływa na Twoje wybory artystyczne?

Pani Kenarowa opowiadała kiedyś taką fajną historię, że w dawnych czasach popularne było pisanie pod dziełem sztuki „WB” – że to się robi „W Imię Boże”, i że czasami to pisali kompletnie odklejeni od Kościoła i wiary ludzie. Ale to głębokie westchnienie o opiekę jednak im towarzyszyło. Ja tak sobie to tłumaczę, że może właśnie po to chodzę do kościoła i po to myślę o jakiejś wystawie w trakcie mszy, a nie gdzie indziej, żeby to było w imię wartości, żeby jednak prawda się broniła, żeby piękno nas otaczało.

Myślę, że przestrzeganie dziesięciu przykazań i przekazu Ewangelii niewątpliwie ułatwia trzymanie się tego kierunku. Mam nadzieję, że to tro-

chę podskórnie przesiąka do kogoś, kto ogląda moje rzeźby. Jest cała rzesza osób, która jest albo w ogóle niewierząca albo bardzo daleka od Kościoła. Wydaje mi się, że dla nich chwilą na refleksję nad swoim miejscem na ziemi może być wizyta w galerii ze sztuką. Dlatego to takie ważne, żeby sztuka mówiła o wartościach, które budują, tworzą coś dobrego.

Dlatego prowadzicie tę galerię?

Wystawy to jest trochę egoistyczna działalność, bo my z reguły zapraszamy artystów, których prace chcemy mieć przez trzy miesiące u siebie. Możemy wziąć kawę, usiąść i patrzeć. Zastanawiamy się, co chcemy osiągnąć, po co to robimy. Chcemy, żeby to się wiązało z twórczością Ojca. To samo dotyczy galerii Ojca. Mamy świadomość, że los powierzył nam odpowiedzialność za jakiś niezwykle ciekawy fragment polskiego dziedzictwa kulturowego i cały czas się zastanawiamy, jak najlepiej to zrobić, żeby ludzie mogli z tego korzystać.

Czujecie satysfakcję z tego, co tu powstało?

Myślę, że na każdym poziomie relacji – w rodzinie, rzeźbieniu, prowadzeniu galerii... po prostu, żeby to wszystko, co się robi, robić jak najlepiej, bo nigdy nie wiadomo, jak się ten nasz wysiłek przełoży na końcowe efekty. Jak się wystawę robi, znajdzie czas na porozmawianie, to przyjdzie sto osób, ale może jakoś ubogaconych wyjdzie dziesięć. Czuję wielką satysfakcję, gdy ktoś dostaje do ręki kilka moich rzeźb i nagle się kompletnie wycisza, zaczyna sobie je ustawiać po swojemu i widać, że się odkleja kompletnie od tego, że jest brzydka pogoda, że pensja kiepska, że żarcie drogie, że kredyt. Wraca do dzieciństwa, kiedy sobie ustawiał żołnierzyki, wraca do czasu, który był bezpieczny. To są takie drobne satysfakcje. Całego świata się nie zbawi, ale jak się uda jedną osobę na chwilę wybić z takiego durnego tempa, to jest fajne.

Gdy patrzę na Twoje rzeźby, to myślę o Giacomettim, o tych smukłych sylwetkach, w których jest jakiś niewypowiedziany smutek...

Żyjemy w totalnie przerebodziwym świecie. Dawniej wiadomo było, że taki malarz mieszkał w Antwerpii →



Marcin Rzęsa w swoim warsztacie rzeźbiarskim w Zakopanem

MAGDA CISZEWSKA-RZĘSA

Czasami „W Imię Boże”
pod dziełem sztuki
pisali kompletnie
odklejeni
od Kościoła i wiary ludzie.

tam, jak kiedyś wracałem bladym świtem z Morskiego Oka, naprzeciw wyszły mi dwie parki o uroku żulerki z warszawskiej Pragi. Widać, że na kompletnym kacu. Być może już po drodze zrobili jakąś flaszkę i ledwo co się mieścili w szerokości asfaltu. Szarpali się i niecenzurowanymi słowami opisywali swoje doświadczenie: „Ale góra, ja cię kręcę! Ty ku... widziałeś coś takiego?!”. Widać było poziom ich oszołomienia. Potem mijalem takich ludzi, którzy szli wyszpejowani, widać było, że mają plan wyliczony, zdążą czy nie zdążą. Szli z oczami wbitymi w asfalt i w ogóle tego piękna nie widzieli. Jak ktoś sobie tak ustawi głowę, że aby poczuć satysfakcję, musi wejść na Mount Everest, to go to kosztuje strasznie dużo wysiłku i środków. Jeżeli ktoś czerpie satysfakcję z obejrzenia fajnego obrazu, to w Zakopanem jest kilka takich, że jak sobie pójde popatrzeć, to mam z tego przyjemność.

Czemu ma służyć to oszołomienie turystów Tatrami, sztuką, pięknem? Dlaczego to jest ważne?

Ogłaszaliśmy już koniec historii, wszyscy osiedli na laurach i wydawało się, że będziemy beneficjentami dobrobytu. A tutaj nagle jeden psychopata przewraca cały układ i w Polsce pojawiają się ludzie, którzy uciekają przed bombardowaniami i rzeziami w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. To są takie rzeczy, na które my nie mamy żadnego wpływu. Przyroda pomaga odnaleźć swoje miejsce w szeregu, pamiętać, że człowiek jest tylko jakimś fragmentem tego, co tak rok po roku postępuje. To drzewko podrośnie, kwiatek przekwitnie... Kilka lat temu nagle uziemiła nas pandemia. Trzeba było przez dwa lata chodzić do tej samej dolinki i oglądać w kółko Macieju to samo. I okazało się, że jak człowiek zaczyna to oglądać, to widzi nieprawdopodobny świat, który uspokaja, ale też porządkuje głowę –

→ i prawdopodobnie oglądał to i to, kumpłował się z tym i z tym, odbył podróż do Włoch i wiadomo, co po drodze widział. Cała reszta jego życia to kontakt z krzakami. Teraz jest tak, że jak ja jadę do Wiednia pooglądać obrazy, to po drodze widzę sto pięćdziesiąt reklam. To są reklamy robione przez świetnych grafików uzbrojonych w całą wiedzę o tym, jak ta reklama ma wejść do mojej głowy. Na podstawie badań wiadomo, że taki, a nie inny odcień niebieskiego jest najprzejrzystniejszy. Gdyby ktoś przebadał moją głowę, to by się okazało, że siedzi tam

uśmiechnięta gospodyni domowa. A poważnie, jeżeli chodzi o moje fascynacje, to rzeczywiście Giacometti jest na liście artystów, których lubię. Inspiruje mnie także, i wyobrażam sobie, że podobnie mogło być z Giacomettim, rzeźba etruska.

Studiowałeś w Krakowie, Warszawie, Bratysławie. Wybrałeś życie u podnóża Tatr. Jak to na Ciebie wpływa?

Tatry są takim miejscem, które jest świetnym polem do obserwacji, jak wyglądają relacje ludzi z przyrodą. Pamię-

że to jednak jest tak, że jesteśmy taką mrówką z kawału ze słoniem. Twierdzenie, że to my tupiemy, że od nas coś zależy, jest megalomanią.

Mam wrażenie, że my dzisiaj żyjemy w świecie, w którym każdy prezentuje się publicznie tak, jakby już osiągnął szczyt. Czy trudno Ci rywalizować z Instagramem... ..a co to jest?

...z Facebookiem, mediami społecznościowymi? Jak zatrzymać widza pogrążonego w kulturze narcyzmu?

Myślę, że to może nawet łatwiej, bo jak ktoś jest pewny siebie, ma rozbudowane ego i patrzy na rzeźbę, to siebie do niej przyrównuje. Problem polega na tym, że to jednak wymaga wysiłku, że trzeba pójść do galerii, a nie do łazienki, i trzeba spojrzeć na jakieś dzieło, a nie w lustro.

Ktoś kiedyś powiedział, że aby porządnie przeczytać książkę, po-

trzeba tyle wysiłku, ile trzeba, aby ją napisać.

Rzeczywiście, jak się zaczyna drażyć, to zaczyna być trudniej i wyobrażam sobie, że nie zawsze to może być przyjemne, że rzeczywiście sztuka sprowadza na ziemię i mówi nam, że chcielibyśmy lepiej, ale natura ludzka jest, jaka jest. Widzi się, że ktoś w średniowieczu albo w renesansie borykał się z tymi samymi problemami, co my. I człowiek sobie zdaje sprawę, że mimo tego, że oglądamy obrazy, czytamy książki, oglądamy filmy, to nie robimy się od tego ani o krok mądrzejsi.

Jak się ma tłum na Krupówkach do galerii Rzęsy?

Magda wzięła kiedyś aparat fotograficzny, zeszyt i poszła pod Giewont na Herbacianą Przełęcz. To taki punkt, gdzie wszyscy łapią oddech przed tak zwanym „atakiem szczytowym”. I pytała ludzi, po co tu przyszli. To było niesamowite, bo to było losowo i nikt jej nie

odmówił. Z każdą rozmową robiły jej się coraz większe oczy, bo widać było, że oni przeżywają to bycie w górach, że to jest dla nich ważne, że rzeczywiście doświadczają czegoś niezwykłego.

Pamiętam też taką historię, jak robiliśmy tu remont i musieliśmy z tartaku przywieźć strasznie długą belkę. Koleś, który ma traktor samoróbkę, powiedział, że on przywiezie. Zabrał ze sobą syna. Był październik i zaczął padać deszcz ze śniegiem. Przyjechali kompletnie zmarznięci z tą belką, więc wzięliśmy ich na herbatę do galerii. Oglądali, oglądali i nagle ten koleś mówi taką piękną gwarą: „Przyznam się państwu, że my to tak czasami chodzimy na stary cmentarz i tam jest sporo tych takich ludzi, co to poumierali, pozabijali się w tych górach, jacyś tam artyści. Oni nie mają żadnych rodzin. I my tam chodzimy i zdrowaśki odmawiamy, żeby się ktoś za nich w niebie wstawił. No i ja myślę, że oni mnie tutaj przyprowadzili w podzięcie”.

© Rozmawiał MARCIN WÓJCIK

REKLAMA

FESTIWAL GRA Z KANTOREM: BELGIA – PODWÓJNOŚĆ W CRICOTECE



Ile Tadeusza Kantora w Belgii, a ile Belgii w Kantorze – na takie pytania będziemy odpowiadać od 4 do 15 listopada podczas tegorocznej edycji Festiwalu „Gra z Kantorem”. To cykl wydarzeń, które z jednej strony przypomną polskiej publiczności specyfikę i oryginalność teatru belgijskiego, a z drugiej – doświadczą związku teatru Tadeusza Kantora z tym konkretnym kręgiem kulturowym.

„Gra z Kantorem” jest obecna w Cricotece od 2018 roku. Dwutygodniowy festiwal ma kontekst regionalny – w tym roku belgijski. Przyjrzymy się różnym odcieniom belgijskiej podwójności, poczynając od dwóch regionów – Flandrii i Walonii, po dwa aspekty – racjonalny i melancholijny – belgijskiej duszy. Kuratorką tegorocznej odsłony „Gry z Kantorem” jest Karolina Czerska.

Poza pokazami na żywo i projekcjami spektakli w programie festiwalu znalazły się spotkania z belgijskimi i polskimi artystami teatru i z polskimi badaczami belgijskiej kultury, wykłady poświęcone ważnym belgijskim dramaturgom, a także możliwość zanurzenia się w wirtualnej rzeczywistości. Odbędzie się też wystawa i warsztaty dla dzieci.

Festiwal rozpocznie się 4 listopada o godzinie 18:00 w Cricotece spotkaniem z Tale of Tales, twórcami VR „Cricoterie”. W programie między innymi: 9 i 10 listopada spektakl „Daleko od Linden” w reżyserii Giuseppe Lonobilego, oparty na dramacie Veroniki Mabardi; 14 listopada spotkanie z Lukiem Percevaalem prowadzone przez Dorotę Semenowicz; a 7 listopada w Księgarni Lokator wieczór z poezją Veroniki Mabardi i muzyką Karoliny Czerskiej, połączony z premierą polskiego wydania dramatu „Daleko od Linden”.

Więcej informacji o programie festiwalu i biletach na: www.cricoteka.pl

Dofinansowanie

Partnerzy i współpraca



Patroni medialni





ROZMOWA

ROZPALIŁAM OGNISKO

DOROTA SEGDA, AKTORKA:

Staś nie chciał, bym po jego śmierci zamknęła się w żałobie.
Pewnie by mnie z nieba spiorunował, gdyby się dowiedział, że się poddałam.
Żądał, bym rozpoczęła nowy rozdział w życiu.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czy on się Tobie śni?

DOROTA SEGDA: W taki sposób, że odchodzi, zostawia mnie dla kogoś. Nie odbiera telefonów, nie pojawia się na umówione spotkanie. Jakby wrócił etap sprzed 30 lat, kiedy mieliśmy mocne za-wirowania w życiu osobistym. Kiedy już byliśmy w sobie zakochani, ale los nie pozwalał nam jeszcze się związać. I teraz został mnie na dobre.

To życie we dwoje?

Nie jestem w stanie oglądać wspólnych zdjęć i filmów, na których widać, że jesteśmy szczęśliwi, roześmiani. Może powinienam się odblokować? Ale może może jeszcze przyjdzie na to czas? 14 października minął dopiero rok od śmierci Stasia.

Co zmieniło się przez ten rok?

Prawdę powiedziawszy: tęsknota nie maleje. Może taka zmiana: przy stole siadam teraz na miejscu Stasia. I jeszcze w mieszkaniu przestawiłam kanapę. Nie za bardzo miałam możliwość manewru. Bo nadal, tak jak za życia Stasia, potykam się o książki. Trochę jakbym żyła w magazynie. Jest ich tysiące, w pięciu językach, niektóre pisane jeszcze szwabachą. Staś cierpiał na zbieractwo.

Czytał to wszystko?

Oczywiście. Nie daj Boże było zapytać go o jakiś tytuł, bo potrafił o nim mówić w nieskończoność. Jego lektury dzieliłam na na „h.g.” i „f.g.”, czyli „historyczne gnioty” i „filozoficzne gnioty”. I właśnie po ostatnich wakacjach wzięłam się za remanent biblioteki. O tyle nie jest to proste, że antykwariaty są zainteresowane tylko częścią tytułów. Tak samo biblioteki. Mam 300 tytułów z serii Nike, której nie czytam ze względu na małe litery. Zajmują sporo miejsca, więc szukam im miejsc u ludzi z lepszym wzrokiem. Myślę: przestaną mnie przytłaczać i pozwolą swobodniej oddychać. A potem? Kilka dni temu rozmyślałam się i w ostatniej chwili odebrałam antykwariuszowi 20 egzemplarzy. To jednak oddawanie czegoś bezcennego.

A zapisy nutowe Stanisława Radwana?

Jestem w trakcie rozmów z Instytutem Teatralnym, który, daj Boże, pomoże mi w archiwizacji dorobku Staszka. Do-

celowo marzę o tym, żeby to była nawet strona internetowa, z której będzie można ściągać i muzykę, i partytury. Więc jeśli chodzi o muzykę, to emerytowany akustyk Starego Teatru, wieloletni współpracownik Stasia, pan Andrzej Kaczmarczyk, sprawuje nad tym pieczę. On jest skarbnicą wiedzy, bez pana Andrzeja bardzo dużo rzeczy autorstwa Stasia rozpląnęłoby się w niebycie. A kolejny współpracownik Stasia, z Teatru Narodowego, Mirek Jastrzębski, niestety w sierpniu tego roku zmarł, zdążył zgromadzić wszystkie partytury.

Śłuchasz ich?

To chyba najtrudniejsze wyzwanie. Jego muzyka mnie kompletnie rozwała. W dodatku są w nią wpisane wspólne chwile w pracy, moje najpiękniejsze przeżycia w teatrze. Ona oczywiście gra we mnie cały czas. Już niedługo zacznę się czas koncertów, wydarzeń planowanych przez Teatr TVP, przez PPA, przez Teatry Stary i Narodowy i przez program naukowy wybitnej wiolonczelistki profesor Doroty Imielińskiej...

Co zrobiłaś z jego ubraniami?

Sprawia mi wielką przyjemność, że Stasia najładniejsze rzeczy noszą teraz nasi przyjaciele i to w różnym wieku.

Nigdy nie widziałam Stanisława Radwana bez marynarki i wyprasowanej koszuli.

Dodam, że wyprasowanej przeze mnie. Marynarkę też mu wybierałam. Staś był elegancki, ale w skrytości ducha miał naturę menela. Czyli ten szyk to zasługa porządnej żony. Wyciągnąć Stasia do sklepu jakiegokolwiek innego niż księgarnia graniczyło z cudem. Nawet jeżeli miał tylko przymierzyć w garderobie ubranie wcześniej przygotowane, po 10 sekundach krzyczał: duszę się. I to naprawdę było na granicy ataku paniki.

To akurat zabawne.

Nie jestem energetyczną wariatką, która postrzega świat poprzez wahadełka, ale teraz, w okolicach rocznicy śmierci Stasia, skumulowało się wiele energii wokół niego. Zauważyłaś, że dziś już kolejna osoba mówi mi „dzień dobry”?

No wiesz, jesteś znaną aktorką.



DOROTA SEGDA jest aktorką, obecnie w zespole Starego Teatru w Krakowie. Występowała w spektaklach m.in. Tadeusza Bradeckiego, Jerzego Jarockiego, Jerzego Grzegorzewskiego, Kazimierza Kutza, Jana Klaty, Agnieszki Glińskiej. W 2012 r. otrzymała tytuł profesora sztuk teatralnych. Rektor krakowskiej AST w kadencjach 2016–2020 i 2020–2024. Od 2001 r. była żoną Stanisława Radwana, który zmarł 14 października 2023 r.

→ Nie, nie o to chodzi. Coś jest w powietrzu i to za sprawą Stasia. Choćby sprawa z grobowcem. Wkrótce na Salwatorze stanie nowy pomnik, który będzie wspólnym dziełem naszych przyjaciół. Przede wszystkim Ani i Stanisława Wejmanów oraz Teresy i Jana Bujnowskich. Ale też nowo poznanych ludzi. Pan, który nazywa się Jerzy Pilch, przywiózł z Italii i podarował nam cudowny kamień, na którym artysta Wiesław Arminajtis wyrzeźbi grafikę Anny Sobol-Wejman. Dla Stasia. I dla mnie...

To znaczy?

Nie, nie będzie tam teraz wygrawerowane Dorota Segda. Nie zwariowałam. Niemniej, ponieważ – mam nadzieję – powstanie dzieło sztuki, to drugie nazwisko musi zostać dobrze wkomponowane w odpowiednim czasie. I wiem, że Staś jest w tym kamieniu, dzięki ludziom, którzy go znali i kochali. I dzięki tym nowym, których w jakiś sposób nadal do siebie przyciąga.

Gdzie jeszcze jest?

Wszędzie i w każdej sekundzie. Połączyło nas przecież to samo postrzeganie świata, ten sam rodzaj wrażliwości. Cieszyły małe rzeczy: spacer, kwiatki w ogrodzie, dobre wino. Więc kiedy coś widzę, co mnie zachwyca, to wiem, że go nie ma, ale jednocześnie wiem, że Staś teraz podziwia to razem ze mną. Tam, gdzie mi go najbardziej brakuje, najintensywniej odczuwam jego obecność. Taki paradoks.

Chyba nie paradoks.

Nasz symbiotyczny związek polegał i na tym, że ja uwielbiam czytać na głos wiersze, a on uwielbiał ich słuchać. Przecież chłonał świat uszami. I razem często płakaliśmy przy tych wierszach. A poezja pomogła mi w pierwszym roku żałoby.

Sama jej lektura?

Zrobiłam dla mnie samej dziwną rzecz: na swoim profilu na Facebooku, który założyłam jako rektor Akademii Sztuk Teatralnych, by zamieszczać informacje dotyczące uczelni, zaczęłam w pewnym momencie publikować wiersze: Leśmiana, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Micińskiego, Julii Hartwig. Ich tematem była nieobecność, odchodzenie, przemijanie... Smutek. Mnie samą zastanawiało, co mi to daje. Nie mam natury ekshibi-



ANNA WŁOCH

Stanisław Radwan, Kraków 2000 r.

cjonistycznej, nie potrzebuję wynętrzać się w mediach społecznościowych na tematy osobiste. A potem wpadł mi w ręce wykład księdza Tischnera zatytułowany „Ból jako przesłanie uniwersalne”. I jak to zwykle u niego, mądrością i prostotą dotknął istotę sprawy.

W jaki sposób?

Zanim na to odpowiem, przywołam jeszcze inny obraz. Staś latami studiował albumy ze sztuką, zawsze jakiś był pod ręką. Takie wnikliwe obcowanie z innym artystą, wynajdywanie wcześniej niewidzianych detali. A przez ten cały okres, kiedy Staś był już przykutym do łóżka, kiedy wiedział, że odchodzi, analizował album zatytułowany „Wielkanoc w malarstwie”. Ja, pomimo, że też wie-

działam, w jakim jesteśmy miejscu, najgorsze myśli od siebie odpychałam. Zastanawiałam się: po co on się katuje tymi zmaltretowanymi Chrystusami? Jakbym nie chciała zrozumieć, że on był właśnie cierpiącym Jezusem. I miał w nim towarzysza. Z całą świadomością swojego przepastnego mózgu i duszy przygotowywał się na śmierć.

Da się na nią przygotować?

Sądzę, że sztuka była dla Stasia religią. I teraz wracam do tekstu Tischnera, który dał mi odpowiedź na to, dlaczego Staś katował się obrazami umierającego człowieka na krzyżu, a ja się katowałam wierszami o odchodzeniu. Tischner pisze, że istnieje pewien typ cierpienia związany ze sztuką i w sztuce, które prowadzi nas



ANNA WŁOCH

Ze Stanisławem Radwanem, Kraków 2001 r.

od piękna do *katharsis*. Czyli uwolnienia. Przypływu ulgi. Bo piękno w kontemplacji budzi w nas zachwyt, rozkosz i radość, przenosząc w inny świat. Wtedy rozdzierająco bolesne doświadczenie jest ubrane w formę. Na tym polegała przecież grecka tragedia, która ze źródła płaczu i przerażenia zamieniała się w przedmiot podziwu i zachwytu. Czym innym jest ból człowieka, który cierpi w domu, a czym innym jest ten sam ból człowieka, który cierpi na scenie. W tym bólu można odkryć własną tragedię. Dlatego sztuka grecka była zarazem grecką religią. Jak moją jest poezja. Piękno wprowadza nas na orbitę uniwersalną.

Wspólnotę doświadczenia?

I współodczuwania. Poza tym poezja stawia pytania, wobec których nauka jest bezradna: o istnienie, nieistnienie, metafizykę, transcendencję, w ogóle o sens tego wszystkiego. Sama próba zadania sobie tych pytań to też rodzaj wspólnoty. Pierwszy opublikowany przeze mnie na Facebooku wiersz był autorstwa Stanisława Wyspiańskiego. Właściwie to zapis jego egzystencjalnej trwogi: „Jakżeż ja się uspokoję / pełne strachu oczy moje, / pełne grozy myśli moje, / pełne trwogi serce moje, / pełne drżenia piersi moje — / jakżeż ja się uspokoję...”. Podobno Wyspiański napisał to po wizycie u lekarza, który mu uświadomił stan jego zdrowia

i nie pozostawił wątpliwości, jaki będzie koniec jego życia.

Wy o śmierci rozmawialiście otwarcie?

Jeszcze dzień przed śmiercią graliśmy w scrabble. I Staś wygrał ze mną, a to na prawdę nie jest łatwe. Ale wtedy mnie po prostu skosił. Jaki był zadowolony! Zeszyt z zapisem wyników naszych meczów to moja relikwia. Więc ostatnie dwa miesiące graliśmy w scrabble od rana do nocy. On tylko wtedy czuł, że jest gdzie indziej.

Gdzie indziej? Czyli w zwyczajnym życiu?

Jeśli ukochany mężczyzna jest starszy o 27 lat, to temat śmierci, chcąc nie chcąc, musi się pojawić. Pecha miał Czesław Miłosz, który pochował swoją ponad 30 lat młodszą żonę Carol. A Staś próbował mnie na swoją śmierć przygotować. Zaczynał na ten temat rozmowę, a ja mu przerywałam, prosiłam, by nie gadał bzdur. Lata temu mówiłam mu: „A skąd ty wiesz, kto z nas pierwszy odejdzie? Naprawdę nie znamy dnia ani godziny”. Tyle że latami strach przed jego śmiercią we mnie narastał. Lecz do ostatniego dnia nie chce się wierzyć, że ukochany człowiek zniknie, że się go nigdy nie zobaczy, nie dotknie, nie usłyszy. Wiem, że Staś nie chciałby, bym po jego śmierci zamknęła się w żałobie. Chyba by mnie z nieba spiorunował, gdyby się

dowiedział, że się poddałam. Żądał, bym rozpoczęła nowy rozdział w życiu. Choć dobrze przecież wiem, że obecność mężczyzny niekoniecznie konstituuje mnie jako kobietę.

Powiesz więcej?

W mojej rodzinie jest taka historia: pochodząca z Bochni prababcia Julia miała męża, któremu urodziła czworo dzieci. A ten mąż okazał się wyjątkowym pacanem. Kiedy ciężko zachorował, już na łożu śmierci kazał młodej jeszcze Julii przysięgać na krzyż, że ona już nigdy w życiu się z nikim nie zwiąże. I kiedy babcia Julia zakochała się ponownie, to ksiądz musiał odczyniać tę przysięgę.

Podziało?

Odczynił tak skutecznie, że babcia Julia po raz drugi wyszła za mąż i miała jeszcze troje dzieci, w tym mojego dziadka. Więc gdyby ksiądz nie odczynił „zakłęcia”, to by nie urodziła się moja mama i w związku z tym i mnie by nie było na świecie. Kiedy opowiadałam tę historię Stasiowi, oboje nie mogliśmy pojąć, jak można próbować komuś zamknąć drogę do dalszego życia. A Staś tak bardzo mnie kochał, że na co dzień myślał, co będzie ze mną, kiedy zostanę tu bez niego.

I?

Staram się. Czasami udaje mi się nawet poczuć lekkość. Chociaż z tą pustką, którą mam cały czas w sercu. Sądzę, że ona już niczym się nie wypełni.

Teatr jest teraz ratunkiem?

W dzień śmierci Stasia wieczorem zagrałam w przedstawieniu „Strasznie śmieszne na podstawie Okropnie Smutne”. To opowieść o parze starającej się radzić sobie po stracie dziecka, które popełniło samobójstwo. I ja o tej śmierci opowiadałam na końcu sztuki. Nie zaznałam utraty dziecka, ale zrozumiałam, jakie w tym mogą tkwić emocje. Po przedstawieniu spotkaliśmy się w moim domu z grupą naszych przyjaciół. Wspominaliśmy Stasia, piliśmy wino, potrafiłam się nawet w ten dzień śmiać. Każde następne przedstawienie „Strasznie śmieszne...” wyzwalalo kolejne emocje, przynosiło szloch. Bo aktorstwo polega na mobilizacji. Idziesz do teatru nie tylko wtedy, kiedy ci umarł mąż, ale nawet kiedy cierpisz na migrenę czy potworny ból gardła. ➔

→ Masz wytresowane emocje, panujesz nad nimi, umiesz je najpierw wzbudzać, potem wycisnąć. To właśnie daje scena.

Dla mnie to jest psychologiczna zagadka.

Aktor doświadcza na scenie emocji dużo silniej niż widz, bo my stany granej postaci bierzemy na siebie i przez chwilę się z nimi całkowicie utożsamiamy. Profesor Stróżewski powiedział mi kiedyś, że moment oklasków jest wytrąceniem aktora z iluzji: nagle orientujesz się, że twoje ciało należy do ciebie, a ty przez chwilę byłeś w życiu innej osoby. I cała ta energia, którą oddało się, w dwójnasób do ciebie wraca: ludzie którzy przejęli się tym, co zobaczyli, okazują wdzięczność i entuzjazm. I zarażają aktora swoją energią krążącą w tym zamkniętym obwodzie: scena-widownia. Komuś mogłoby się wydawać, że aktorów słabość do oklasków jest przejawem ich małości, próżności, narcyzmu. A tak nie jest. Znowu powraca słowo: wspólnota. Ona właśnie pomaga mi w czasie bez Stasia.

Najcenniejsze wspólne wspomnienia?

To są zwykłości... Choćby czas w naszym domu w Beskidach, który nazwaaliśmy Montesecco. To jest koniec świata. Cisza, las, ptaki. Mało ludzi. Chociaż prawda jest taka, że tam zawsze ktoś do nas przyjeżdżał, rzadko kiedy byliśmy sami. W te wakacje pojechałam tam ze ściśniętym sercem, bo po raz pierwszy po śmierci Stasia.

Musiło być trudno.

Obok domu jest miejsce na ognisko. Bo Staś był piromanem, w nieskończoność mógł patrzeć w ogień. Do późnej nocy. Ja szłam spać i jak mijały dwie godziny, to się darłam przez okno: „Wróć do spania!”. On siedziałby tam do rana, kochał dorzucać do ognia i dumać. Te ogniska to był nasz absolutny rytuał. Staś w Montesecco nigdy nie umiał pracować. Zabierał nuty i te swoje pianinka, ale nawet tego nie dotykał.

Tego lata rozpałałeś ognisko?

Rozpalałam. Pomogła mi w tym obecność przyjaciół, grono ludzi, z którymi się rozumiem i na których, to już wiem, zawsze mogę liczyć. Poza wszystkim, ja przez ten ostatni rok miałam dużo pracy, zajmowała mnie bez reszty. Przecież rek-



GRAZYNA MAKARA

Jeszcze dzień przed śmiercią graliśmy w scrabble.

Staś wygrał ze mną, a to naprawdę nie jest łatwe.

Wtedy po prostu mnie skosił.

Jaki był zadowolony! Zeszyt z zapisem wyników naszych meczów to moja relikwia.

torem przestałam być dopiero miesiąc temu. Dotąd ciągnęłam uczelnię, studentów, teatr, zagrałam w dwóch produkcjach telewizyjnych. Nie miałam momentu, w którym nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nieustannie w zadaniach, w ruchu, w podejmowaniu decyzji. A w miesiącach najcięższego chorowania Stasia skupiałam się na naszej relacji i na opiekowaniu się mężem 24 godziny na dobę. Wiesz... A nie, nie powinnam tego mówić. To może zabrzmieć okrutnie.

Proszę.

Mieliśmy psa, mopsa, nazywał się Boluś. Był już bardzo stary i bardzo schorowany. Pewnego sierpniowego dnia zrozumialiśmy z moją siostrą, że musimy go uspić. To właśnie działo się w te wakacje w Montesecco. Pojechaliśmy z Bolkiem do weterynarza, on też uznał, że dla pieska najlepszym wyjściem będzie eutanazja. Boluś dostał zastrzyk i kiedy spokojnie usypiał, ja go głaskałam po główce. Było w tym coś dobrego. Naprawdę zada-

wałam sobie pytanie, dlaczego człowiek nie ma takiej możliwości? Eutanazja, która przyniesie ulgę człowiekowi w największym cierpieniu.

Trudno mi o tym wszystkim mówić... Staś był przecież tak dobrym człowiekiem.

Co to właściwie znaczy?

Był niezwykle oddany ludziom, ostatnią koszulę by oddał. Bezinteresownie, bez oczekiwań na rewanż, wdzięczność. To w ogóle jest podstawowy komponent dobroci: niewykalkulowany gest wynikający ze szczodrości serca. Taki przykład: nasi sąsiedzi budowali dom nieopodal Krakowa. I oni – rodzina wielodzietna – mieli wtedy poważne problemy finansowe. Dowiedziałam przez zupełny przypadek po jakichś dwóch, trzech latach, że gdyby nie pomoc pieniężna Stasia, to ten dom by nie powstał. Nie mam pojęcia, ile on dał im tych pieniędzy, no ale mówimy o budowie domu. Więc też i takie sytuacje w naszym małżeństwie miały miejsce.

To jest szczodrość. Są inne wymiary dobroci?

Dobroć Stasia przejawiała się i tym, że nie umiał odmawiać, nawet powiedzieć uprzejmie: nie mam czasu, spieszę się... Uważnie słuchał, a ludzie zatruli go problemami, zwracali głowę swoimi sprawami. Zawsze to ja byłam ta franca, która mówiła: stop, dość, nie teraz. I ja też brałam na siebie tłumaczenie się przed ludźmi z tych zobowiązań, których Stasiu nie dopełnił, bo zwyczajnie nie miał czasu, nie dawał rady. Poza tym mało w siebie wierzył. Cały czas uważał, że powinien lepiej, inaczej, bardziej. W każdej sferze życia, włącznie z tą muzyczną. Wiem, że w twórczości czasem przeszkadzała mu erudycja. Przecież był wybitnym pianistą, ale wycofał się z grania, bo usłyszał Glenna Goulda grającego Bacha. Nie wierzył, że doskoczy do jego poziomu.

Może to dobrze, że dał sobie spokój z tym fortepianem...

Myszę, że urodził się dla teatru. Nie dla siedzenia całymi dniami przy fortepianie. Tam nie dałby ludziom tyle dobra. Chciałabym umieć dawać światu tyle co Staś. I cieszyć się tym jak on się cieszył. I żeby to do mnie wracało, jak wraca do niego. Także po śmierci.

©© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

WOJCIECH

Bonowicz: Drybling



OBUDZIŁEM SIĘ, A ONA JUŻ TU BYŁA. Mały szarobrazowy pyszczek tuż przy mojej twarzy, lizała mi brodę, mając nadzieję, że będę ją głaskał po białym podgardlu. Jakos się ułożyła z Leonem, że może zostać na noc, nie było

bitki, gonienia się i chowania, jedno spało na parterze, drugie chyba na piętrze. W każdym razie jedli z tych samych misek.

Napisałem: szarobrazowy? To napisałem niedokładnie. Chciałbym napisać dokładniej, ale nie umiem. Jest tam i coś zielonkawego jakby, i jeszcze jakiś inny odcień, wszystko to zmienia się w zależności od światła, a światło rano jest szare, przepuszczone przez mgłę. Szyby od zewnątrz ociekają wodą, podobnie parapety, taras, dach i zaparkowane pod oknem samochody. Ludzie, którzy wstali wcześniej, przemykają w tej szarości, wbijają w nią swoje światła i natychmiast znikają.

Śnił mi się Jurek Pilch. Jakby mnie Malusia nie obudziła, to bym może nie pamiętał, a tak pamiętam. Śnił mi się Jurek Pilch, chyba w Wiśle, w domu, w którym nigdy nie byłem, bo nie lubię porównywać tego, co doskonale opisane, z rzeczywistym, i trzymał w rękach książkę. Książka miała poślizgnięte kartki i pozbawiona była okładek, a ja wiedziałem, że to „Chłopi”. Jurek mówił w wywiadach, że jako dziecko czytał kompulsywnie, co mu wpadło w rękę, i w ten sposób przeczytał również książkę bez okładek, która potem okazała się którąś tam częścią „Chłopów”. Przeczytał bez emocji, bez wypieków, ot dlatego, że stała na półce. Nie ma się czym chwalić, mówił, jako okularnik, czyli wykluczony, czytał wszystko, co popadnie, niewiele zapamiętując. Bywają czytelnicy, zwłaszcza mali, którzy idą na rekord.

No więc Jurek po prostu siedział i trzymał tę książkę, o której wiedziałem, czym jest, a on chyba też. I było jakos strasznie żal, strasznie. Nic do siebie nie mówiliśmy, bo było jasne, że on jest teraz z innego świata, a ja z innego, i trzeba było mówić, jak byliśmy na tym samym. Gdzieś tam kiedyś obiecaliśmy sobie taką rozmowę, zresztą nie tylko z Jurkiem, takich rozmów nieodbytych, a wstępnie umówionych, to by się uzbierało kilkanaście, bo człowiek jest głupi i wydaje mu się, że jeszcze zdąży. Stałem tak bezsilnie, czekając, że może jednak się ode-

zwie, ale on tylko patrzył na mnie, bez wyrzutu, smutno, jakby z rezygnacją. „Całe życie człowiek się na własnej głupocie mądrości uczy”. Myśl Jurka śmiertelnie celna. A rezultaty tej nauki? Ech, szkoda gadać.

Co do książki bez okładek, to jest to motyw powtarzający się w opowieściach; aż strach pomyśleć, że może każdy miał kiedyś taką książkę. Wiesław Myśliwski opowiadał mi, że w ten sposób przeczytał w dzieciństwie „Bel-Ami” Maupassanta. Rysiek Koziółek napisał na ten temat cały akapit: „Nie miała okładki ani kart tytułowych, miała od razu treść. I to była książka, którą czytałem wiele razy. Można powiedzieć, że to jedna z książek, które przeczytałem najwięcej razy w życiu, nie licząc lektur zawodowych. I przy tym nie wiedziałem, co czytam. (...) Lekturę porzuciłem w wieku mniej więcej nastoletnim, ale miałem ją w głowie, do dzisiaj zostały mi sceny i frazy. I dopiero po jakichś dwudziestu latach dowiedziałem się, co to za książka. Nie była specjalnie wyjątkowa, można powiedzieć, że czytałem ją wtedy głównie przez wzgląd na sceny erotyczne. Okazało się, że to »Układ« Elii Kazana. Wówczas nie było dla mnie ważne, kto ją napisał – nie widziałem słów, ale obrazy i historię. Słowa jako temat literatury zobaczyłem później, a przecież dopiero świadomość, że książki są »napisane«, czyni z nas czytelników”.

Ja takiej książki nie miałem. Ścisłej rzecz biorąc, miałem, ale nie własną. Od mojego najbliższego przyjaciela Andrzeja pożyczyłem dość obszerny tom bez okładek, z wyglądu podobny do tych „Chłopów” w rękach Jurka, tyle że z ilustracjami. Żadnych erotycznych przygód, to była rzeczowa opowieść o losach rdzennych mieszkańców północnej Ameryki, o wyniszczeniu, rezerwatach, ucieczce w góry. Zapamiętałem szczególnie tę ucieczkę, akt rozpacz, próbę ratowania osaczonego plemienia.

Macie rację – to, co piszę teraz, cały ten obszerny cytat z Ryśka i moje własne wspomnienie mają odwrócić uwagę od tego, co napisałem wcześniej. Na tym to polega. Jak mówię na spotkaniach, że literatura uczy uważności, to jest to tylko połowa prawdy. Literatura uczy też zwodów, uników, dryblingu, jak trafnie zauważył Hrabal. Malusia przyszła i poszła. Wyocierała się, nawyginała, namruczała i już jej nie ma. Jurek siedzi w kuchni, może w Wiśle, a może u moich dziadków, trzyma w rękach książkę, co pewnie nic nie znaczy, bo nie o książkę tu chodzi, ale o Jurka. Żal, straszny żal. Jak by nie patrzeć, wszystko jest odciąganiem uwagi. Wszystko. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

6-30 listopada 2024

6 listopada | godz. 20:00

→ 33

Miejsce: Teatr Śląski
- Scena w Malarni, Katowice
Bilety: 33 zł

7 listopada | godz. 18:00

→ Kamil Bloch, Małgorzata Lebda,
Anna Cieplak

Miejsce: Black Woolf, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

9 listopada | godz. 20:00

→ The KVB ^(EN)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 30 zł

10 listopada | godz. 19:00

→ Keeley Forsyth ^(RN)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 30 zł

12 listopada | godz. 18:00

→ Anna Matysiak, Monika Głosowicz

Miejsce: Black Woolf, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

13 listopada | godz. 18:00

→ Eliza Kącka, Magdalena Moskal,
Paulina Małochleb

Miejsce: Black Woolf, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

14 listopada | godz. 18:00

→ Marcin Oskar Czarnik, Olga Górka,
Monika Ochędowska

Miejsce: Black Woolf, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

15 listopada | godz. 20:00

→ STRFKR ^(US)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 30 zł

16 listopada | godz. 20:00

→ Shabaka ^(EN)

Miejsce: JazzClub Hipnoza, Katowice
Bilety: 80 zł

17 listopada | godz. 19:00

→ Fágelle ^(SE) | Enji ^(MN)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 30 zł

18 listopada | godz. 18:00

→ BAFTA 2024 Shorts

Miejsce: Dom Oświatowy
Biblioteki Śląskiej, Katowice
Zapisy: info@arscameralis.pl
Wstęp wolny, wiek: 15+

19 listopada | godz. 19:30

→ The Sixteen ^(EN)

Miejsce: NOSPR, Katowice
Bilety: 60 zł | 50 zł (ulgowy)

20 listopada | godz. 18:00

→ Anthony Passeron ^(FR)

Paulina Małochleb

Miejsce: Black Woolf, Katowice
Wstęp wolny

20 listopada | godz. 20:00

→ Bo Ningen ^(JPIUK)

Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 30 zł

21 listopada | godz. 18:00

→ „Mark Steinmetz. Odkrywając
światłość | Taken from Light”

Miejsce: Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu
Wernisaż tłumaczony na PJM
Wstęp na wernisaż wolny

21 listopada | godz. 19:00

→ Antonina Car & Niczos

Miejsce: Klubokawiarnia
Aquarium, Bielsko-Biała
Bilety: 20 zł

23 listopada | godz. 11:00-16:00

→ Bożka Rydlewska

Miejsce: Galeria Sztuki
Współczesnej BWA, Katowice
Zapisy: info@arscameralis.pl
Wstęp wolny, wiek: 18+

23 listopada | godz. 19:00

→ Cohaere Ensemble

Miejsce: Willa Caro, Gliwice
Bilety: 35 zł

24 listopada | godz. 18:00

→ Monika Muskała

Magdalena Gościński

Miejsce: Black Woolf, Katowice
Wydarzenie tłumaczone na PJM
Wstęp wolny

25 listopada | godz. 18:00

→ BAFTA 2024 Shorts

Miejsce: Dom Oświatowy Biblioteki
Śląskiej, Katowice
Zapisy: info@arscameralis.pl
Wstęp wolny, wiek: 15+

26 listopada | godz. 17:30

→ „Ich noc” (1934)

Miejsce: Kino Kosmos, Katowice
Bilety: 18 zł | 14 zł (ulgowy)

27 listopada | godz. 17:30

→ „Naga prawda” (1937)

Miejsce: Kino Kosmos, Katowice
Bilety: 18 zł | 14 zł (ulgowy)

28 listopada | godz. 17:30

→ „Filadelfijska opowieść” (1940)

Miejsce: Kino Kosmos, Katowice
Bilety: 18 zł | 14 zł (ulgowy)

29 listopada | godz. 18:00

→ „Joanna Helander & Bo Persson.
Podążając za cieniem”

Miejsce: Galeria Sztuki Współczesnej
BWA, Katowice
Wernisaż tłumaczony na PJM
Wstęp na wernisaż wolny

30 listopada | godz. 19:00

→ Kosmonauci

Miejsce: Teatr Śląski
- Scena w Malarni, Katowice
Bilety: 25 zł

WYDARZENIE TOWARZYSZĄCE

22 listopada | godz. 17:00

→ Kody kultury: Zbigniew Machej

Miejsce: Instytut im. Wojciecha
Korfantego, Katowice
Wstęp wolny

Więcej na stronie: arscameralisfestiwal.pl

6-30 listopada 2024
XXXIII edycja
arscameralisfestiwal.pl

Festiwal Ars Cameralis

ORGANIZATOR:



Województwo
Śląskie

**Ars
Cameralis
Silesiae
Superioris**

ARS CAMERALIS
JEST INSTYTUCJĄ
KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO

PARTNER:

PROGRAM LITERACKI
Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**HOTEL
MONOPOL**
KATOWICE
★★★★★



Joanna Helander, „Matilda”, Orrevik, Szwecja



Shabaka

Kształt miłości

KINGA DAWIDOWICZ, TOBIASZ MELANOWSKI, MAREK ZIELIŃSKI:

Ars Cameralis to przemieszczanie się w przestrzeni i czasie. Na początku festiwal był przede wszystkim skupiony na muzyce klasycznej. Przez lata ewoluował, nw tej chwili jest bardziej eksperymentalny.

KINGA DAWIDOWICZ: Skąd wziął się pomysł na hasło tegorocznego festiwalu: miłość?

MAREK ZIELIŃSKI: Elementów, które wpływają na dobór hasła festiwalowego, jest kilka. Odrobina przypadku, ale z drugiej strony pewna reakcja na to, co dzieje się wokół nas. Jak napisaliśmy we wstępie do tegorocznego katalogu festiwalowego: wybór tego hasła jest pewnego rodzaju odreagowaniem świata zewnętrznego, odpowiedzią na niełatwą często rzeczywistość. Można to więc interpretować jako próbę wyciszenia. W czasie spotkań zespołu festiwalowego rozmawialiśmy o Marquize, u którego jeden z bohaterów najbardziej boi się, że przed śmiercią nie zazna miłości. Sięgamy do prostych słów, które nagle okazują się skomplikowane – do pojęć otwierających przed nami gigantyczną literaturę i zasób znaczeń. Dante Alighieri kiedyś powiedział, że miłość to słowo, które wprawia w ruch cały świat. Powoduje pewnego rodzaju poddanie, intelektualne poszukiwania. To oczywiście może być też słowo bardzo pompatyczne.

Ale też dość proste, więc zawiera w sobie bardzo dużo różnorodnych znaczeń.

MZ: Tak, wybór akurat tego hasła jest na to dowodem, ale jednocześnie cały czas jest to myślenie bardziej konceptualne – o tym, co, dlaczego, jak. Zadawanie sobie pytań, prowokowanie. Nie tylko podsuwanie rozwiązań czy promowanie słowa, ale też być może próba odejścia od codzienności. Rodzaj zadziwienia.

TOBIASZ MELANOWSKI: Hasło festiwalu realizuje się przede wszystkim poprzez program literacki. Ale tak naprawdę to słowo jest ukryte – pojawia się temat czułości, macierzyństwa...

MZ: To są różne odcienie miłości.

TM: Tak, miłość jest obecna, ale nie na pierwszym planie. Albo bywa trudna, jak w powieści gościni festiwalu Moniki Muskały czy w „Uśpionych”, których autor, Anthony Passeron, odwiedzi Katowice.

MZ: Z kolei układając program filmowy, punktem wyjścia była dla nas rozmowa – kobiety z mężczyzną. Chcemy przede wszystkim przyjrzeć się dialogowi.

Festiwal zaplanowano na okres od 6 do 30 listopada. To bardzo dużo czasu. Opowiedzcie, jak poruszać się w całym bogactwie programu?

TM: Przede wszystkim staramy się układać program w taki sposób, by danego dnia odbywało się jedno wydarzenie, dzięki czemu można skorzystać z całego festiwalu. Nie jesteśmy też drogim festiwalem, to jest nasza główna idea – jesteśmy dla ludzi. Festiwal Ars Cameralis prezentuje literaturę, muzykę, pokazy filmowe, wystawy...

MZ: Ale nie dokonujemy też podziałów formalnych. Słowo, obraz, dźwięki – one się przenikają. Sięgamy po bardzo różne formy muzyczne. W programie jest miejsce dla legendarnego chóru The Sixteen z muzyką dawną i dla klasycznego już Shabaki Hutchinsa, który prezentuje nowe oblicze jazzu światowego. To jest rodzaj wędrówki, jakiegoś ruchu. Przemieszczania się w przestrzeni i czasie, pokazywania czegoś, na co warto, naszym zdaniem, zwrócić uwagę. Na początku festiwal był przede wszystkim skupiony na muzyce klasycznej. Przez lata ewoluował, w tej chwili jest bardziej eksperymentalny.

A co znajdziemy w obszarze sztuk wizualnych?

MZ: W tym roku będziemy prezentować fotografie Joanny Helander oraz filmy, które zrobiła z Bo Perssonem. Sięgamy w głąb przeszłości, tej górnośląskiej, ale też pokazujemy jej różne

aspekty, łącznie z historią pokolenia '68, kultowymi zdjęciami Szymborskiej czy Miłosza autorstwa Helander. Na Festiwalu Ars Cameralis zobaczymy również fotografie Marka Steinmetza, którego prace cechują się bardzo melancholijnymi, nostalgicznymi kadrami. Będzie to pierwsza taka prezentacja w Polsce.

Wróćmy jeszcze na chwilę do filmu.

MZ: Od wielu lat współpracujemy z British Council i BAFTA, organizujemy przeglądy krótkich metraży wyróżnionych przez BAFTA. Zaprezentujemy także klasykę – filmy „Ich noc” Franka Capry, „Filadelfijską opowieść” George’a Cukora czy „Nagą prawdę” Leo McCareya. Te filmy mają być próbą pokazania pewnego dialogu, jaki rozgrywa się między dwiema postaciami, głównie między kobietą i mężczyzną. Myślę, że jest to taki rodzaj kina, które dzisiaj rzadko już można spotkać.

Jakie macie plany i marzenia związane z przyszłością Ars Cameralis?

TM: Życzyłbym sobie, aby nie zabrakło nam pomysłów, z których realizacji będziemy czerpać radość. Zarówno my, jak i nasza publiczność.

MZ: Funkcjonujemy coraz bardziej w ramach skomercjalizowanego rynku i bardzo ważną rzeczą jest zachowanie pewnej równowagi pomiędzy komercją a wymiarem artystycznym. Dzisiaj rozmowa o wartościach jest tak trudna, jak rozmowa o miłości. Na przykładzie tegorocznego hasła zastanawiamy się, jak dziś mogą zabrzmieć klasyczne słowa Norwida „piękno jest kształtem miłości”. Za tym stwierdzeniem pojawiają się pytania o to, czym jest piękno, miłość, jaką mogą przybrać formę. Wszędzie znaki zapytania.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ

MAREK ZIELIŃSKI – dyrektor Instytucji Kultury Ars Cameralis.

TOBIASZ MELANOWSKI – kurator Festiwalu Ars Cameralis.

Więcej informacji o Festiwalu Ars Cameralis na arscameralisfestiwal.pl

Katastrofy uczą empatii

ANTHONY PASSERON, PISARZ:

Moja babcia powtarzała, a nauczyła się tego podczas epidemii AIDS, żeby nie oceniać zbyt łatwo innych, bo nigdy nie wiemy, co w życiu przeszli.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Piszesz, że ofiary epidemii AIDS z lat 80. są we Francji wciąż „niewidzialne”. Jak to możliwe po tylu latach?

ANTHONY PASSERON: Gdy byłem dzieckiem, z powodu AIDS umarły w mojej rodzinie trzy osoby – mój wujek, jego żona i córka. Bardzo niewiele o tym rozmawialiśmy – wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie potrafił o tym opowiadać. Podobnie mieszkańcy wioski, z której pochodzę. Później wyjechałem na studia do Nicei. To spore miasto, więc sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Tu temat AIDS nie był tabu, podobnie jak homoseksualizm, narkotyki itp. Wtedy zdałem sobie sprawę, że ten brak języka wynikał przede wszystkim z geografii, a nie dużej czasu.

Czyli AIDS nie jest już tematem tabu?

We Francji powstało wiele książek i filmów o AIDS, ale ich bohaterami są niemalże wyłącznie homoseksualiści z dużych miast, do tego intelektualiści albo artyści, którzy wiedzą, jak opowiadać o swoich doświadczeniach. W tych narracjach praktycznie nie ma miejsca dla innych przypadków – na przykład chorych z prowincji. Albo przedstawicieli tak zwanej zwykłej klasy średniej.

Dlaczego?

Dobre pytanie. Jestem z zawodu nauczycielem historii i próbowałem na własną rękę zmierzyć się z tym problemem. Epidemia AIDS w latach 80. dotyczyła wszystkich, bez względu na pochodzenie czy klasę społeczną. Jednak w środowiskach bardziej konserwatywnych nie mówiło się o tym, a przez to chorzy cierpieli podwójnie.

Twoja reportersko-autobiograficzna książka „Uśpione” uzupełnia tę lukę?

Chciałem opowiedzieć ten aspekt epidemii AIDS, o którym się do tej pory niewiele mówiło. Z jednej strony to narkotyki i wątek kontrkulturowy, z drugiej – prowincjonalne oblicze epidemii.

O prowincjonalności, zwłaszcza tej francuskiej, sporo w Polsce dyskutowaliśmy przy okazji książki Didiera Eribona.

Gdy ukazał się „Powrót do Reims”, byłem poruszony. W pierwszej chwili pomyślałem, że bardzo niewiele mnie łączy z autorem tej książki – znanym i cenionym paryskim intelektualistą – ale zaraz potem poczułem, że sam mam do opowiedzenia wiele historii, które do tej pory z różnych względów były przemilczane.

Twoje pochodzenie też jest zupełnie inne.

To prawda. Nie wywodzę się z klasy robotniczej – moja rodzina od pokoleń była dobrze sytuowaną klasą średnią, tyle że z małej miejscowości. Jednak we Francji decydująca jest geografia, a nie zamożność. A w ostatnich dekadach drapieżny kapitalizm sprawił, że prowincja staje się nie tylko biedniejsza, ale przede wszystkim coraz bardziej ignorowana – coraz mniej osób chce tam mieszkać, bo nie widzi dla siebie żadnych sensownych perspektyw. I w tym sensie Eribon i jemu podobni dali mi język, ale też odwagę, aby opisywać własne, w zasadzie nieobecne w debacie publicznej doświadczenie.

Odwagę?



→ Dziś nie chodzi już o samo zrzucanie tabu – nie przejmuję się tym, co powiedzą sąsiedzi w mojej rodzinnej miejscowości. Chodzi przede wszystkim o przekonanie, że warto zwracać uwagę na te wszystkie różnice, na odrębność doświadczeń i tożsamości.

Bunt?

W pewnym sensie tak – istnieje świat poza metropoliami, ma on swoje jasne i ciemne strony, które trzeba z należnym szacunkiem opisać.

Epidemia AIDS z lat 80. to także początek wielkich przemian społecznych, nie tylko we Francji.

Oczywiście – podczas zbierania materiałów do książki co rusz trafiałem na ślady tego, że moja rodzinna miejscowość na początku lat 80. zaczęła podupadać, przede wszystkim ekonomicznie. Dlatego też postanowiłem tę opowieść uczynić wielowątkową. Opisuję w niej powolną śmierć mojego wujka, ale też całej wspólnoty, w której funkcjonował. Sama miejscowość oczywiście dalej istnieje, ale jej życie społeczne właściwie zamarło – jest położona za blisko Nicei, która stopniowo, ale konsekwentnie wysysa jej energię. Wygrała brutalna globalizacja.

W jednym z wywiadów przyznałeś, że chyba byłeś zbyt łaskawy w opisach tej społeczności.

Tak, w „Uśpionych” koncentruję się przede wszystkim na tragicznej historii własnej rodziny, a także reakcjach naszych znajomych i sąsiadów, którzy ostatecznie okazali się dość empatycznymi ludźmi. Niemniej to nie jest cała prawda o tej społeczności, co będę chciał pokazać w kolejnej książce. Dziś już rzadko odwiedzam rodzinną wioskę – większość ludzi, z którymi utrzymywałem relacje, albo zmarła, albo wyjechała. Dlatego teraz łatwiej mi odrzucić nostalgiczną perspektywę, być bardziej krytycznym.

I jaki obraz się z tego wyłania?

W „Uśpionych” pomijam wiele przemocowych zjawisk, z jakimi spotkał się mój wujek i jego żona, szczególnie na początku. O AIDS krążyło wtedy wiele krzywdzących stereotypów, pojawiały się plotki, oskarżenia, ogólna niechęć. Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy choroba dotknęła moją kuzynkę Émilie, która urodziła się, gdy żona mojego wujka była już zakażona. Wtedy jeszcze niewiele wiadzano o naturze tej choroby, dochodziło do takich tragedii.

Émilie uznano za niewinną ofiarę?

Dlatego okazywano jej tak duże współczucie. Niemniej dzielenie chorých na winnych i niewinnych w początkach epidemii było częścią olbrzymiej maszyny przemocy symbolicznej uruchomionej wobec ofiar. W swojej książce w ogóle nie używam kategorii moralnych. Ludzie musieli mierzyć się z zupełnie nowym, nieznanym – i śmiertelnym – zagrożeniem, więc mówienie o dobrych i złych nie ma tu zryczajnie sensu. Mój wujek lubił imprezować, był częścią rodzącej się wówczas nowej kultury, ludzi wyzwolonych spod jarzma konserwatywnych, mieszczańskich konwencji. Chciał od życia czegoś więcej niż oferowała mu tradycyjna rodzina w małym, prowincjonalnym miasteczku. Podobnie myślała jego żona. O AIDS dopiero powoli zaczęli pisać lekarze i naukowcy, zwykli ludzie nie wiedzieli nic.

Tłumaczysz go?

Raczej rekonstruuje szerszy kontekst, w jakimi się to wszystko wtedy działo. A nawet gdyby zaraził się, mając większą wiedzę i świadomość zagrożenia, wciąż nie uprawniałoby to nikogo do ferowania moralnych osądów. Podkreślam to wielokrotnie.

Wielu próbuje dziś opisać i zrozumieć prowincję, masowo głosującą na prawicowych populistów.

To z pewnością wielkie wyzwanie – nawet jak ma się podwójną perspektywę.

W 2018 roku powstał we Francji Ruch Żółtych Kamizelek – seria protestów ludzi coraz bardziej sfrustrowanych, bo wykluczonych społecznie i ekonomicznie. Mieszkalem już wtedy w Nicei i wielu moich znajomych, także intelektualistów, kompletnie nie potrafiło zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Tłumaczyłem im wtedy, że moi rodzice mogliby równie dobrze być częścią tego ruchu. Bo nie chodziło w nim tylko o postępujące ubożenie prowincji, ale też zanikanie pewnych form życia – i pustkę, która po nich została. Uderzyła mnie w tym wzajemna alienacja, nawet nie tyle klasowa, co przede wszystkim geograficzna. Wystarczy wyjechać kilkadziesiąt kilometrów poza metropolię, żeby ludzie patrzyli na siebie jak na przybyszów z innej planety.

Ważnym wątkiem w „Uśpionych” jest historia lekarzy – francuskich i amerykańskich – którzy próbują zrozumieć nową chorobę i znaleźć dla niej lekarstwo.

Początkowo zbierałem tylko dokumentację, żeby lepiej orientować się w historycznych kontekstach. Stopniowo jednak wątek lekarzy i naukowców wydał mi się coraz ciekawszy – nie chodziło wyłącznie o same badania, ale też problemy społeczne i polityczne, z jakimi musieli się mierzyć. Pomyślałem, że jeżeli czytelnik chce zrozumieć poczucie wstydu, z jakim zmagala się moja babcia, musi również poznać ludzi nauki, którzy nie poddali się presji swojego środowiska i uparcie szukali lekarstwa na tę nową chorobę.

Nie było ich wielu.

We Francji na początku było to zaledwie kilka osób – prawdziwych bohaterów, o których dziś się nie pamięta. Pracowali w Instytucie Pascala, gdzie dostali sale do badań, ale nic ponad to. Musieli się prosić nawet o mikroskop. Czyli zupełnie inaczej niż w USA, gdzie szybko uruchomiono dobrze finansowane programy badawcze. Dlatego też francuskie odkrycia w tej kwestii – a było ich sporo



i o dużym znaczeniu – długo traktowano z pobłażaniem. To zderzenie dwóch zupełnie różnych modeli działania nauki. A przy okazji opowieść o jeszcze innym wymiarze samotności – tym razem samotności naukowca, którego nikt nie docenia, a mimo to się nie poddaje, bo wierzy w siebie i swoją misję. Miałem szczęście z niektórymi z nich się spotkać i porozmawiać. Niestety, dziś większość już nie żyje. Postanowiłem uczcić ich pamięć, czyniąc ich bohaterami swojej książki na tych samych zasadach, co członków mojej rodziny.

Tvoja książka to też opowieść o nadziei – że jako ludzkość potrafimy pokonywać przeszkody, że naukowcy ze swoją determinacją mogą uratować życie wielu ludzi.

Wiedziałem, że część rodzinna będzie smutna i przytłaczająca, dlatego wątek naukowców miał to odrobinę zrównoważyć. Udało nam się osiągnąć bardzo wiele – i to właśnie dzięki nauce i ludziom jej oddanym. Historia mojej rodziny – z całym jej tragizmem – pokazuje, co by było bez nich. Dziś AIDS we Francji jest chorobą, z którą można wieść względnie normalne życie. Być może w przyszłości da się ją nawet całkiem wyleczyć.

W tym roku tematem przewodnim Festiwalu Ars Cameralis jest miłość. W kontekście historii Twojej rodziny to pojęcie szczególnie ważne.

Dlatego o swojej książce od początku myślałem jako o powieści. To historia zwyczajnej rodziny, która za sprawą nie-

ANTHONY PASSERON – francuski pisarz i nauczyciel. Uczy literatury i historii w szkole średniej, jest także specjalistą od e-learningu i konsultantem w kilku francuskich organizacjach. Jego debiutancka książka „Les Enfants endormis” ukazała się we Francji w 2022 roku i została wyróżniona Nagrodą Weplera, Nagrodą Première Plume, Nagrodą Summer 2023 i nagrodą miasta Limoges, a także otrzymała nominację do Nagrody Coiffard i kilku innych francuskich wyróżnień literackich. W Polsce książka ukazała się w tym roku pod tytułem „Uśpione” nakładem Wydawnictwa Czarne w tłumaczeniu Jacka Giszczaka.

20 listopada o godzinie 18.00 w Black Woolf Coffee & Books w Katowicach odbędzie się spotkanie z autorem.

spodziewanych i tragicznych okoliczności musi na nowo się zdefiniować. Weźmy choćby moją babcię – niezbyt sympatyczną dla innych, szczególnie spoza rodziny, która z powodu choroby i śmierci swojego syna i wnuczki stała się zupełnie inną osobą. Lepszym człowiekiem.

Katastrofy potrafią uczyć empatii?

Coś w tym jest – moja babcia do śmierci powtarzała, a nauczyła się tego właśnie podczas epidemii AIDS, żeby nie oceniać zbyt łatwo innych, bo nigdy nie wiemy, co w życiu przeszli.

A na poziomie społecznym?

Również – za sprawą AIDS nauczyliśmy się publicznie mówić o seksualności. Wiele osób dzięki temu zyskało podmiotowość, która stała się widzialna w przestrzeni publicznej. Na początku lat 80. przyznanie się lekarzowi, że jest się gejem, było praktycznie nie do pomyślenia. Przełamanych zostało wiele tematów tabu. Mówiąc w skrócie – jako społeczeństwo staliśmy się odrobinę lepsi. Francja powinna o tym pamiętać.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



Anthony Passeron,
UŚPIONE, przeł. Jacek
Giszczak, Wydawnic-
two Czarne
Wołowiec 2024

ŚWIAT

SMAK PONOWNEGO SPOTKANIA

Podczas Dnia Zmarłych w Meksyku spotykają się dwie kultury: ta wywodząca się z chrześcijaństwa i ta wcześniejsza, prekolumbijska. Spotykają i uzupełniają. Nasza autorka towarzyszyła takim obchodom.

TEKST I ZDJĘCIA **HONORATA ZAPAŚNIK** Z MEKSYKU

OŁTARZ ZMARŁYCH STOI NA GŁÓWNYM placu Oaxaca de Juárez, 700-tysięcznego miasta w południowym Meksyku. Zaraz obok XVI-wiecznej katedry, zbudowanej z zielonkawego kamienia.

Na schodkach, wyłożonych czarnym materiałem, rozstawiono papierowe fi-

gury kościotrupów. Kilka z nich, ludzkich rozmiarów, ubrano w tradycyjne stroje wykonane przez rdzennych mieszkańców.

Figurę ustawioną pośrodku, z papierowym kapeluszem na głowie, zdobi dodatkowo napis: „Bóg nigdy nie umiera”.



Powyżej: chlebek zmarłego, popularny meksykański przysmak.
Po lewej: Catrina, ikona kultury Meksyku.
Oaxaca de Juárez, 1 listopada 2023 r.

ŚWIĘTO ŚWIAT | Historyczne centrum Oaxaca de Juárez uznaje się dziś za idealny przykład tzw. miasta wicekrólewskiego, zbudowanego przez Hiszpanów. Powstało w 1531 r., dekadę po tym, jak przybysze zza oceanu podbili tę ziemię. Natomiast o wcześniejszych, prekolumbijskich korzeniach tego miejsca przypominają położone w pobliżu ruiny miast Misteków i Zapoteków. Także ich potomkowie nadal tutaj mieszkają.

W ostatnich latach miasto stało się szczególnie popularne w okresie chrześcijańskich Wszystkich Świętych. Nie bez znaczenia jest fakt, że meksykański Dzień Zmarłych od 2008 r. znajduje się na liście niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO.

Szacuje się, że pomiędzy 27 października a 2 listopada hotele w różnych miejscach w całym Meksyku, gdzie mają miejsce uroczystości podobne jak w Oaxaca, odwiedza łącznie ponad 2 mln turystów; ponad 600 tys. z nich to obcokrajowcy.

CATRINA | Idę w kierunku rynku. W wejściu do mijanej restauracji zauważam dwie Catriny z papieru. To ikona kultury meksykańskiej. Postać Catriny, czyli kościotrupa w eleganckim kapeluszu, wymyślił w 1912 r. José Guadalupe Posada, ilustrator i karykaturzysta. Początkowo miała to być satyra na kobiety, które osiągnęły lepszy status ekonomiczny i starają się ukryć swoje pochodzenie, naśladować modę europejską. Później Catrina została utrwalona na muralu „Sen o niedzielnym popołudniu w Alameda Central” autorstwa Diega Riverę. Na malunku ma nie tylko kapelusz, ale też elegancką suknię.

To właśnie Rivera nadał jej nowe imię, pochodzące od słowa *catrin*, które oznacza elegancko ubranego mężczyznę. Dziś Catrina kojarzona jest powszechnie z Dniem Zmarłych. Wiele osób przebiera się za nią i maluje twarz, by się do niej upodobnić.

Catrina ma też swoje warianty wywołujące się z popkultury. Kilkuletni chłopiec, który przysiadł właśnie na krawężniku, w czerwonej bluzie z kapturem i pomalowaną na białą twarzą, przebrał się za Miguela. To postać z bajki wyprodukowanej w 2017 r. przez Pixar Animation Studio we współpracy z Disneyem. Opowiadając historię meksykańskiego chłopca, który przez przypadek trafia do krainy umarłych, film przybliży lokalne tradycje (nieprzypadkowo jego premiera w kinach odbyła się tuż przed Dniem Zmarłych).

DWIE KULTURY | Jeszcze zanim dojdziemy do rynku, możemy skosztować smażonej szarańczy. To przysmak kuchni prekolumbijskiej. Niektórzy sprzedawcy oferują ją naturalną, bez dodatków, inni zaś z limonką, solą lub chili. – Chcesz spróbować? Mają dużo protein! – zapewnia sprzedawczyni.

Mijam duży ołtarz zmarłych, zwany *ofrenda* (ofiara). Na schodkach postawiono zdjęcia zmarłych, jedzenie i picie. Obok płoną świece i kadzidła, w doniczkach stoją nagietki. Zgodnie z tradycją dusze zmarłych wracają na ziemię, aby odwiedzić ołtarze, które postawili im bliscy: 1 i 2 listopada będą smakować potraw, które na nich czekają. W odnalezieniu drogi pomoże im światło świec, kwiaty i zapach kadzidła.

Historycy uważają, że początki tej tradycji można znaleźć w czasach preko-

lumbijskich. Rdzenni mieszkańcy składali zmarłym dary złożone z rzeczy mających im pomóc w czteroletniej wędrówce przez podziemia, których strzegł Mictlantecuhtli, bóg krainy zmarłych (wierzono, że pomaga on duszom przejść przez głęboką rzekę do tejże krainy). Potem chrystianizacja doprowadziła do synkretyzmu, w którym widoczne są wierzenia obu kultur.

Także przy stoiskach z jedzeniem można zobaczyć, jakżeby inaczej, figurki Catrin, a także kolorowe bibułki z wizerunkami zmarłych. Przy stołach siedzą turyści. Kilka kobiet ma na głowach wianki z nagietków lub kolorowych wstążek, które też można dostać u ulicznych sprzedawców. Jednemu z mężczyzn towarzyszy pies *xoloitzcuintle* (zwany też nagim psem meksykańskim), ubrany w sweterek z wzorkiem kościotrupa.

CHLEBEK | W kolejnej budce sprzedają popularny meksykański przysmak: chleb zmarłego. Wypiek ten można dostać w całym kraju, ale jego forma różni się w zależności od regionu. W stolicy, mieście Meksyk, bułki są okrągłe i posypane cukrem. Symbolizują cykl życia, z wizerunkiem kości w formie krzyża, który wskazuje cztery kierunki świata. W innych regionach mają formę motyla, człowieka lub czaszki.

W Oaxaca de Juárez chlebek jest okrągły, ale ozdobiony ludzką twarzą. – Każda z nich symbolizuje zmarłego – tłumaczy mi sprzedawca. – A ziarna sezamu to dusze zmarłych, które nie znalazły spokoju po śmierci.

Również ta tradycja sięga czasów prekolumbijskich. Chleb, robiony wówczas z masy kukurydzianej i ziaren amarantusa (to jedna z najstarszych roślin uprawianych przez ludzi), składano w ofierze w świątyniach lub na skrzyżowaniu dróg. Adresatem tych ofiar były *cihuapiltin* – duchy kobiet, które zmarły w czasie pierwszego połogu. Wierzono, że po śmierci wędrowały po świecie, wywołując choroby wśród dzieci.

Z kolei brat Diego de Durán – XVI-wieczny dominikanin, autor pracy na temat kultury Azteków – opisuje, że miejscowa ludność w czasie uroczystości poświęconej bogini Huitzilopochtli jadła *tzoali*: ten sam rodzaj chleba, ale z miodem z agawy.

NAGIETKI | Idę główną ulicą w kierunku Santo Domingo de Guzmán – kościoła św. Dominika, imponującej barokowej budowli z końca XVI w., jednej z największych atrakcji w mieście. Po drodze mijam tłum ludzi. Spoglądam na dach dwupiętrowego budynku w stylu kolonialnym i również tu zauważam gigantyczną figurę kościotrupa. Kawałek dalej, pośrodku ulicy kolejny kościsty korpus z uśmiechniętą czaszką. Przed nim dwoje dzieci pozuje do zdjęć.

– Chcesz kupić wianek z *cempasuchil*? – pyta dziewczynka o śniadej twarzy w tradycyjnym indiańskim stroju.

Pomarańczowe nagietki rosną w Meksyku jesienią i są nieodłączną częścią obchodów Dnia Zmarłych. Przyozdabia się nimi groby i ołtarze umarłych. Dawniej utożsamiano ten kolor ze słońcem, był uznawany za symbol życia i śmierci. Również przed przybyciem konkwistadorów mieszkańcy składali kwiaty w dachach swoim bliskim zmarłym. Tradycja nakazuje wytyczanie ścieżek z kwiatów nagietka, do ołtarza w domu, aby dusze bliskich mogły odnaleźć do niego drogę.

MALOWANIE | Na placu przed kościołem św. Dominika grupa zagranicznych turystek ubrała się w ręcznie wyszywane długie suknie, twarze pomalowały na białą. Fotograf ustawia je do zdjęcia.

Wzdłuż głównej ulicy mieszkańcy siedzą na krzesłkach z pedzelkami i malują twarze turystów na białą. Przed każdym długą kolejką chętnych. – Ile kosztuje pomalowanie? – pytam jedną z „malarek”. – To zależy, czego szukasz – w odpowiedzi podaje katalog ze zdjęciami. – Mogę pomalować ci pół twarzy lub całą. Chcesz wyglądać jak Catrina, czy wolisz mieć namalowanego motyla?

Wybieram tradycyjnie, z cekinami wokół oczu. – Chcesz makijaż fluorescencyjny, żeby twarz świeciła się w nocy? – dopytuje „malarka”.

Siadam na stołeczku, a Meksykanka zaczyna pokrywać farbami lewą stronę mojej twarzy na białą, oczodół zaś na fioletowo.

– Wszyscy są tacy radośni, trudno uwierzyć, że zbliża się Dzień Zmarłych – zauważam.

– U was obchodzi się go inaczej?

– Dla nas to czas zadumy.

– Rozumiem. My cieszymy się, że zaraz odwiedzą nas nasi zmarli.



Na cmentarzu w Oaxaca de Juárez, listopad 2023 r.

→ Kobieta prosi, żebym wybrała kolor ce-kinów, które następnie przykleja mi na twarzy.

W naszym kierunku idzie pochód: orkiestra i mieszkańcy ubrani w tradycyjne stroje. Niosąc figury księdza, zakonnic i kościotrupów, ruszają się w rytm muzyki.

Dołączam do grupy, idziemy aż pod katedrę. Tłum rozprasza się po placu, ludzie zaczynają tańczyć.

CZUWANIE | Wieczorem jadę na cmentarz Xoxocotlán, to niedaleko centrum miasta. Na placu przed wejściem mijam ozdobioną światełkami, wizerunkami czaszek

i kwiatami specjalną bramę, zasponsorowaną przez markę znanego browaru.

Obok stoi grupa *mariachi* w kapeluszach – można ich wynająć, by zagrali przy grobie naszych bliskich ich ulubione piosenki.

Na stoisku obok można kupić piwo o smaku nagietków, wyprodukowane specjalnie z myślą o Dniu Zmarłych. Reklamują je jako „smak ponownego spotkania”. Po drugiej stronie ulicy z baru dochodzi odgłos skocznej muzyki; przed wejściem stoją kościotrupy.

Przechodzę przez główną bramę cmentarza, stąpając po rozsypanych płatkach pomarańczowych nagietków.



Oto grób ozdobiony główkami kwiatów i świecami: pod krzyżem postawiono zdjęcie starszego mężczyzny z wąsem i w białym kapeluszu, a tuż pod nim plastikowego kościotrupa.

Przy sąsiednim grobie zawieszono balony i wysypano z piasku głowę kościotrupa w pióropuszu. W oddali *mariachi* śpiewają przy grobie wraz z rodziną zmarłego.

TATA ZAPRASZA | Mijam starsze kobiety w wiankach, z pomalowanymi twarzami, które siedzą na niskich stołeczkach, i wchodzę w boczną alejkę. Podchodzę do młodej dziewczyny stojącej samotnie przy mogile. Obok koszy z jedzeniem i butelka mezcala, wysokoprocentowego alkoholu z agawy. Uśmiecha się do mnie.

– Przy kim czuwasz? – pytam.

– Przy tacie, zmarł miesiąc temu – odpowiada. – Czekam, aż przyjedzie reszta mojej rodziny. Będziemy do rana.

Sięga po butelkę i podaje mi plastikowy kieliszek. – To był ulubiony mecal mojego taty, może chcesz spróbować? Tata zaprasza.

Opuszczając cmentarz, mijam ludzi zgromadzonych w pobliżu sceny. Zastłuchali się w piosenkę z filmu „Coco”, w wykonaniu miejscowego piosenkarza.

Pamiętaj mnie, chociaż odejść muszę stąd, pamiętaj mnie, gdy gra gitary gorzki ton, jestem obok tu, jak tylko ja potrafię być, aż znów w ramiona wezmę cię, pamiętaj mnie...

© HONORATA ZAPAŚNIK



PAWEŁ WODZIŃSKI SVD / MATERIAŁY PRASOWE

Ze śmiercią za pan brat

KS. WIESŁAW SKOWROŃSKI,
WERBISTA PRACUJĄCY W MEKSYKU:

Był to dla mnie szok kulturowy, gdy po raz pierwszy dostałem od jednego z moich wiernych czekoladową czaszkę z wypisanym moim imieniem.

HONORATA ZAPAŚNIK: Jak Meksykanie podchodzą do śmierci?

KS. WIESŁAW SKOWROŃSKI: W sposób bardzo naturalny. Mieszkam w Meksyku od 29 lat i wciąż mnie to zadziwia. Jeśli umiera ktoś młody, np. na cukrzycę, wtedy mówią, że widocznie Bóg tak chciał. Nie zastanawiają się, co by było, gdyby bardziej dbał o zdrowie. Powiedziałbym, że Meksykanie są ze śmiercią za pan brat, dlatego dla nich Dzień Zmarłych to fiesta. Dekorują groby, jest trochę modlitwy, jedzą, piją i wspominają bliskich zmarłych, ale puszcza też muzykę na cmentarzu, czasem tańczą w domach.

Podejście do śmierci odzwierciedla się również w tutejszej modlitwie. Kościoł trypami ozdabiają domy, malują twarze na białą, a w cukierniach przed Dniem Zmarłych można kupić czaszki czekoladowe lub cukrowe. Dla mnie to był szok kulturowy, kiedy pierwszy raz dostałem taką czaszkę od jednego z moich wiernych, z wypisanym moim imieniem. A oni chcieli mi w ten sposób powiedzieć, że mnie lubią. Dzisiaj czaszki w różnej postaci można zresztą kupić przez cały rok na targach pamiątek.

O. Wiesław Skowroński SVD podczas odpustu w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Copilco, dzielnicy miasta Meksyk

Patrząc od strony religijnej, czym jest więc dla nich Dzień Zmarłych?

W wierzeniach Meksykanów ciągle są wymieszane tradycje prekolumbijskie z tymi, które powstały po przyjeździe ewangelizacji. Widać to w różnych aspektach życia, także gdy idzie o dzień Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny. Tutaj wszyscy mówią tylko o *Día de Muertos*, czyli o Dniu Zmarłych. W domach często stawiają też ołtarze zmarłych, a obok zdjęcia składają różne dary, np. tequilę albo typowy meksykański sos mole, przyrządzany z papryczek chili i czekolady.

Zgodnie z tradycją zapala się też kadzidło, symbol życia, które prowadzi zmarłych na powrót do świata żywych. W czasach prekolumbijskich było stosowane w wielu ceremoniach religijnych.

Kadzidło stosowano już w czasach przedchrześcijańskich, a dopiero potem Kościół nadał mu nowe znaczenie. Razem z dymem nasze modlitwy wznoszą się do nieba. Dlatego, żeby zrozumieć tradycje meksykańskie, trzeba znać historię Meksyku i dawne wierzenia. Wcześniej tubylcy wierzyli w wielu bogów. Zresztą pomogło to Hiszpanom w podboju Meksyku, bo wielu Indian uznało, że hiszpański przywódca jest wcieleniem boga Quetzalcoatl, Pierzastego Węża, który odpłynął kiedyś za wielką wodę, obiecując, że powróci. Miejscowa ludność wierzyła też w świat podziemny. Po śmierci musieli pokonać długą i trudną drogę, żeby spotkać się ze swoimi bogami. Dzisiaj oni chcą, żeby dusze ich bliskich zostały zbawione i spotkały naszego Boga.

Czy rdzenni mieszkańcy nadal modlą się do dawnych bogów?

W ich podświadomości pozostało wielobóstwo. Kiedy były susze w Meksyku,

Kościół zapraszał do modlitwy o deszcz, a rdzenni mieszkańcy okadzali ziemię przed mszą świętą i modlili się do Tlaloca, boga deszczu.

Dla nas może to nie być zgodne z religią chrześcijańską, ale dla nich to normalne. Po roku pobytu w Meksyku uczestniczyłem w kursie inkulturacji nowych misjonarzy i antropolog tłumaczył nam, dlaczego Meksykanie tak postępują. Po prostu, po podboju chcieli być w porządku wobec swoich bóstw i także wobec nowego Boga. Przychodził do nich misjonarz raz na parę miesięcy, stawiał krzyż w miejscu ich dawnej świątyni. Zmuszał miejscowych, żeby się pod nim modlili. Nie mówił w ich języku, więc mogli porozumiewać się tylko za pomocą symboli. Misjonarz odchodził, po kilku miesiącach wracał i był zdziwiony, że wszyscy modlą się przed krzyżem. Ale za tym krzyżem wcześniej oddawali cześć innemu bóstwu, więc tak naprawdę modlili się do niego.

Czy młodzi Meksykanie z miast mają taki sam stosunek do tego dnia?

Większość młodych traktuje całą tę otoczkę związaną z Dniem Zmarłych jako folklor. Dla nich to tradycja, którą należy kultywować. Poważny stosunek mają do tego dnia głównie rdzenni mieszkańcy. I należy to zaakceptować. Występując kiedyś w Parlamencie Europejskim, Jan Paweł II podniósł laskę, grożąc „Europo, ty odcinasz się od swoich korzeni i dlatego tracisz swoją tożsamość”. Z tego samego powodu nie możemy wykorzystać tutaj indiańskiej tożsamości.

Jak meksykański Kościół na to patrzy?

Kościół w Meksyku na niektóre tutejsze zwyczaje patrzy z przymrużeniem oka. Akceptuje to, co można zaakceptować, i tłumaczy, że kontakt z bliskimi zmarłymi polega na modlitwie za nich.

Meksykanie malują twarze na białą, bo to jest ich tradycja, ale widać też wpływy z Zachodu. Np. dzieci w przebraniu upiórów chodzą po ulicy i proszą o pieniądze. W tej chwili staramy się mówić ludziom, żeby nie świętowali Halloween. W wielu parafiach dzieci, które uczestniczą w katechezie, przebierają się za świętych. Chcemy uświadamiać wiernych, żeby zachowywali swoje meksykańskie tradycje i nie zapożyczali ich z obcych krajów.

© Rozmawiała w Meksyku
HONORATA ZAPAŚNIK



Jana Zitna, właścicielka zakładu pogrzebowego w Litwinowie, demonstruje obrazy wykonane z prochów na życzenie rodziny zmarłego. W 2023 r. Jana Zitna wygrała w regionalnym konkursie na Przedsiębiorcę Roku. Październik 2023 r.

ONDREJ HAJEK / CTK / PAP

Trumienkę czy wianuszek?

MARTYNA WASIUŁA

Czechy są w czołówce Europy, gdy idzie o odsetek kremacji: tak odbywa się 85 proc. pochówków. Jak to się stało, że kremacje weszły trwale do czeskiej obyczajowości i kultury, a nawet humoru?

CZECHY TO KRAJ, GDZIE DO PEREŁEK ARCHITEKTURY należą krematoria; ich projekty stanowiły niegdyś popis kunsztu architektów. Praga może poszczycić się największym krematorium w Europie, a wizerunek pardubickiej spopiarni trafił na znaczki pocztowe.

Ale czy można się temu dziwić, skoro w Czechach większość pogrzebów odbywa się w formie kremacji, która traktowana jest już niemal jak element tradycji? To nie przypadek, że „Pałac zwłok” – powieść-groteska Ladislava Fuksa z 1967 r. o pracowniku praskiego krematorium, jedno z najwybitniejszych dzieł czeskiej literatury (sfilmowane już w 1969 r.) – opowiada o obsesji bohatera na punkcie kremacji. A finałowy odcinek głośnego serialu komediowego „Most” z 2019 r., zamiast zwieńczenia krzepiącym happy endem, przedstawia plastycznie kulisy kremacji „na koszt państwa” jednego z bohaterów.

Być może trudno sobie to wyobrazić, ale popularny w czeskich kawiarniach deser – w postaci biszkoptu z bitą śmietaną – nazywany jest „trumienką” (cz. *rakvička*, zdrobnienie od *rakev*), gdyż kształtem przypomina trumnę. Wątek słodkiej „trumienki” pojawia się też w filmie „Pałac zwłok”, a jeden z bardziej znanych filmowych cytatów to dwuznaczne: „Wolisz trumienkę czy wianuszek?”. Chodzi o wybór deseru. Ale pytanie pada z ust dyrektora krematorium, który zabił wcześniej swoją żonę, więc można dostać gęsiej skórki.

STATYSTYKA | Czechy są na europejskim podium, jeśli chodzi o odsetek kremacji. Według danych brytyjskiego Towarzystwa Kremacyjnego, w 2023 r. w Czechach ponad 85 proc. pogrzebów poprzedziło spopielenie zwłok. W Europie nieznacznie wyższy odsetek był tylko w Słowenii i Danii (86 proc.). Świa-

towy lider to Japonia, gdzie dokonuje się kremacji w przypadku 99,9 proc. pogrzebów. Dla porównania, w Polsce to 24 procent.

W stolicy Czech znajduje się największe pod względem powierzchni krematorium w Europie, czyli Strašnice. Konstruktivistyczny budynek, wzniesiony na przełomie lat 20. i 30. XX w., ma status zabytku. Od niego pochodzi też nazwa przystanku tramwajowego: podróżując komunikacją miejską przez dzielnicę Vinohrady, w pewnym momencie słyszymy zapowiedź przystanku Krematorium Strašnice i nie trzeba znać czeskiego, by się zorientować, co to znaczy. Podobnie jest w przypadku drugiego w stolicy krematorium: Motol.

DZIEDZICTWO | Strašnice nie są jedyną tego typu budowlą, której przyznano status zabytku z uwagi na wartość architektoniczną. Projektowane przez znanych architektów dwudziestolecia międzywojennego, stanowią do dziś część dziedzictwa kulturowego Pierwszej Republiki. Zabytkowe są krematoria w Brnie, Nymburku czy Pardubicach (charakterystyczną fasadą tego ostatniego uwieczniono w filmie „Pałac zwłok”, choć filmy osadzone jest w Pradze).

To w Pardubicach jest w ogóle pierwszym czeskim krematorium (w odróżnieniu od budowanych przez Niemców, np. w Libercu) i jedną z najsłynniejszych budowli rondokubistycznych powstałych w latach 20. XX w. Kiedy w 2013 r. obchodziło 90-lecie powstania, Poczta Czeska wypuściła limitowaną edycję znaczków, na których widnieje ten obiekt (zaprojektowany zresztą przez zwycięzcę pierwszego publicznego konkursu architektonicznego w Czechosłowacji).

Czesi wiodą prym również w zapleczu kremacyjnym w przeliczeniu na liczbę mieszkańców. Jak podawał portal cestavby.cz, w 2023 r. w kraju istniało 27 krematoriów z 54 piecami, co sprawiło, że kremacje odbywały się bardziej punktualnie niż połączenia Kolei Czeskich.

OBYCZAJ | Kolejną specjalnością Czechów, gdy idzie o obyczaje związane z pożegnaniem, staje się w ostatnich latach kremacja bez ceremonii pogrzebowej. Niegdyś stosowana w wyjątkowych sytuacjach, miała miejsce głównie w przypadku zbrodniarzy czy osób z marginesu społecznego. Tymczasem dziś w Czechach już niemal jedna czwarta kremacji odbywa się bez uroczystego ostatniego pożegnania. Mniejszy odsetek jest na Morawach, gdzie więcej ludzi deklaruje się jako wierzący.

Wśród przyczyn, dla których przybywa takich pogrzebów bez obrzędu, jest nie tylko zjawisko, które socjologia określa jako „prywatyzacja smutku”, a które skutkuje bardziej kameralnymi formami pochówku. Ministerstwo rozwoju regionalnego zwraca uwagę na stale rosnącą liczbę pogrzebów na koszt państwa – te zaś mają najtańszą oprawę, jaką jest właśnie kremacja bez ceremonii pogrzebowej.

I tak, w ciągu ostatnich czterech lat aż o połowę wzrosła liczba tzw. pogrzebów socjalnych (do 2 tys.). Dotyczą one głównie osób zmarłych w szpitalu niemających rodziny, która mogłaby zająć się organizacją pogrzebu. Placówka medyczna kontaktuje się wówczas ze służbami socjalnymi, na które spada odpowiedzialność za pochówek. Kremacja zaś jest dużo tańszą formą pogrzebu niż tradycyjne złożenie w trumnie.

HISTORIA | Przyczyny takiej powszechności kremacji oraz jej silnej obecności w kulturze oraz obyczajowości Czech wynikają w znacznym stopniu z historii – i to tej odleglejszej niż okres komunistyczny, a nawet dwudziestolecie międzywojenne.

Ruch kremacyjny na ziemiach czechskich rozwinął się już w okresie austro-węgierskim, a więc jeszcze przed powstaniem Czechosłowacji w 1918 r. Początkowo był wyrazem oporu ze strony czechskich intelektualistów i miejskich liberałów wobec zacofanego ich zdaniem Kościoła rzymskokatolickiego, który postrzegano jako jeden z filarów c.k. monarchii.

Ideę kremacji popierali więc słynni XIX-wieczni czescy pisarze, jak Jan Neruda (1834-1891) czy Božena Němcová (1820-1862). Wielkim echem w ówczesnej prasie odbiły się pierwsze kremacje Czechów za granicą, w tym praskiego

radnego Vojtěcha Náprstka, założyciela Muzeum Kultur Azji, Afryki i Ameryki, które do dziś można zwiedzać przy placu Betlejemskim w Pradze (co ciekawe, zwolennicy kremacji byli także w kręgu czechskich Niemców; za ich sprawą krematoria zbudowano w Chebie, Libercu czy Ostrawie).

TOWARZYSTWO | To właśnie kremacja i pogrzeb Náprstka w niemieckim mieście Gotha w Turynii zapoczątkowały spór – rozgrywający się na łamach ówczesnej prasy – między liberałami a zwolennikami tradycyjnego pochówku. Zwieńczyło go założenie w 1899 r. Towarzystwa Kremacyjnego. Może nie cieszyło się ono masowym zainteresowaniem, ale jego doświadczenia pomogły innym promotorom kremacji założyć 10 lat później stowarzyszenie o nazwie Krematorium, zorientowane bardziej praktycznie.

Jego współzałożycielem i pierwszym przewodniczącym został Jaroslav Kvapil, pisarz i dramaturg Teatru Narodowego w Pradze – ten sam, który napisał libretto do „Rusałki”, słynnej opery Antonína Dvořáka. Jest to więc kolejne wielkie nazwisko związane z ruchem kremacyjnym, także w powstałej wkrótce Czechosłowacji.

Stowarzyszenie Kvapila przetrwało do dziś, choć po kilku perturbacjach zmieniło nazwę na Towarzystwo Przyjaciół Kremacji (*Společnost přátel žehu*).

Kvapilowi przypadło w udziale być także autorem pierwszej w Czechosłowacji ustawy, która wprowadzała tę alternatywną formę pogrzebu. Tekst ustawy nie był tak obszerny, jak libretto „Rusałki”, liczył bowiem tylko dwa zdania. *Lex Kvapil* z 1919 r. stanowił kamień milowy ruchu kremacyjnego w Czechosłowacji. Z biegiem lat rosła też liczba członków stowarzyszenia Krematorium (w 1950 r. było ich już 200 tysięcy).

ARGUMENT | Na promowanie kremacji jako formy pogrzebu silnie wpłynął upadek Austro-Węgier, związany z tym odwrót Czechów od dominującego dotąd Kościoła rzymskokatolickiego i podkreślanie w tym kontekście idei narodowych.

Jako argument na rzecz kremacji niektórzy przywoływali nawet postać najsłynniejszego bohatera narodowego Czechów, Jana Husa. Ten późnośrednio-

wieczny duchowny i reformator został spalony na stosie podczas soboru w Konstancji w 1414 r. za szerzenie herezji (Czesi obchodzą 6 lipca święto narodowe upamiętniające jego śmierć).

Sięgnięcie po argument z Husa miało podkreślić znaczenie kremacji dla tożsamości Czechów – nowej, odrębnej od katolickiej i habsburskiej, narzucanej im przez lata. „Jeśli mistrz Jan Hus i Hieronim z Pragi nie bali się spalenia żywcem, i my nie powinniśmy się bać po śmierci” – głosiło czasopismo wydawane przez stowarzyszenia Krematorium (Hieronim z Pragi żył w tej samej epoce co Hus, również był teologiem i zwolennikiem reform; on także spłonął za to na stosie w 1416 r. – i również w Konstancji).

Powstały w 1920 r. czechosłowacki Kościół husycki wprawdzie nigdy nie przyjął oficjalnie dokumentu w sprawie kremacji. Niemniej w 1927 r. spopieleny został jego pierwszy patriarcha Karel Farský, a przy świątyniach zaczęto budować kolumbaria na urny.

TREND | Choć po 1918 r. rozwijała się infrastruktura kremacyjna, pod koniec dwudziestolecia międzywojennego ta forma pochówku wciąż pozostawała elitarna (5 proc. pogrzebów). Umasowienie kremacji nastąpiło w Czechosłowacji dopiero w okresie socjalistycznym, kiedy powstała gęsta sieć krematoriów, obniżająca koszty kremacji.

Upowszechniając je, władze socjalistyczne chciały także osłabić wpływ religii i Kościołów na społeczeństwo. Z jednej strony wzrost zainteresowania kremacją można więc wiązać z odchodzeniem Czechów od Kościoła katolickiego (spadek z 6,7 mln w 1950 r. do 4 mln w 1991 r.; na ok. 11 mln ludności). Z drugiej jednak strony warto odnotować, że lata 60. XX w. to czas, gdy następuje zmiana prawa kanonicznego dopuszczająca kremację jako alternatywę dla tradycyjnego pochówku.

„Żar miłości zapoczątkował życie, żar ognia je zakończy” – głosiło hasło na rzecz kremacji w czasach czechosłowackiej Pierwszej Republiki. Choć potem komunizm pomógł jej się upowszechnić, to po jego upadku trend się nie zmienił. Przeciwnie: po 1989 r. popularność kremacji w Czechach stale rośnie. ©

dr Martyna Wasiuta prowadzi stronę www.czeskapolityka.pl

Walka na milimetry

MARTA ZDZIEBORSKA

Na finiszu kampanii prezydenckiej w USA liczy się nie tylko mobilizacja żelaznego elektoratu, ale też podbieranie głosów rywalowi. Trump czy Harris: kto skuteczniej osłabi przeciwnika?

WSŁONECZNE PAŹDZIERNIKOWE PO-południe w Washington Crossing, na przedmieściach Filadelfii – tych tak ważnych dla walki o Białą Dom – trwa wiec Kamali Harris. Przy dźwiękach utworu „The Best” Tiny Turner na scenę wchodzi para pensylwańskich rolników: Kristina i Bob Lange’owie. On ma na sobie granatową koszulę w kratę i czarne spodnie. Ona – zwykłą bluzkę w paski i dzinsy.

Gdy cichnie muzyka, małżeństwo deklaruje, że choć przez całe życie głosowało w wyborach prezydenckich na Republikanów, to tym razem 5 listopada będzie inaczej. Mówią, że nie zaufają znów Donaldowi Trumpowi po tym, jak po wyborach z 2020 r. podważał ich wynik i podburzał zwolenników do szturm na Kapitol. „Myślałem, że Trump będzie walczył o ludzi takich jak my. Ale prawda jest taka, że jemu nie zależy na ciężko pracujących Amerykanach – przekonuje Bob Lange. – Dla Trumpa liczy się tylko jego dobro”.

Bob przyjechał tu z żoną z oddalonego o 80 kilometrów Malvern, gdzie od lat jest lokalnym działaczem Partii Republikańskiej. Za polityczny zwrot o 180 stopni i poparcie dla Harris małżeństwo płaci już wysoką cenę. Gdy wystąpili wcześniej w kampanijnym spocie Demokratki, zaczęli dostawać wiadomości od hejterów i internetowych trolli. Obrażliwe treści zamieszczano też na facebookowym profilu farmy Lange’ów – Sugartown Strawberries.

Harris w paszczy lwa

Mimo tej nagonki para Pensylwańczyków dołączyła na wiecu w Washington Crossing do grupy antytrumpowskich Republikanów, którzy popierają Harris. Otoczona przez byłych kongresmenów i byłych członków administracji Trumpa, Demokratka przekonywała, że stawką jest dziś obrona konstytucji USA, a do-

bro kraju powinno przeważać nad partyjnymi podziałami.

„Obiecuję, że jako prezydentka będę działała na rzecz zjednoczenia nas wokół naszych najwyższych celów” – przekonywała Harris, która na kampanijnej ostatniej prostej pokazuje się też z Liz Cheney, była republikańską kongresmenką znaną z krytyki Trumpa. W poniedziałek 21 października pojawiły się razem na przedmieściach Detroit, Milwaukee i Filadelfii, gdzie do zgarnięcia są głosy kobiet o konserwatywnych poglądach. Harris weszła nawet do paszczy lwa: udzieliła wywiadu prawicowej stacji Fox News, która słynie z ostrych ataków na Demokratów.

Wszystko po to, by powtórzyć sukces Bidena: cztery lata temu zwyciężył on w tzw. stanach wahających się nie tylko dzięki mobilizacji żelaznego elektoratu, ale także dzięki poparciu wyborców niezależnych – i umiarkowanych Republikanów.

Jak pozyskać umiarkowanych

W tym roku walka rozgrywa się głównie o głosy Republikanów, którzy w prawyborach swojej partii pokazali czerwoną kartkę Trumpowi i głosowali na jego rywalkę Nikki Haley. W Pensylwanii, gdzie do zgarnięcia jest aż 19 głosów elektorckich, zrobiło tak ponad 16 proc. republikkańskich wyborców, choć Haley już dawno wycofała się z wyścigu.

Próbując przejąć głosy konserwatywnych Amerykanów, sztab Kamali Harris pompuje też pieniądze w kampanię na wsi. Stąd reklamy takie jak ta, w której pojawiło się małżeństwo Lange’ów z Pensylwanii. W kampanii Harris zgodziła się też wystąpić Tina Hinchley, właścicielka farmy mlecznej z Wisconsin: przed kamerą przekonywała, że nie przeżyłaby guza mózgu i raka piersi, gdyby nie reforma Obamacare. To ważny wątek, gdyż

Trump zapowiadał, iż chce rozmontować ten program, który ubezpieczeniem zdrowotnym objął ponad 20 mln Amerykanów.

Dla kampanii Kamali Harris liczą się także głosy umiarkowanych Republikanów w Arizonie – również tam cztery lata temu to oni przysłużyli się do zwycięstwa Bidena w tym stanie.

„Kiedyś mu wierzyłem”

W tej grupie wyborców z Arizony w 2020 r. nie było Romana Coreya. Republikanin z Phoenix wtedy jeszcze wierzył, że Trump zasługuje na reelekcję, i na niego oddał swój głos. Dziś 22-letni Roman mówi „Tygodnikowi”, że nie powtórzy tego błędu. Zaufanie do Trumpa stracił po szturmie na Kapitol, podczas którego w styczniu 2021 r. sympatycy przegranego prezydenta chcieli nie dopuścić do zatwierdzenia wyniku przez Kongres.

– Jeszcze zanim tłum protrumpowców wdarł się do budynku Kongresu, wierzyłem w kłamstwa Trumpa o rzekomo skradzionych wyborach prezydenckich w Arizonie – mówi Roman. Dodaje, że o nieprawidłowościach do dziś przekonany jest jego ojciec, zatwardziały zwolennik Trumpa.

Reszta rodziny nie zgadza się z Coreym seniorem: oprócz Romana na Kamalę Harris planują głosować także jego matka i dwie siostry. Cała czwórka wybrała się nawet na wiec Demokratki w Chandler na przedmieściach Phoenix.

Gorączka w Phoenix

Choć więc cztery lata temu Roman Corey uwierzył w gospodarcze obietnice Trumpa, to dziś bardziej trafiają do niego propozycje Harris, takie jak rządowe dopłaty do kredytów hipotecznych. Dla mieszkańca Arizony to wyjątkowo ważna sprawa, bo choć pracuje na cały etat jako terapeuta dziecięcy, nadal musi mieszkać z rodzicami.

Jak mówi, nie stać go na wynajem własnej klitki, bo – po pierwsze – świeżo upieczeni absolwenci w jego zawodzie zarabiają kiepskie pieniądze. A po drugie, ceny nieruchomości w Phoenix w ostatnich latach mocno poszybowały.

Roman Corey narzeka również na koszmarnie upały w Arizonie. Gdy rozmawiamy w to niedzielne październikowe południe, w Phoenix jest 37 stopni Celsjusza. Podczas połączenia wideo widzę,



JACQUELYN MARTIN / AP / EAST NEWS

Kamala Harris rozmawia z Kristiną i Bobem Lange'ami, małżeństwem farmerów z Malvern w Pensylwanii, podczas wiecu wyborczego w Washington Crossing. 16 października 2024 r.

jak po jego twarzy leje się pot. – Między innymi właśnie dlatego nie zgłoszę na Trumpa – przekonuje Roman. – On nie rozumie, że brak inwestycji w zieloną energię jeszcze bardziej pogłębi kryzys klimatyczny.

Roman deklaruje, że nie będzie czekać do 5 listopada i zgłasza na Harris już wcześniej, w ramach dostępnej w Arizonie procedury wczesnego głosowania.

Baner na trawniku

Larry R. Miller, Republikanin z Cheboygan, niespełna 5-tysięcznego miasteczka w Michigan – kolejnego „wahającego się” stanu – już lata temu postanowił, że nie będzie głosował na Trumpa. Gdy ten w 2016 r. po raz pierwszy walczył o prezydenturę, Larry poparł kandydata niezależnego Evana McMullina. Cztery lata później głosował na Bidena, a dziś poprzez Harris, choć nie zgadza się z jej liberalnym podejściem do aborcji. Wszystko po to, by nie dopuścić Trumpa do władzy.

– Od początku uważałem, że ten człowiek jest niebezpieczny dla Ameryki i świata – mówi „Tygodnikowi” 74-letni Larry, były policjant, który w bogatym zyciorysie ma służbę w misji ONZ i OBWE w Kosowie, liżącym rany po wojnie z lat 1998-99.

– Znam dobrze Europę i wiem, do czego mogą prowadzić autorytarne rządy

w takich krajach jak Turcja czy Węgry. Przecież Trump gościł w tym roku Orbána w Mar-a-Lago! – emocjonuje się Larry, nawiązując do lipcowej wizyty premiera Węgier w rezydencji Trumpa na Florydzie.

– On nie jest prawdziwym Republikaninem, tylko przebiezańcem, który chce zniszczyć amerykańską demokrację i porządek międzynarodowy. Jest mi wstyd, że kierownictwo Partii Republikańskiej stoi dziś za nim murem – uważa Larry, który tuż przed wyborami prowadzi antytrumpowską kampanię na własnym trawniku. Przed jego domem stoi ogromny baner z napisem: „Jestem prawdziwym Republikaninem. Jeśli wybierasz dyktatora, głosuj na Trumpa. Ale jeśli demokrację – głosuj na Harris”.

Głosy czarne, głosy latynoskie

W czasie, gdy Harris podbiera Trumpowi republikańskich wyborców, ten próbuje pozyskać Latynosów i Afroamerykanów – wcześniej długo uznawanych za żelazny elektorat Demokratów. Kusi ich obietnicą obniżenia cen żywności i benzyny, a także zapowiedzią walki z nielegalną imigracją i przestępczością. Do niektórych latynoskich i czarnoskórych wyborców zdaje się przemawiać też izolacjonistyczna doktryna „America First”, stawiająca w centrum potrzeby Amery-

kanów kosztem mniejszego zaangażowania USA na świecie.

Z sondażu „New York Timesa” i Siena College wynika, że dobre zdanie na temat Trumpa ma 17 proc. czarnych i 41 proc. latynoskich wyborców. Ci drudzy najwyraźniej nie biorą sobie do serca jego słów np. o haitańskich imigrantach, którzy rzekomo jedzą psy i koty. Walcząc o głosy Latynosów, Trump straszy ich zresztą nielegalnymi imigrantami, przekonując, że to oni – wdzierający się do USA za rządów Bidena – zabierają im pracę.

Na ostatniej prostej Trump gościł nawet w popularnej wśród Latynosów telewizji Univision – stacji, którą cztery lata temu nazwał tubą propagandową Partii Demokratycznej. Podczas godzinnego spotkania z latynoskimi wyborcami odpowiadał na ich pytania i przekonywał ich, że za jego rządów żyło im się lepiej.

Cały ten sekret

Na kilka dni przed wyborami dużo mówi się o dobrych sondażowych notowaniach Trumpa szczególnie wśród czarnoskórych młodych mężczyzn, którzy są zdystansowani do amerykańskiej polityki i sfrustrowani brakiem perspektyw w życiu.

Według wspomnianego sondażu „New York Timesa”/Siena College, Republikanin może liczyć na poparcie nawet 15 proc. czarnych wyborców – to niemal dwukrotnie więcej niż w 2020 r., gdy walczył o reelekcję z Bidenem. W tak bardzo wyrównanym wyścigu głosy czarnych wyborców mogą mu pomóc np. w Georgii – to także stan „wahający się” – gdzie stanowią oni około jednej trzeciej elektoratu. To zmobilizowało w ostatnich tygodniach Harris do bardziej zacieklej walki o młodych Afroamerykanów.

O kalkulacji na ostatniej prostej trafia nie mówi cytowany przez „New York Timesa” James Blair, dyrektor polityczny kampanii Trumpa: „To walka na milimetry. Cały sekret polega na uzyskaniu przewagi dzięki różnym społecznościom w różnych stanach”.

Murem za Trumpem

Tymczasem Trump, którego sztab od długich tygodni bombarduje wyborców w Georgii esemesami i kampanijnymi spotami, zdaje się mieć już w kieszeni głos Samuela Kema.



→ Choć cztery lata temu ten 25-latek głosił na Bidena, to dziś jest zmęczony wysokimi kosztami życia, przez co – tak jak Roman Corey z Arizony – musi mieszkać z rodzicami. Samuel, absolwent studiów artystycznych, mówił serwisowi Politico, że chce naprawy polityki migracyjnej i wierzy, iż Trump ma talent do utrzymywania „pełnych szacunku” relacji dyplomatycznych z innymi krajami. Z kolei inny mieszkaniec Georgii, 28-letni Arthur Beauford, ceni Trumpa za doświadczenie w biznesie i dlatego po raz pierwszy w życiu chce głosować w wyborach prezydenckich.

Gdyby tylko Jerry Stepanovich miał czarny lub brązowy kolor skóry, byłby dla Trumpa – podbierającego ten elektorat Kamali Harris – wyborcą idealnym. Ten 56-letni budowlaniec z Grand Rapids w Michigan, tak jak niektórzy Latynosi i Afroamerykanie, chce poprawy sytuacji klasy pracującej, zaostreżenia polityki migracyjnej i mniejszego zaangażowania USA na świecie. Jerry denerwuje się, że Ameryka przekazuje miliardy dolarów na pomoc wojskową dla Ukrainy i Izraela.

– Demokraci wciąż mówią o podnoszeniu podatków, ale gdzie, do cholery, idą moje pieniądze? To chore, że Biden ogłasza kolejne pakiety wsparcia dla Ukrainy w czasie, gdy tak wielu amerykańskich seniorów nie stać na zakup leków! – mówi mi Jerry.

Byle do końca

Jerry Stepanovich uważa, że dobrze zna problemy klasy pracującej. Twierdzi, że w ostatnich latach jego koledzy



LARRY R. MILLER jest sympatykiem Republikanów, ale zagłosuje na Harris. Uważa, że Trump jest groźny dla USA i świata.



JERRY STEPANOVICH chce poprawy sytuacji klasy pracującej, ograniczenia imigracji i mniejszego zaangażowania USA w świecie. Wybierze Trumpa.

na budowie narzekają, iż muszą jeździć kilkunastoletnimi autami, bo nie stać ich na zakup nowych. Niektórzy zrezygnowali nawet z cotygodniowej tradycji wychodzenia na obiad z kolegami z pracy, bo oszczędzają na bieżące wydatki.

– Mam szczęście, bo mój syn jest dorosły i nie mam już rodziny na utrzymaniu – mówi Jerry, koniec końców należący do żelaznego elektoratu Trumpa.

Nie zraził go ani szturm na Kapitol, ani problemy prawne Trumpa, ani jego słowa z finiszu kampanii, gdy straszyl, że jeśli wygra Harris, Ameryka stanie się „drugim Detroit”. To miasto w Michigan, kiedyś centrum produkcji aut, dziś jest jednym z najbiedniejszych w USA.

Jerry za te słowa się nie obraził. – To typowa retoryka Trumpa. On lubi wyolbrzymiać, ale zawsze trafia w punkt – przekonuje. Przyznaje jednak, że przy całej sympatii do Trumpa ma czasem dość jego kłamstw. – Podobnie – dodaje – jak i kłamstw Harris.

– Ta kampania jest coraz bardziej obrzydliwa – uważa Jerry. – Nie ma dnia, żebym jako mieszkaniec *swing state* nie znajdował w skrzynce pocztowej broszur obojga kandydatów. Do tego w telewizji wciąż lecą reklamy za grube miliony dolarów. Te pieniądze można byłoby przeznaczyć na pomoc potrzebującym Amerykanom. Już nie mogę doczekać się, gdy te wybory się skończą.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Pomoc na zimę dla Ukrainy

„Niech każdy liczy tylko na siebie”: taki komunikat wydała niedawno jedna z ukraińskich firm energetycznych. Zniszczenia w infrastrukturze na skutek nalotów są tak duże, że nie tylko ta jedna firma nie może gwarantować odbiorcom, że jesienią i zimą będą mieć prąd. Bliżej frontu, w obwodzie donieckim i części charkowskiego, już dziś energię zapewniają głównie mobilne kotłownie i agregaty.

Ala nie tylko w sferze energetyki może to być najcięższa wojenna zima dla Ukrainy.

Chcemy pomóc naszym ukraińskim przyjaciołom – ludziom, do których już jeździliśmy z pomocą podarowaną przez czytelniki i czytelników „Tygodnika” – i zebrać środki, za które będziemy mogli kupić **agregaty inwerterowe, stacje zasilania i materiały z zakresu medycyny ratunkowej** (np. **opaski hamujące krwawienie**). Chcemy je zawieźć, tak jak wcześniej, przede wszystkim na wschodnią Ukrainę.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotówkach:

20 10902 5900 0000 001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka,

<https://inicjatywasasiedzka.org>

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka



Pracownicy Syryjskiego Czerwonego Półksiężyca, arabskiej organizacji humanitarnej, pomagają Syryjczykom przenieść bagaże przez dziurę powstałą po wybuchu izraelskiej rakiety w pobliżu syryjsko-libańskiego przejścia granicznego. Październik 2024 r.

Café Dziura

TEKST I ZDJĘCIA **AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA**
Z POGRANICZA SYRYJSKO-LIBAŃSKIEGO

Jedni są z niej zadowoleni. Innym wielka dziura, właściwie krater wybity izraelską rakietą, psuje biznes. Opowieść o ludziach, którzy żyją z granicy między Syrią a Libanem.

NA POCZĄTKU PAŹDZIERNIKA W LIBAŃSKIEJ dolinie Bekaa, na drodze wiodącej do Syrii, pojawiła się wielka dziura. Krater po izraelskiej rakiecie, zaledwie 700 metrów od przejścia granicznego Masnaa.

Izrael poinformował, że droga ta miała być używana do transportu broni od sojuszników reżimów w Syrii i Iranie przez Hezbollah – szyicką partię i organizację militarną, której zniszczenie jest celem izraelskiej inwazji na Liban.

W ostrzale drogi nikt nie zginął. Ale jej podział na dwie części zmienił życie lokalnej społeczności i setek ludzi, którzy od początku inwazji codziennie przekraczają granicę.

Biznes Azry

Zmęczona upałem, Azraa al Ali stoi przy dziurze od strony Syrii, a nad głową ma parasol. Ma ją chronić od słońca, które przy dziurze jest wyjątkowo nieznosne. Zwłaszcza że Azraa stoi tu cały dzień.

Azraa dumnie prezentuje zawartość swojego straganu. Są tu ciastka i ciasteczka, batoniki i wafelki, chipsy i guma do żucia. Są napoje gazowane i woda, które jeszcze nie zdążyły się nagrzać od słońca. Jest też kawa: czarna i mocna, taka, która daje siłę, by przenosić przez dziurę walizki, pakunki, a czasem nawet ludzi: dzieci i starszaków. Kawę dostarcza mąż Azry, Mohammed, profesjonalny zaparacz kawy w ich wiosce położonej nie daleko drogi.

Biznes Azry powstał z potrzeby chwili. Gdy dziury jeszcze nie było, ludzie przekraczali granicę samochodami, a zakupy robili na pobliskiej stacji benzynowej i w sklepach. Dziś ci, którzy idą z Syrii, zanim przejdą przez dziurę i złapią dalszy transport, zaopatrują się u Azry.

Podobnie ci, którzy podróżują do Syrii: kupują u niej coś do jedzenia z nudów albo z głodu, gdy czekają na dalszy transport. Czasem to taksówka, czasem ktoś bliski, a najczęściej autokar Syryj-

skiego Czerwonego Półksiężyca – arabskiej organizacji humanitarnej, która od początku wojny w Libanie oferuje Syryjczykom bezpłatny transport do ojczyzny. Tym samym, którzy parę lat temu uciekli przed wojną do sąsiedniego Libanu.

Ich troje

U Azry ceny są wyższe niż w sklepach bliżej miasteczka, ale tak być musi, bo inaczej by nie zarobiła. Ludzie płacą, bo nie mają wyjścia. Nie mają też do niej pretensji.

46-letnia Azraa nie planowała otwierać biznesu, zanim powstała dziura. Ale pięć dni temu jej 10-letni syn Maher pokazał jej, jak można zarobić. Zainwestował dwa dolary w ciastka i stanął przy dziurze. Sprzedał je błyskawicznie. Ojcu jednak nie podobało się, że małe dziecko spędza czas wśród przemytników, kierowców (być może od Hezbollahu) i innych podejrzanych osób. Pozwolił na to, by syn kontynuował biznes razem z matką. Potem dołączyła do nich córka Azry, a siostra Mahera. I tak we troje już piąty dzień handluje przy dziurze.

– Zaczynałam od dwóch kartonów ciastek i jednego stolika, a popatrz, co mamy teraz! – emocjonuje się kobieta i wskazuje na swój imponujących rozmiarów stragan. Wcześniej nie mogła znaleźć pracy ani w swoim zawodzie krawcowej, ani w żadnym innym. Wraz z mężem ledwo wiązali koniec z końcem. – Szkoła dzieci, ➔

→ książki, to wszystko sporo kosztuje. Ale odkąd tu stoję, już na wszystko zarobiłam – mówi.

Po czym pochyla się nad kartką i zapisuje coś starannie czarnym markerem. Pytam, co to oznacza. – Café Dziura – odpowiada. – Syn zażył sobie, byśmy tak ją nazwali.

Azraa pochodzi z Syrii, z Aleppo. Jej przyszły libański mąż wysłał swatów na chwilę przed tym, jak wiosną rozpoczęła się syryjska wojna. Przeszła przez granicę w 2010 r. w białej sukni i już została w Libanie.

Powrót do Syrii

Rok później setki tysięcy jej rodaków pokonały tę samą drogę, lecz nie z nadzieją na nowe piękne życie, tylko uciekając od okrucieństwa reżimu Baszara al-Asada i od wojny.

Tak jak Samah, kobieta po trzydziestce, która siedzi teraz pod ścianą obok dziury. Siedzi tak z czwórką dzieci, teściową i siostrami, chowając się przed słońcem.

Czekają na transport Czerwonego Półksiężycza z powrotem do Syrii. Choć w 2011 r., gdy uciekała z kraju, Samah myślała, że opuszcza go na zawsze. Pochodzi z regionu Dżazira, na północy, który dziś wchodzi w skład Rożawy, regionu autonomicznego Kurdów.

Samah mówi, że jej mąż był zaangażowany w syryjską rewolucję przeciw Asadowi, dlatego uciekli. Zamieszkali w Nabatiyeh, szyickim miasteczku na południu Libanu, przy granicy z Izraelem. Żyli spokojnie. Mąż pracował jako złota rączka i robotnik najemny, ona zajmowała się domem i dziećmi. Aż do teraz: gdy Izrael zaatakował Liban, koszmar wrócił.

Nabatiyeh to jedno z tych miasteczek, gdzie Hezbollah ma spore wpływy. Jako

takie było na liście Izraela do zniszczenia. Już w pierwszych dniach października Izrael zarządził jego ewakuację. Ale Samah i jej rodzina nie mieli dokąd pójść. W bezpieczniejszych częściach Libanu, gdzie szkoły przekształcono na obozy dla uchodźców, Syryjczycy nie byli mile widziani. Nie mieli też pieniędzy na wynajem.

Myśleli, że jakoś to będzie. Ale gdy izraelski pocisk zrownał z ziemią sąsiedni dom, postanowili uciekać. – Pięć godzin szliśmy z dziećmi na piechotę, zanim dotarliśmy do miejsca, które było bezpieczne – mówi Samah, a na jej twarzy widać przerażenie. – Potem rodzina podwiozła nas tutaj.

Jej mąż nie zdecydował się na powrót do Syrii. Wie, że reżim Asada wystawił za nim list gończy i przekroczenie granicy może oznaczać dla niego więzienie, nawet śmierć. Zaszył się w rejonie Bekaa, chce przeczekać wojnę. Jak to wszystko się skończy, znów będą razem.

Tysiące ludzi dziennie

Samah nie wraca do Rożawy, z jej domu nic nie zostało. Zamieszka z krewnymi w części Syrii kontrolowanej przez Asada. Boi się. Podróżuje z nią jej 28-letni brat. Pięć lat temu dostał odroczenie służby wojskowej, ale nie jest pewien, co będzie, jak przekroczy granicę. Ryzykuje, ale nie chce się tulać po Libanie, spać pod gołym niebem i czekać na śmierć z głodu albo od rakiet.

Samah i jej rodzina nie są sami. Od początku izraelskiej inwazji do Syrii wyjechało ok. 400 tys. osób – zarówno Syryjczyków, jak i libańskich szyitów, sympatyków Hezbollahu, którym reżim Asada zaoferował pomoc.

Po syryjskiej stronie dziury utworzyły się trzy różne sektory dla pojazdów. – Po lewej stoją samochody Hezbollahu. Oni biorą Libańczyków zazwyczaj za darmo i dowożą ich na miejsce. Pośrodku stoją taksówkarze, czasem rodziny, które przyjechały po krewnych. A po prawej co pół godziny podjeżdża Czerwony Półksiężyc po Syryjczyków – mówi Muhammad, lat 53.

Przed pojawieniem się dziury sprzedawał ubezpieczenia i pomagał przekraczać granicę wypełniać druczki. Zarabiał 150 dolarów miesięcznie. Ale odkąd pojawiła się dziura, jego biuro zamknięto. Postanowił działać na własną rękę.

Przed powstaniem dziury wielu Syryjczyków jeździło do Libanu po benzynę, tańszą niż w Syrii. Teraz od najbliższej libańskiej stacji benzynowej dzieli ich krater. Muhammad kupił więc kilka galonów benzyny i stanął przy dziurze. Sprzedał je prawie od razu. – W ciągu dwóch-trzech godzin mogę zarobić 40 dolarów i iść do domu – mówi z zadowoleniem i przyznaje, że lokalna społeczność wzbogaciła się dzięki dziurze.

Co prawda na początku października zarobek był lepszy, bo granicę przekraczały tysiące ludzi dziennie. Ale i teraz nie narzeka. Ludzi mniej, ale każdy potrzebuje benzyny.

Syryjskie ingerencje

Wymiana towarów i usług jest typowa dla każdego pogranicza. Ale dolina Bekaa i jej mieszkańcy dzielili ze swoimi syryjskimi braćmi dużo więcej. Na przykład reżim Asada. Syryjska okupacja Libanu zaczęła się w 1976 r. podczas libańskiej wojny domowej, a zakończyła dopiero w 2005 r. po zabójstwie premiera Rafica Hariri, prawdopodobnie na zlecenie Hezbollahu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK HISTORYCZNY

JAK OBALONO MUR

35 lat temu, 9 listopada 1989 r., w Berlinie upadł mur, który dzielił to miasto na część wschodnią i zachodnią i był symbolem podziału Niemiec oraz Europy trwającego od końca II wojny światowej. Jak do tego doszło – o tym opowiemy w reportażu historycznym. Głos zabiorą świadkowie, w tym opozycjoniści z ówczesnej NRD (dla niektórych wzorem była wtedy Polska i nasza droga do wolności).

Także 35 lat temu doszło do, dziś czasem niedocenianego, przełomu w relacjach polsko-niemieckich. Podczas wizyty w Polsce kanclerz Kohl obiecał premierowi Mazowieckiemu, że poprze polskie aspiracje do zachodnich struktur. Słowa dotrzymał.

PARTNER WYDANIA

**KONRAD
ADENAUER
STIFTUNG**

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 6 LISTOPADA



Kobieta sprzedająca kawę przy dziurze powstałej po uderzeniu izraelskiej rakiety, październik 2024 r.

W dolinie Bekaa Syria została jednak pół roku dłużej. A okupacja oraz syryjska ingerencja w politykę Libanu na długo odcisnęła piętno i tutaj, i na całym kraju.

– W 2005 r., gdy chcieliśmy pojechać do Bejrutu na protest przeciw obecności syryjskiej armii w naszej okolicy, musieliśmy przejść syryjski *checkpoint*. Nie mogliśmy tak po prostu wywieszać libańskiej flagi, bo było to odbierane jako wystąpienie przeciw okupantowi – mówi Khaled, 39-letni architekt i aktywista. Od wielu lat pomaga syryjskim uchodźcom w dolinie Bekaa.

– Gdy w 2011 r. zaczęła się rewolucja w Syrii – kontynuuje Khaled – mówiliśmy naszym znajomym Syryjczykom, że znamy ich reżim lepiej niż oni, bo to nas przez lata torturował i zabijał ich dyktator. Ale większość nam nie wierzyła i liczyła, że rewolucja coś zmieni. Pomagaliśmy, bo walczyli w końcu z naszym wrogiem. Pomagaliśmy nawet wtedy, gdy Hezbollah – na zlecenie Asada – zaczął zabijać ich w Syrii.

Khaled mocno zaangażował się w pomoc humanitarną uciekinierom. Jego mała ojczyzna, dolina Bekaa, była do tego odpowiednim miejscem. Jest zamieszkała przez sunnitów, katolików, maronitów i druzów – niewiele tu rejonów szyickich, kontrolowanych przez Hezbollah.

Dlatego – z paroma wyjątkami – izraelskie rakiety omijają dziś pogranicze libańsko-syryjskie. I dlatego to właśnie tu osiadła większość syryjskich uchodźców uciekających przed reżimem Asada, który jest sojusznikiem Hezbollahu.

Ci uchodźcy w większości nie wracają dziś do Syrii. Wracają za to ci, którzy osiedlili się w miastach lub na szyickich terenach.

Przemytnik z jaguarem

Ale są też wyjątki. I te wyjątki potrzebują specjalnych, skrojonych na miarę usług. A w tych specjalizuje się człowiek, który mówi, aby nazywać go „Haj Hussein”.

To kolega Khaleda z podwórka. Podaje pseudonim, bo to, czym się zajmuje, jest nielegalne i parę razy zawiodło go do więzienia. Khaled wspomina, że gdy on uczył się (bo marzył o wykształceniu i pracy na rzecz swojej społeczności), to „Haj Hussein” marzył o wielkich pieniądzach. Od małego miał żyłkę do interesów.

Już w 2003 r., w wieku 18 lat, wszedł w branżę, w której pracuje do dziś. Wtedy to po raz pierwszy został poproszony, by za pieniądze przeprowadzić grupę ludzi przez góry z Libanu do Syrii, a potem wrócić z inną grupą. W tamtym czasie trwała syryjska okupacja, granice były łatwiejsze do pokonania. A większość klientów stanowili obcokrajowcy: Sudańczycy, Irakijczycy czy Egipcjanie, którzy do Syrii wjeżdżali bez wizy, ale by dotrzeć do Libanu i jechać dalej w świat, potrzebowali pomocy.

Po paru latach „Haj Hussein” zarządzał już swoją grupą przemytników.

Teraz nie chciał się spotkać przy dziurze. Dla niego to ryzyko, nie chce się afiszować, bo ma zatargi z policją. Spotykamy się w eleganckiej restauracji w ormiańskim rejonie doliny. „Haj Hussein” jest wysoki, o twarzy niesfornego chłopca. Na szyi i nadgarstku nosi potężne srebrne łańcuchy, a palce pokrywają spore sygnety. Jego jaguar zaparkowany przed restauracją też jest srebrny.

Khaled śmieje się, że „Haj Hussein” ma tak wielkie ręce, że gdy się wita, ściska dłoń wraz z całym nadgarstkiem.

„Ogromna wdzięczność”

Przemytnik twierdzi, że od początku izraelskiej inwazji jego ludzie przeprowadzili przez zieloną granicę do Syrii ok. 7 tys. osób. Najwięcej, po tysiąc dziennie, w pierwszych paru dniach wojny. Teraz, jak twierdzi, około 50 osób dziennie.

Część to ludzie, którzy do Libanu wjechali nielegalnie, potrzebują więc pomocy jedynie przy przekroczeniu pierwszego libańskiego *checkpointu*. Za tę usługę „Haj Hussein” bierze skromne 20 dolarów. Twierdzi, że dlatego tak tanio, bo chce pomóc. Odstawia ich przy dziurze, gdzie mogą złapać autobus Czerwonego Półksiężyca i dalej radzą sobie sami.

Jeśli ktoś chce przedostać się przez obie granice, jest to możliwe za dodatkową opłatą. Te osoby często pobierają zasiłki dla uchodźców od ONZ i nie chcą ich stracić. A to niechybnie by się wydarzyło, gdyby wrócili do Syrii.

Ale są też ci, których poszukuje syryjski reżim. Ludzie, którzy tak jak mąż Samah brali udział w rewolucji. Oni też wracają dziś do Syrii. „Haj Hussein” i jego przemytnicy są w stanie dowieźć ich pod osłoną nocy pod wskazany adres. Inną drogą niż ta z dziurą. Ale to wymaga większych nakładów finansowych. Tych, którzy w desperacji ryzykują życie, by uciec z Libanu, jest dziś sporo.

„Haj Hussein” wierzy, że pomaga swoim klientom. A czasem nawet ratuje życie. – Pracuję dla ludzi, a ludzie mi za to dziękują. Zawsze okazują mi ogromną wdzięczność – mówi.

■■■

Inaczej niż Azraa, „Haj Hussein” nie jest zadowolony z dziury. Część dochodów odebrał mu transport Czerwonego Półksiężyca. Pojawiła się też drobna konkurencja. Nie jest jej wiele, ale ceny za pomoc w przekraczaniu *checkpointów* trochę spadły.

– Przed inwazją Izraela granice były bardziej kontrolowane i do szmuglowania ludzi do Syrii potrzeba było specjalistów. Teraz służby trochę odpuściły – mówi.

Dodaje, że część z tych, którzy wyjechali do Syrii w pierwszych dniach inwazji, zdążyła już wrócić. – Tych powracających służby pilnują jednak dużo, dużo bardziej.

A życie wewnętrzne pogranicza dostosowuje się do sytuacji. Jak zawsze.

© AGNIESZKA PIKULICKA

Obywatel Wielkiego Księstwa

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Marzyciel i państwowiec. Twórca Ośrodka Studiów Wschodnich. Dobry i serdeczny człowiek. Przyjaciel.

ZMARŁ DWIE DEKADY TEMU, W CHWILI śmierci miał 52 lata. Śmierć przyszła niespodziewanie, gdy Marek Karp dochodził w szpitalu do siebie po strasliwym wypadku – miesiąc wcześniej ciężarówka uderzyła w tył jego samochodu, wypychając go pod inną ciężarówkę jadącą z przeciwną. Do dziś mówi się o zamachu, choć niczego nie udowodniono, tyle że winny wypadku Białorusin wyjechał wkrótce za granicę i nigdy się już nie odnalazł.

Czy białoruskie bądź rosyjskie służby miały powód, by chcieć zabić Marka Karpię? To właśnie on wymyślił i stwo-

rzył istniejący do dziś Ośrodek Studiów Wschodnich, najpoważniejszą tego typu instytucję w naszej części Europy. Jak wielkie ma znaczenie – zwłaszcza dzisiaj – nie trzeba chyba przekonywać. Marek, historyk, wspaniały erudyta, nie napisał nigdy planowanego doktoratu o wileńskich „krajowcach”, nie wydał też żadnej książki. OSW pozostał głównym jego dziełem. Jego dzieckiem.

OBRAZ W PAMIĘCI | „Zmierzyć arsyzynem” Andrzeja Brzezińskiego to potężny tom poświęcony dziejom Ośrodka – powołał go do życia w grudniu 1990 r. premier Tadeusz Mazowiecki – i biografii jego założyciela. Wciągająca opowieść o jednym z rozdziałów epoki burzy i naporu III Rzeczypospolitej, o budowaniu od podstaw nowoczesnej placówki analitycznej, przez którą przewinęły się dziesiątki badawczych indywidualności, i która ukształtowała takich polityków jak Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz czy Jacek Cichocki (w 2003 r. następca Karpię). Opowieść o walce o niezależność od zmieniających się układów politycznych lat 90. XX w. Oraz o Marku Karpiu, dziwnym pasjonacie, prawdziwym państwowcu, którego ideą stworzenia takiej instytucji zaraził poznany w Londynie jeszcze za czasów Peerelu Stanisław Swianiewicz – autor słynnej książki „W cieniu Katynia”, a w latach 30. XX w. współtwórca polskiej sowietologii i wileńskiego Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej.

Opowieść wciąga, a ja mam z nią kłopot – bo muszę w sobie godzić ten książkowy wizerunek, niemal pomnik (za-

sługi Marka Karpię są ogromne i niepodważalne, niezależnie od zarzutów, jakie wobec niego wysuwano w ostatnim roku jego życia) z obrazem, jaki noszę w swojej pamięci – ciepłego, serdecznego towarzysza podróży po Polsce, niezrównanego gawędziarza i przewodnika. Zdawałoby się fantasty, któremu jednak najdziwniejsze wizje udawało się realizować. Jednego z ostatnich obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a ściślej – Wielkiego Księstwa Litewskiego.

PRZYGODA PRZYJAŹNI | Moją znajomość z Markiem poprzedziła anegdota. Grudzień 1981 r., dzień po wprowadzeniu stanu wojennego, w drzwiach mieszkania wspólnego znajomego, którego właśnie internowano, pojawia się Marek... z wielkim pętem wiejskiej kielbasy. On po prostu czuł, że musi jakoś zareagować – a tak praktyczna i konkretna reakcja była wtedy, w czasie kartek i niedoboru wszystkiego, całkiem sensowna. To dzięki Dankowi Kalbarczykowi, bohaterowi tej historyjki, związanemu wtedy z podziemną „ResPubliką”, poznałem kilka lat później Marka. I zaczęła się przygoda przyjaźni, przygoda wspólnego poznawania Polski.

Podczas studiów historii sztuki obwozono nas po Małopolsce, Dolnym Śląsku, Wielkopolsce i Lubelszczyźnie, znałem też Pomorze Gdańskie – ale Mazowsze i Podlasie to już Marek. Zamek w Liwie, Krasne z grobami Krasieńskich, zrujnowany wtedy pałac nad Narwią, znany z listów Norwida słanych do „pani na Karczewie”. Drohiczyń – barok na wysokim brzegu Bugu. Cerkiew i kościół w Kodniu. Pratulin, gdzie żołnierze rosyjscy za-

Z czasem także Azja Centralna stała się ulubionym celem wypraw Marka Karpię.





Marek Karp i Zbigniew Brzeziński w Ośrodku, 2001 r.



Andrzej Brzeziecki
ZMIERZYĆ ARSZYNEM.
MARK KARP I OŚRODEK
STUDIÓW WSCHODNICH
Wyd. OSW
i Znak-Horyzont,
Kraków-Warszawa 2024

bili unitów niechających przejść na prawosławie.

Dalej: Kostomłoty – jedyna parafia neounicka, odtworzona w międzywojniu na terenie dawnego zaboru rosyjskiego, rządzona podczas naszej wizyty przez mariannę Romana Piętkę. Barokowy klasztor i kościół pielgrzymkowy w Leśnej Podlaskiej, po powstaniu styczniowym zabrany paulinom, przebudowany i oddany prawosławnym mniszkom, a w II RP odebrany z kolei mniszkom – zrzucano wtedy dodane podczas przebudowy cebulaste kopuły. I jeszcze runda wokół Puszczy Kampinoskiej szlakiem dworów, na ogół zrujnowanych – na jednym zawalił się właśnie dach i jego dachy były wyraźnie policzone.

PRZESZŁOŚĆ OŻYWIONA | Były też dwie wycieczki na południe, przeze mnie przygotowane – musiałem nieźle przysiąc fałdów, by się przed Markiem nie skompromitować. Jedną prowadziła od Przemysła, przez Posadę Rybotycką (cerkiew murowana) i kolejne cerkwie drewniane po Duklę ze wspaniałym rokokowym grobowcem Amalii Mniszchówny. Druga – klasyka – obejmowała drewniane kościoły w Łopusznej, Harklowej, Dębnie i Grywałdzie, Frydman na Spiszu oraz Stary Sącz z klasztorem klarysek.

W Starym Sączu bardzo już byliśmy głodni, ale restaurację przy rynku wypełniali piwosze, żadnego wolnego stolika. Marek natychmiast odnalazł kierownika sali i po krótkiej wymianie zdań, a zapewne i banknotów, siedzieliśmy już w ustronnym, oddzielnym od piwoszów saloniku. Przeniesieni w inny świat i inny czas. Marek co chwila udawał, że takie przenosiny są możliwe, a swoimi opowieściami ożywiał przeszłość, rozdzielał

kolejne warstwy historycznego palimpsestu.

TAMTA WSPÓLNOTA | Bo też sam czułem się spadkobiercą szlacheckiej tradycji Wielkiego Księstwa, co mogło wydawać się snobizmem, ale nim nie było – to tkwiło gdzieś głębiej. „No, Giedroyciowie znaczyli na Litwie, ale przy Karpiach...” – miał powiedzieć Redaktor „Kultury”, gdy mu Marek przedstawił. Rodzina była rzeczywiście wpływowa i rozgałęziona, a nazwisko robiło na Litwie wrażenie.

Przy czym Marek czuł się częścią tamtej dawnej, wielonarodowej i wielojęzycznej wspólnoty. Drukowaliśmy w miesięczniku „Znak”, gdzie wtedy pracowałem, jego rozmowę z historykiem Białorusi Jerzym Turomkiem – o trzech braciach Iwanowskich, z których Jerzy został politykiem polskim, Tadeusz/Tadas litewskim, a Wacław białoruskim. Marek miał świetną bibliotekę wydawnictw emigracyjnych, cenił takich autorów jak Michał Kryspin Pawlikowski czy ks. Walerian Meysztowicz. Zbierał zwłaszcza pamiętniki.

Jako szef OSW wspierał Litwę niepodległą, a przy tym zawsze fascynowali go litewscy Polacy, którzy po 1920 r. opowiedzieli się po stronie nowego państwa. Jak prawnik Michał Römer, legionista i pilsudczyk, więzień Szczypiorna, a potem profesor i rektor Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie. Z właściwą sobie pasją – choć i nieco flegmatycznie, ale to się u Marka jakoś łączyło – opowiadał o wielotomowych dziennikach Römera, których wybór ukazał się nakładem „Karty” dopiero niedawno. Z Miłoszem, którego wozili po Litwie, doskonale się rozumieli. Odejście Miłosza w sierpniu

2004 r. zbiegło się zresztą w czasie z wypadkiem Marka. A kiedy już po śmierci Marka rozmawiałem z synem poety, Antonim, był przekonany, że ten wypadek nie był przypadkowy...

DWÓR ODTWORZONY | Tradycje szlacheckie? Dwór na terenie dawnego Wielkiego Księstwa? Jakaś dziwna utopia? Nie, dla Marka nie było rzeczy niemożliwych. I on, i jego żona Ania mieli oszczędności dzięki wyjazdom do Anglii. Kupienie od państwa resztówki w Ludwinowie (ta ziemia należała kiedyś do Wielkiego Księstwa właśnie) stanowiło jednak dopiero początek drogi. Pomijając już fakt, że w parku wycięto wcześniej większość cennych drzew – dworu po prostu... nie było. Zbudowany z nietrwałych materiałów i pozbawiony dachu, rozsypał się. Marek odbudował go, trzymając się ściśle zachowanych planów, ale już w cegle. A potem urządził, pilnując każdego szczegółu. Brzeziecki pisze o starych piecach kaflowych sprowadzanych z Belgii; jakiś piec przyjechał chyba także z Krakowa, zdobyty dzięki Ucie Kalinowskiej, właścicielce sklepu z antykami przy Gołębiej.

Marek przyjaźnił się z Romanem Aftanazym (1914-2004) – historykiem z wrocławskiego Ossolineum, który przez wiele lat gromadził archiwalia dotyczące rezydencji i dworów w granicach I Rzeczypospolitej. Pierwsze wydanie jego monumentalnej monografii ukazało się w ograniczonym nakładzie w latach 80.; drugie, jako „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej”, kilka lat później. I w ostatnim tomie drugiego wydania Aftanazy umieścił także Ludwinów, ze zdjęciami odbudowanego dworu i jego wnętrza zaaranżowanych przez Marka. Nie muszę dodawać, jak bardzo Marek był dumny. Nie wiedział, że przeżyje sędziwego autora zaledwie o trzy miesiące.

■ ■ ■
Połączenie funkcji szefa warszawskiego Ośrodka i dziedzica oddalonego o 200 kilometrów majątku (z założoną tymczasem fermą mleczną!) nie było na dłuższą metę możliwe. Realizacja marzenia miała słoną cenę, ostatni rok życia Marka Karpia był dramatyczny. Nie zasłużył sobie na to.

No i nigdy nie pojedziemy już do Wilna – a obiecywałeś! ©

ILE WYTRZYMA CZŁOWIEK

Nowe badania sugerują, że jesteśmy bardziej podatni na przegrzanie się, niż dotąd myśleliśmy. W dobie zmian klimatycznych szybciej zaczniesz ubywać miejsc bezpiecznych do życia.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Z GODNIE Z TYM WSZYSTKIM, CO WIEMY, pan Jones nie powinien tu dziś z nami siedzieć”. Tak dr Corey Slovis, szef SOR-u Grady Memorial Hospital w Atlancie podsumował przypadek pacjenta, który trafił na jego oddział trzy tygodnie wcześniej. Był środek lata roku 1980, a 52-letni Willie Jones ucierpiał, podobnie jak tysiące innych mieszkańców z południa USA, podczas wyjątkowej fali upałów.

10 lipca owego roku temperatura w Atlancie przekroczyła 32 stopnie Celsjusza, a wilgotność powietrza dobiła do 44 proc. Nie jest do końca jasne, co Jones robił poza domem – lekarze podejrzewali, że rolę odegrał alkohol – ale pewne jest, że gdy sąsiedzi znaleźli go nieprzytomnego, w zasadzie powinno było być po wszystkim. „Nie da się być bliżej śmierci. Jego krew była bardzo gorąca” – podkreślał Slovis. Pomiary wykazały, że temperatura ciała mężczyzny wynosiła 46,5 stopni Celsjusza. Prawie na pewno wcześniej była jeszcze wyższa, bo udało się ją precyzyjnie zmierzyć dopiero po 25 minutach akcji ratowniczej i intensywnego schładzania.

Sam Jones, obecny podczas konferencji prasowej, miał według dziennikarza agencji UPI wyglądać na „zdezorientowanego”. Zapewne zdezorientowani byli także lekarze, bo mężczyzna wyszedł ze szpitala po 24 dniach terapii bez jakichkolwiek oznak trwałego uszczerbku na zdrowiu. Do dziś jest rekordzistą, jeśli idzie o najwyższą zarejestrowaną temperaturę ludzkiego ciała, która nie skończyła się zgonem.

Populacja przegrzanych

Ludzie, tak jak wszystkie stałocieplne zwierzęta, żyją dzięki temu, że ich organizmy są w stanie utrzymywać optymalną temperaturę, nawet jeśli warunki na zewnątrz są nieoptymalne. Psy dyszą. Słonie odprowadzają ciepło dzięki ogromnym uszom. My pocimy się, gdy nam gorąco, a gdy jest za zimno, drżymy, co pozwala mięśniom wyprodukować trochę więcej ciepła.

Ten system, oczywiście w połączeniu z przystosowaniami behawioralnymi (jak chowanie się w cieniu) i technologicznymi (jak ubrania, nie mówiąc już o grzejnikach i klimatyzacji), pozwolił nam podbić oszałamiającą rozpiętość środowisk – od afrykańskiej sawanny, z której się wywodzimy, po mroźną Arktykę, w której inne afrykańskie zwierzęta padłyby w ciągu kilku godzin. Ale ta aparatura nie jest niezawodna. A nasze własne działania sprawiają, że wkrótce przyjdzie nam przetestować jej działanie w ekstremalnych warunkach, do których nie jest dostosowana.

Według jednej z dostępnych prognoz, do 2030 r. aż 4 miliardy ludzi – niemal połowa populacji planety – będzie co najmniej przez miesiąc w każdym roku doświadczać temperatur zagrażających życiu. W 2050 r. będzie ich już ponad 5 miliardów. Jednocześnie 0,5 miliarda ludzi w 2030 r. i 1,3 mld dwadzieścia lat później będzie narażonych na niebezpieczne temperatury nawet we wnętrzach budynków. A jako że ponad 80 proc. zagrożonych mieszka w krajach ubogich, klimatyzacja, choć konieczna dla przeżycia, może dla wielu z nich

okazać się nieosiągalna. To i tak niemal na pewno optymistyczne szacunki. Nowe badania pokazują, że progi naszej tolerancji mogą być niższe.

Upały, udary i wstrząsy

Upały zabijają na kilka sposobów. Pierwszym z nich jest udar cieplny. Gdy temperatura ciała przekracza krytyczny poziom, mózg przekierowuje krew do skóry, by przyspieszyć schładzanie. Ale to oznacza, że krew i tlen nie docierają w dostatecznej ilości do organów takich

jak żołądek i jelita. Co z kolei sprawia, że toksyny znajdujące się w układzie trawiennym mogą zacząć przenikać do krwioobiegu. „To uruchamia kaskadę efektów – mówił agencji AP fizjolog Ollie Jay z Uniwersytetu Sydney – takich jak powstawanie skrzepów, zaburzenia działania kolejnych organów i, w ekstremalnych przypadkach, śmierć”.

Drugim problemem jest odwodnienie. Pocenie się sprawia, że organizm traci płyny, co może doprowadzić do poważnego obciążenia nerek. Przy poważnym odwodnieniu dochodzi do zaburzeń funkcjonowania układu krążenia i występuje wstrząs, w którym organy zaczynają się wyłączać jeden po drugim z braku krwi i tlenu. To może prowadzić do drgawek i śmierci. „Odwodnienie może być niebezpieczne czy nawet zabójcze dla każdego, ale jest szczególnie groźne dla

osób cierpiących na niektóre schorzenia czy przyjmujących pewne leki” – mówił agencji AP prof. Renee Salas z Uniwersytetu Harvarda.

Do niewydolności układu krążenia przy wysokich temperaturach może dojść także bez odwodnienia. Gdy nagrzana krew napływa do skóry, spada jej ciśnienie w całym organizmie. W odpowiedzi serce zaczyna bić szybciej, by dostarczyć odpowiednią ilość tlenu do mózgu. „Serce musi pracować o wiele mocniej niż zazwyczaj – mówi prof. Jay. – Prędzej czy później coś musi zawieść”.

Upał wpływa także na funkcjonowanie mózgu. Może powodować dezorientację czy ograniczać zdolność do jasnego myślenia. „Dezorientacja jest jednym z pierwszych znaków, że jesteśmy w tarapatkach” – stwierdza prof. Kristie Ebi, epidemiolożka z Centrum Zdrowia i Globalnego Środowiska na Uniwersytecie Stanu Waszyngton.

→

*Kurtyna wodna na krakowskim Rynku
Głównym podczas upałów,
sierpień 2017 r.*



Krytycznie narażeni

→ Opublikowane w „Nature Medicine” badania naukowców z Barcelońskiego Instytutu Globalnego Zdrowia (ISGLO-BAL) wskazują, że w ubiegłym roku w 35 krajach Europy upały zabiły około 48 tys. ludzi. A Europa wcale nie była najbardziej dotkniętym gorącem kontynentem. Tylko w ciągu pierwszych 5 miesięcy bieżącego roku ponad półtora miliarda ludzi przez co najmniej jeden dzień funkcjonowało w temperaturach przekraczających 39,4 stopni Celsjusza. W Lagos w Nigerii takich dni było aż 87, czyli 13 razy więcej niż wynosi dla tego miasta długookresowa średnia od roku 1979. W Bangkoku niebezpieczny upał panował przez 76 dni – dwukrotnie dłużej niż zwykle.

Skutki były dramatyczne. Szpital Gabriel-Touré w Bamako, stolicy Mali, odnotował 102 zgony wywołane upałami w ciągu zaledwie pierwszych czterech dni kwietnia.

Niewielką pociechą jest to, że długość fali upałów nie przekłada się wprost na liczbę zgonów. Ludzie zaczynają umierać zazwyczaj po około 24 godzinach od wystąpienia niebezpiecznego gorąca, gdy wysokie, nocne temperatury uniemożliwiają im schłodzenie się nawet po zmroku. Po kilku dniach liczba ofiar zaczyna spadać, bo osoby o najsłabszym zdrowiu umierają jako pierwsze. „Zdrowy, dorosły człowiek może wytrzymać dłużej. To nie jest przyjemne, ale ludzie radzą sobie w takich warunkach od tysiącleci” – mówiła „Washington Post” Kristie Ebi. „Musimy jednak pomyśleć o osobach bardziej narażonych. Wraz ze starzeniem się populacji i zwiększaniem ilości przyjmowanych przez ludzi leków, pula osób, które mogą ucierpieć, staje się o wiele większa”.

Kiedy nie można się spocić

Problemem nie jest sama temperatura. Każdy zapewne przekonał się na własnej skórze, że upały są o wiele łatwiejsze do zniesienia, jeśli powietrze jest suche. Groźna jest kombinacja wysokiej temperatury i wysokiej wilgotności – bo blokuje działanie naszej wewnętrznej klimatyzacji. Przy dużej wilgotności powietrza

W gorącym dniu łatwo się przegrzać przy dużej wilgotności powietrza.

Wówczas pot nie odprowadza efektywnie ciepła z ciała do otoczenia.

pot nie odprowadza efektywnie ciepła z ciała do otoczenia, przez co obiektywnie niższe temperatury (przy wysokiej wilgotności) niosą ze sobą większe niebezpieczeństwo.

Tę zależność demonstruje tzw. temperatura mokrego termometru. Mierzy się ją, owijając końcówkę termometru zwilżoną szmatką. Gdy powietrze jest suche, woda ze szmatki paruje szybciej, a temperatura wskazywana przez termometr jest niższa – podobnie schładza się nasze ciało. Gdy powietrze jest bardzo wilgotne, woda paruje wolniej, słabiej schładzając termometr, więc ostateczny odczyt jest zdecydowanie wyższy.

I tak, przy zerowej wilgotności (która w rzeczywistości nie występuje praktycznie nigdy; wilgotność zbliża się do zera tylko w najsuchszych punktach globu, jak Pustynia Atacama) i temperaturze powietrza 30 stopni Celsjusza, zwilżony termometr wskaże temperaturę 15-18 stopni. Przy 50-procentowej wilgotności zazwyczaj będzie to już ok. 24 stopni. Przy 100-procentowej wilgotności, czyli gdy otaczające powietrze nie jest w stanie wchłonąć ani odrobiny więcej pary wodnej, temperatura wskazywana przez zwilżony termometr będzie równa temperaturze na termometrze suchym. W takich warunkach nasze ciało nie zdołałoby się schłodzić poprzez wydzielanie potu.

Ta wartość jest kluczowa dla zrozumienia, kiedy temperatura zaczyna zabijać. Większość modeli, w tym te stosowane przez Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu, przygotowujący wpływowe raporty i rekomendacje, przy wyznaczaniu granicy bezpiecznej tempe-

ratury posługuje się wynikami badań z 2010 r., wedle których strefa śmierci zaczyna się przy temperaturze mokrego termometru wynoszącej 35 stopni Celsjusza. W takich warunkach młody, zdrowy człowiek umarłby z przegrzania po około 6 godzinach pozostawania w bezruchu. Obecnie maksymalna temperatura mokrego termometru w większości zamieszkałych obszarów Ziemi rzadko przekracza 26-27 stopni Celsjusza. Pozostawałby więc jeszcze pewien margines bezpieczeństwa. Tyle że nowe eksperymenty podają tę najczęstszą przyjmowaną granicę w wątpliwość. Prawdziwa strefa śmierci może zacząć się zdecydowanie wcześniej.

Obniżone progi

Problem polega na tym, że australijsko-amerykańskie badanie z 2010 r. zakładało, iż poddany działaniu wysokiej temperatury człowiek nie poci się, nie porusza i znajduje w cieniu. Poza tym zastosowane modelowanie oparte było na fizjologii młodego, zdrowego człowieka. To zresztą problem z wieloma podobnymi badaniami, bo najłatwiej osiągalnymi królikami doświadczalnymi są najczęściej studenci.

Badanie z 2021 r., przeprowadzone przez naukowców z Uniwersytetu Stanu Pensylwania pod kierunkiem prof. Larry’ego Kenneya, przetestowało ten model w warunkach bardziej zbliżonych do rzeczywistości. 24 badanych wykonywało działania wymagające niskiej aktywności fizycznej, symulując codzienne zajęcia przy różnych kombinacjach temperatur i wilgotności. Uczestnicy byli umieszczani w kontrolowanych warunkach środowiskowych i poddawani wzrastającym poziomom temperatury i pary wodnej.

Wyniki pokazały, że krytyczne temperatury mokrego termometru w warunkach ciepłych i wilgotnych wynosiły od 30 do 31 stopni Celsjusza. Czyli zdecydowanie niżej, niż przyjmowany dotąd teoretyczny próg.

Australijski zespół kierowany przez fizjologa Ollie Jaya chce określić próg przeżywalności jeszcze precyzyjniej. W tym celu Uniwersytet Sydney stworzył kosztem półtora miliona dolarów komorę pozwalającą precyzyjnie badać reakcje organizmu na ekstremalne warunki. Komora pozwala wystawić badanych na temperatury od 5 do 55 stopni

Celsjusza i płynnie regulować panującą wewnątrz wilgotność. Badani mogą pracować, jeść, ćwiczyć i spać, a badacze – analizować to, jak różne rodzaje aktywności wpływają na ich stan fizyczny i psychiczny. Ich tętno, tempo oddychania, temperatura ciała i intensywność pocenia są mierzone na bieżąco.

„Symulując różne warunki i wystawiając na nie pod nadzorem medycznym ludzi, możemy lepiej zrozumieć fizjologiczne reakcje człowieka na wysokie temperatury” – mówił Jay magazynowi „Nature”. Jego zespół testuje właśnie model, który wykorzystuje dane z badań mierzących zdolność do pocenia się ludzi, korzysta też z modelowania fizycznego, by przewidzieć to, jak ciepło jest odprowadzane z organizmu do środowiska. Model Jaya różnicuje granicę możliwości ludzkiego organizmu w zależności od wieku, wystawienia organizmu na światło i podejmowanego wysiłku.

Australijczycy oszacowali, że limit przetrwania leży, zależnie od stopnia aktywności, gdzieś między 26 a 34 stopni temperatury mokrego termometru dla młodych ludzi i pomiędzy 21 a 34 stopni dla starszych. A to wartości notowane obecnie w wielu miejscach na świecie.

Życie bez klimatyzacji

Według danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej, zużycie energii na klimatyzację budynków ma potroić się na całym świecie do 2050 r. W wielu miejscach, takich jak Indie czy Bangladesz, bez sztucznego chłodzenia nie będzie dało się normalnie funkcjonować.

Tyle że już dziś systemy chłodzenia odpowiadają za 7 proc. światowego zużycia prądu i 3 proc. emisji. Do tego klimatyzacja niewiele daje ludziom, których praca wymaga stałego przebywania na zewnątrz.

Już dziś na polach trzciny cukrowej Salvadora nawet jedna piąta robotników cierpi na chroniczne choroby nerek wynikające z odwodnienia. Wkrótce w wielu rozwijających się krajach uprawa roślin może stać się zajęciem wysokiego ryzyka. Co może sprawić, że w wielu tych miejscach głód stanie się zjawiskiem jeszcze powszechniejszym niż dzisiaj.

Istnieją sposoby schładzania się bez zużywania ogromnych ilości prądu i, co szczególnie ważne w krajach rozwijających się, niewymagające inwestowania w drogie urządzenia. Zespół z Uniwersytetu Sydney przetestował m.in. to, czy proste rozwiązania, takie jak wentylatory czy stałe nawilżanie skóry, mogą przynieść ulgę np. pracownikom wielkich szwalni w Bangladeszu.

Badania wykazały, że w wilgotnym powietrzu wykorzystanie wentylatorów ograniczało tempo nagrzewania się organizmu, dopóki temperatura powietrza wynosiła mniej niż 38 stopni Celsjusza. Ale w suchym powietrzu wentylatory zwiększały obciążenie, jakiemu poddane były organizmy badanych. Nawilżanie skóry przynosiło korzyści w każdych warunkach. Przykrywanie dziecięcych wózków zwilżoną, muslinową tkaniną zmniejsza temperaturę w ich wnętrzu o około 5 stopni. Ale sucha tkanina pod-

wyższa temperaturę, na jaką wystawione jest dziecko, o 2,5 stopnia.

Będzie gorąco

Według danych ONZ, od lat 80. XX wieku liczba miejsc na świecie, które doświadczają groźnych dla zdrowia temperatur, wzrosła 50-krotnie. A jesteśmy zaledwie na początku tej drogi.

W najbardziej optymistycznym scenariuszu przyjmowanym przez IPCC globalne temperatury przekroczą w tym stuleciu poziom sprzed epoki przemysłowej o 1,5 stopnia, by z końcem stulecia nieco spaść.

To wymagałoby jednak tego, by cała globalna gospodarka do 2050 r. osiągnęła zerowy poziom emisji gazów cieplarnianych netto. To już raczej nierealne. W najczarniejszych prognozach, zakładających, że obecne emisje gazów cieplarnianych podwoją się do roku 2050, w efekcie do roku 2100 temperatury na Ziemi będą średnio o 4,4 stopni Celsjusza wyższe niż obecnie. Na szczęście ten scenariusz też wydaje się być stosunkowo mało prawdopodobny.

Najbardziej prawdopodobne jest, że z końcem stulecia dobijemy do 2,5–3,6 stopni ocieplenia. A to oznacza, że miliardy ludzi będą mieć niemal codzienny kontakt z ekstremalnymi temperaturami. Nie dotyczy to tylko tropików. Przy 4 stopniach ocieplenia nawet w umiarkowanej Europie fale upałów podobne do tej, która w 2003 r. zabijała 2 tys. Europejczyków dziennie, będziemy uznawać za normalne lato.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

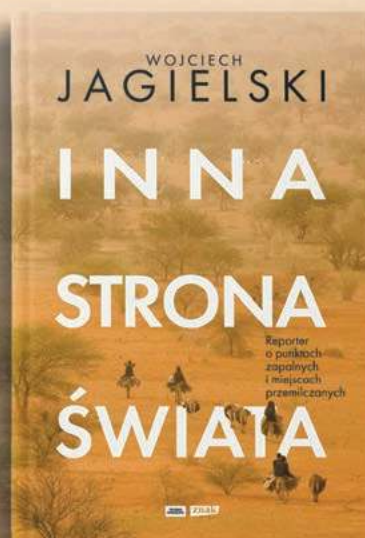
REKLAMA

WOJCIECH JAGIELSKI

o punktach zapalnych i miejscach przemilczanych

PREMIERA 23 PAŹDZIERNIKA

TYGODNIK POWSZECHNY **znak** **znak** KSIĘCZKA





Po lewej:
mieszkańcy
oceanicznych głębin
– wieloszczety
z rodziny
Ampharetidae.

Po prawej:
wydobycie konkrekcji
polimetalicznych
z pomocą zdalnie
sterowanego robota
(ROV),
maj 2024 r.



Potwory i skarby z otchłani

MARZENA ZDANOWSKA

Wydobywanie rzadkich metali z dna oceanu może być korzystniejsze dla środowiska niż tradycyjne ziemskie górnictwo. A przy okazji pozwoli nam poznać mieszkańców najbardziej tajemniczego ekosystemu.

Z WYGLĄDU PRZYPOMINAJĄ CZARNE trufle. Ciemnoszare, mają kalafiorowatą powierzchnię i zazwyczaj wielkość ziemniaka. Rosną na dnie oceanów, w tempie kilku milimetrów na milion lat. Bliżej im jednak do skał niż roślin i grzybów. Konkrecje polimetaliczne, bo o nich mowa, swoją nazwę zawdzięczają wysokiej zawartości takich pierwiastków jak mangan, żelazo, nikiel, kobalt i miedź. Wydobywanie ich na skalę przemysłową to tylko kwestia czasu.

Misja pod przykrywką

Pierwsza fala zainteresowania wydobywaniem surowców podmorskich przypada na lata 70. XX w. Zbiega się to z misją CIA

i US Navy z 1974 r., mającą na celu podniesienie radzieckiego okrętu podwodnego K-129 z dna morskiego na północny zachód od Hawajów. Aby wydobyć wrak, trzeba było zaprojektować i zbudować odpowiedni statek. By stronie radzieckiej obecność nowej jednostki dźwigowej w tym rejonie nie wydawała się podejrzana, mówiono, że jest ona wykorzystywana właśnie do poszukiwań i wydobywania konkrekcji polimetalicznych. Oficjalnie za całym projektem wydobywczym miał stać miliarder Howard Hughes. Jego współpracownicy jeździli na konferencje dotyczące górnictwa morskiego i opowiadali o przedsięwzięciu, inspirując innych do inwestowania w eksplorację podmorskich złóż.

Zasłona dymna okazała się bardziej przekonująca, niż było to potrzebne.

Wstępne zainteresowanie szybko jednak osłabło pod naporem wielu trudności. Mimo że konkrecje polimetaliczne po prostu leżały na dnie oceanu i wydawało się, że tylko czekają, żeby ktoś je podniósł, technologia ich masowego wydobycia z głębin była trudna do opracowania. Niepewnie rysowała się też sytuacja prawna – toczyły się gorące spory o to, w jakim stopniu zyski z podwodnych złóż powinny trafiać do kieszeni przedsiębiorców z najbogatszych państw, a w jakim wspierać społeczności z krajów jeszcze do niedawna będących koloniami. To w tym czasie, w latach 1973–1982, pracowano nad obowiązującymi dziś zapisami Konwencji Narodów Zjednoczonych o prawie morza.

Strony konwencji uznały, iż „znajdujący się poza granicami jurysdykcji państwowej obszar dna mórz i oceanów oraz jego podglebie, jak również jego zasoby, stanowią wspólne dziedzictwo ludzkości”, oraz że „badanie i eksploatację tego obszaru należy prowadzić dla dobra całej ludzkości, niezależnie od geograficznego położenia państw”. W innym miejscu dokumentu uszczegółowiono, że do zasobów zalicza się także konkrecje polimetaliczne. W jaki sposób ich wydobycie miało wspierać całą ludzkość, pozostawało jednak niejasne. Dodatkową przeszkodę stanowiły wahania cen metali na



SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

rynkach światowych, co sprawiało, że coraz mniej firm chciało inwestować w rozwój górnictwa morskiego.

Od kilku lat można jednak znów zauważyć zwiększone zainteresowanie surowcami z dna oceanów. Sytuacja prawna też jest dziś dużo bardziej klarowna. Na mocy wspomnianej Konwencji powołano Międzynarodową Organizację Dna Morskiego, agendę ONZ, która zajmuje się zasobami znajdującymi się na obszarach oceanów będących poza jurysdykcją państw.

Zielone górnictwo

Przedsiębiorstwa, które przygotowują się do eksploatacji podwodnych złóż, zapewniają, że kierują się ekologicznymi przesłankami. Po pierwsze, cele wyznaczane przez rządzących, np. dekarbonizacja gospodarki, nie mogą być osiągnięte bez rozbudowy odnawialnych źródeł energii i produkcji baterii na masową skalę, co zwiększa zapotrzebowanie na surowce takie jak miedź, nikiel czy kobalt. Po drugie, procentowa zawartość istotnych pierwiastków jest w koncentracjach polimetalicznych dużo wyższa niż w złożach na lądzie. Jak przekonują przedsiębiorcy, żeby pozyskać taką samą ilość danego surowca, trzeba będzie wydobyć z dna oceanu o wiele mniejszą ilość materiału, a przez to prowadzić wydobywanie na mniejszym obszarze, co według nich zmniejszy nega-

tywny wpływ na środowisko. Po trzecie, pozyskanie koncentracji polimetalicznych ma wymagać mniejszej ingerencji w ekosystem niż w przypadku kopalni na lądzie, ponieważ podwodne złoża po prostu tam leżą, podczas gdy lądowe trzeba wydobywać spod ziemi, często po wycięciu lasów i zbudowaniu odpowiedniej infrastruktury. Działalność na morzu wydaje się w porównaniu z górnictwem lądowym tylko przejściową niedogodnością – statki i podwodne kombajny po wykonaniu zadania wrócą do portów lub na ląd.

Sceptycy odpowiadają, że ingerencja przy dnie tylko pozornie ma ograniczony zasięg, bo prace wydobywcze zakłócają nie tylko funkcjonowanie organizmów tam żyjących – które zostaną porwane przez sprzęt do zbierania koncentracji – ale także w wyższych warstwach oceanu. Szczególnie problematyczne ma być wzbudzanie osadów zalegających na dnie i zanieczyszczenie hałasem. Poza tym trudno ocenić wpływ inwestycji na środowisko, o którym prawie nic nie wiemy. Głębiny oceaniczne to jeden z najsłabiej zbadanych rejonów naszej planety.

Paradoksalnie to właśnie dzięki planom firm wydobywczych dowiadujemy o podwodnych ekosystemach w ostatnich latach coraz więcej. Wspomniana Międzynarodowa Organizacja Dna Morskiego, która ustanawia zasady działania firm wydobywczych, nie udzieliła do tej

pory żadnego pozwolenia na eksploatację złóż, ale wydała ponad 30 licencji na eksplorację, która musi poprzedzić wydobywanie. Oznacza to, że firmy wydobywcze muszą opłacić naukowe badanie dna oceanicznego i występujących tam istot.

Potwory z głębin

Żyjątka zamieszkujące niczym nieoświetlone głębiny wyglądają nieziemsko. Czasami brakuje słów na ich opisanie nie tylko laikom podziwiającym zdjęcia, ale też naukowcom, którzy mają ustalić systematykę sfotografowanych osobników. Muriel Rabone i współpracownicy opublikowali w 2023 r. w „Biodiversity Data Journal” raport z badań, które miały na celu sklasyfikowanie organizmów wielokomórkowych żyjących w Strefie Clarion-Clipperton, czyli liczącym kilka milionów kilometrów kwadratowych obszarze na północno-wschodnim Pacyfiku, który jest wyjątkowo bogaty w koncentracje polimetaliczne. Autorzy podkreślali, że udało im się uchwycić tylko wycinek fauny tego wielkiego obszaru. Nawet 90 proc. znalezionych organizmów nie było wcześniej nazwanych. Co więcej, ponad jedna trzecia z tysięcy zaobserwowanych gatunków była reprezentowana tylko przez jednego osobnika. A przecież gatunki muszą być tworzone przez wiele osobników – to sugeruje, że wiele musiało się wymknąć obserwacjom.

Jak wyglądają mieszkańcy tych głębin? Włochaty krab, pokryty łuskami ślimak, biała ośmiornica. Gąbki o najróżniejszych kształtach – jedne wyglądające jak piłeczka do golfa na lodydze, inne jak filigranowy świecznik o pięciu ramionach i dziesiątkach światełek. Zwierzęta podobne do jadalnych grzybów, galaretowatych tuneli albo misternych koronek. Ukwiały. Wąsonogi. Mszywioly. Organizmy jak śnieżne krzaczki i kryształowe gałązki. A do tego cała masa schowanych w osadach maleństw.

W zależności od własnych interesów, jedni mówią, że trzeba tych stworzeń długo szukać, żeby cokolwiek znaleźć, inni podejrzewają, że możemy mieć do czynienia z ogromną bioróżnorodnością takich miejsc. Adrian Glover, biolog pracujący w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie twierdzi, że badania morskich głębin wygląda tak, jakbyśmy chcieli opisać ekosystem lasu deszczowego, przelatując nad nim balonem ➔

→ pośród gęstej mgły i za jedyne narzędzie mieli wiadro, które spuszczały na linie, podnosimy i znajdujemy w nim dziwną gałąź i kilka grudek ziemi.

Dostępne metody pozwalają nam filmować dno oceaniczne, pobierać próbki do analizowania w laboratoriach, ale nie dają informacji o tym, jak długo żyją występujące tam organizmy, jakie zachodzą między nimi relacje, kto kogo zjada i kto kogo potrzebuje. Nie jest łatwo też zgadnąć, jak ważne są dla nich konkretne polimetaliczne, wśród których mieszka. Wydawałoby się, że mogą pełnić podobną rolę jak kamienie na ziemi. Ich zebranie nie powinno mieć większego znaczenia. A jednak kilka miejsc zmienionych w latach 70. i 80. ubiegłego wieku nie powróciło nigdy do równowagi sprzed ingerencji człowieka.

Znaczenie mogły mieć specyficzne warunki panujące na takich głębokościach. Wody są tam niezwykle spokojne. Ślady pozostawione przez maszyny nie zatarły się, zupełnie jak odciski butów astronautów na Księżycu. Pojawiło się tam jakieś życie, ale nie to samo, co wcześniej i o wiele uboższe. Możliwe, że osad wzbudzony na dnie przez człowieka zaszkodził zwierzętom, które przystosowane były do odżywiania się przez filtrowanie wody. Dla tych delikatnych organizmów замуlenie mogło być przeszkodą nie do przejścia. A może chodziło o coś jeszcze?

Skał się bierze tlen

Ten konflikt między przemysłem i środowiskiem naturalnym mógłby być po prostu kolejnym z niekończącej się serii takich właśnie konfliktów. Ale pojawia się tu kilka nowych elementów. Na przykład taki, że naprzeciw siebie stają grupy niosące na sztandarach zielone hasła. Z jednej strony przedsiębiorstwa, które próbują odpowiedzieć na zapotrzebowanie transformacji energetycznej, z drugiej – obrońcy konkretnych ekosystemów i konkretnych gatunków. To pokazuje, że problemów ekologii i klimatu nie da się sprowadzić do prostych odpowiedzi i łatwych rozwiązań. Jak w tej sytuacji można w ogóle mieć „ślusne” poglądy?

Nawet gdybyśmy dla ułatwienia uznali, że firmy wydobywcze kierują się jedynie

Badania sugerują, że
konkrecje polimetaliczne
wytwarzają niewielkie
napięcie, prowadzące
do hydrolizy wody.

**Tak na dnie oceanu
może powstawać tlen.**

zyskiem i nie przyświeca im żadne wyższe dobro, to problem zapotrzebowania na surowce pozostaje. Czy lepsze jest wycinanie w Afryce lasów tropikalnych zamieszkałych m.in. przez szympansy i goryle, gdzie również istnieją złoża bogate w pierwiastki potrzebne, żeby odejść od gospodarki opartej na węglu? A może tę zieloną transformację w ogóle trzeba jakoś inaczej wymyślić?

Przykład kobaltu pokazuje, że szukanie alternatywnych rozwiązań jest możliwe. Pierwiastek do tej pory pozyskiwany był głównie w Kongo i kojarzony m.in. z pracą dzieci w kopalniach. W 2019 r. organizacja International Rights Advocates wniosła pozew przeciwko kilku firmom w imieniu rodzin dzieci, które ucierpiały przy wydobyciu surowca. Sąd uznał wprawdzie, że łańcuch dostaw jest w tym przypadku zbyt długi i skomplikowany, żeby udowodnić winę przedsiębiorstw za krzywdę dzieci, jednak cała sytuacja doprowadziła do ważnych deklaracji ze strony Apple'a i Tesli. Pierwsza firma zobowiązała się do korzystania jedynie z kobaltu z recyklingu, począwszy od 2025 r. Producent samochodów elektrycznych natomiast rozpoczął proces odchodzenia od kobaltu w swoich autach i w 2022 r. ogłosił, że już połowa z nich wyposażona była w baterie bez kobaltu ani niklu.

Pojawił się też w tej dyskusji pewien element, którego nikt nie mógł się spodziewać. 22 lipca tego roku w „Nature Geoscience” ukazał się artykuł, którego autorzy – Andrew K. Sweetman i współpracownicy – twierdzą, że konkrecje polimetaliczne mogą prowadzić do powstawania w oceanicznych głębinach tlenu. Badacze wykryli na powierzchni konkrecji

niewielkie napięcie elektryczne i spekulują, że przy nagromadzeniu wielu takich niewielkich generatorów napięcia blisko siebie, może ono być wystarczające, aby zaszedł proces elektrolizy wody morskiej, czyli rozdzielenia jej na tlen i wodór.

Konflikt interesów

Naukowcy zamierzali zmierzyć zużycie tlenu przez organizmy żyjące przy dnie, jednak jego stężenie rosło, zamiast, zgodnie z przewidywaniami, maleć w czasie. Później pobrane z dna próbki poddano testom w laboratorium i próbowano sprawdzić, który z elementów jest odpowiedzialny za zmiany w ilości tlenu. Jeśli opublikowane wyniki zostaną potwierdzone w kolejnych badaniach, byłoby to przełomowe odkrycie. Dotychczas uważano, że cząsteczki tlenu mogą na naszej planecie powstawać w sposób naturalny jedynie w procesie fotosyntezy przy udziale światła, więc wnioski artykułu są dosyć rewolucyjne. Jednocześnie hipoteza naukowców mogłaby tłumaczyć, dlaczego ekosystemom tak trudno było się odrodzić w obszarach zniszczonych przez ludzi kilka dekad temu – jeśli konkrecje były dla organizmów głębinyowych źródłem tlenu, zabranie tych skał z dna miało o wiele poważniejsze skutki niż podniesienie kamienia na lądzie.

Z naukowego punktu widzenia odkrycie nowego sposobu powstawania tlenu na naszej planecie miałoby też niebanalny wpływ na teorie opisujące początki życia na Ziemi. Do tej pory badacze rekonstruując ten etap historii zakładali, że najpierw musiały powstać organizmy produkujące tlen, żeby stworzyć odpowiednie warunki dla powstania organizmów, które go wykorzystują. Jeśli jednak tlen może powstawać naturalnie w drodze elektrolizy, taka kolejność nie musiałaby być zachowana.

Emocje próbują studiować przedstawiciele firmy The Metals Company, która – jak na ironię – zapłaciła za te badania, do czego była zobligowana w ramach licencji eksploracyjnej. Obiecują oni niedługo wykazać błędy metodologiczne zawarte w artykule. Niezależnie od tego, co wykażą następne eksperymenty, pewne jest, że mamy do czynienia ze światem bardzo słabo poznanym. Czy odejście od węgla warte jest poświęcenia wszystkiego, co możemy tam odkryć?

© MARZENA ZDANOWSKA



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 44/2024

PRAWO DO MIASTA

AGNIESZKA LABUS, URBANISTKA:

**Zamiast mówić
o podziałach i generacjach,
powinniśmy pomyśleć
o tym, jakie style życia
i funkcjonowania łączą
nas dziś w otoczeniu.**

JACEK TARAN: Młoda architektka
zajmująca się starością. To chyba nie-
typowe dla tej branży?

AGNIESZKA LABUS: Poświęciłam temu te-
matowi większość życia zawodowego.
Nie było łatwo się z nim przebić wśród
architektów i urbanistów, bo środowi-
sko widziało tu jedynie zagadnienia so-
cjologiczne. Ale nie poddawałam się.
Wiedziałam, że jesteśmy nieprzygoto-
wani na zmiany demograficzne, jakie na-
stępują, prognozy pokazują, że jesteśmy
jednym z najbardziej starzejących się
społeczeństw. Gdy w 2010 r. pojechałam
na wyjazd badawczy do Niemiec, pierw-

szy raz zrozumiałam, że moja praca ma
sens.

**W swoich mediach społeczności-
owych ma Pani hasło: wdrażam
koncepcję długowieczności w otocze-
niu. Co to znaczy?**

Staram się zgłębić wiedzę o tym, ja-
kie cechy powinna mieć przestrzeń,
żeby sprzyjać długiemu i zdrowemu ży-
ciu. Badania pokazują, że na długość ży-
cia w 20-30 procentach wpływają geny,
a reszta to styl życia. Ten styl w dużej mie-
rze wynika z otoczenia, w którym funk-
cjonujemy. Dla mnie wdrażanie koncepcji →

→ długowieczności to temat wychodzący poza klasyczne rozumienie architektury i planowania otoczenia. Często używam słowa otoczenie, a nie urbanistyka czy architektura, bo ono lepiej pokazuje spektrum prac do wykonania.

To kim jest architekt?

Jak zapytać klasycznego Kowalskiego, zapewne odpowie, że to osoba, która projektuje budynki. Natomiast według Karty Ateńskiej z 2003 r. architekt to mediator procesów inwestycyjnych. Wynika z tego, że powinien być wyposażony w zakres kompetencji niezbędnych do tego, żeby połączyć różne grupy odbiorców oraz osoby współdecydujące o tym, jak przestrzeń ma wyglądać. Te definicje w obliczu nowych technologii, zmian klimatu, kryzysów wymagają doprecyzowania, ciągle potrzeba szukać odpowiedzi na nowe wyzwania.

I jednym z takich wyzwań są właśnie zmiany demograficzne.

To suma wielu procesów, nie tylko kwestia tego, że spada współczynnik dzietności i będziemy mieć problem z zastępowalnością pokoleń. Najważniejsza jest jednak zmiana myślenia o tym, kim jest senior. Tak zwana „ustawa senioralna” z 2015 r. mówi, że senior to osoba, która ukończyła 60. rok życia. W porządku, ale ludzie w tym wieku mogą mieć różne potrzeby. Ktoś może mieć 65 lat, a wcale nie będzie czuć się „seniorem”. Wielu jest bardzo aktywnych fizycznie, pracują, biegają maratony. Pojęcie starości trzeba zdefiniować na nowo. Może spojrzeć na nie z zupełnie innej strony?

Spróbujmy.

Zamiast skupiać się na tym, co nas dzieli, powinniśmy się skupić na tym, co nas łączy. Często zadają studentom pytanie: czy chciałbyś żyć długo i zdrowo? Tak postawiony problem staje się inkluzywny. Opracowana przez WHO Agenda 2030 mówi o konieczności zabezpieczania różnych etapów życia na poziomie strategii lokalnych. A w Polsce nadal jesteśmy na etapie, że robimy przestrzenie miasta dla dzieci, seniorów, kobiet, osób z niepełnosprawnością. Dziś zamiast mówienia o podziałach i generacjach, powinniśmy mówić i myśleć o tym, jakie style życia i funkcjonowania łączą nas w otoczeniu.

Architekci w tym pomagają?

Architektura to klucz do tego, żeby wspierać relacje, które zawiązujemy zawsze w jakimś otoczeniu. To może być dom, ale również klatka schodowa. Dobrze zaprojektowane przestrzenie wspólne dają możliwość budowania relacji. Wiemy, że samotność to jeden z największych społecznych problemów. Mamy place, parki, ale to nie wystarczy. Cała rzecz polega na tym, żeby ludzie chcieli z nich korzystać.

Słyszę od deweloperów: zrobiliśmy świetlicę, a ludzie tam nie przychodzą. Nie przychodzą, bo nikt ich nie zaangażował w stworzenie tej przestrzeni. Jak człowiek da część siebie, to chętniej się z tym utożsamia. Trzeba rozpoznać potrzeby grupy, dla której się projektuje, a nie narzucać rozwiązania.

Rolą architekta nie jest jedynie zrobienie projektu dla dewelopera. Konieczne jest przeprowadzenie badań i zastanowienie się, jakie funkcje będą odpowiednie dla lokalnych mieszkańców i jak one będą pracować w przyszłości. Potrzebna jest analiza społeczno-przestrzennych aspektów tego, jak potrzeby mogą się zmieniać. Musimy myśleć nad taką przestrzenią, która jest przyjazna, która odpowiada nie na nasz wiek, ale na style życia, na każdym jego etapie. Nazywam to otoczeniem przewencyjnym.

Ale style życia mogą być różne, zależnie od wieku, ale też od indywidualnych czynników. Da się to pogodzić?

Tych rozwiązań jest bardzo wiele i one muszą zaistnieć wielopoziomowo. Powinny powstać programy rządowe, które mogłyby sprzyjać powstawaniu takich miejsc. To nie jest kwestia tylko zaprojektowania przestrzeni, trzeba jeszcze wiedzieć, kto będzie się przestrzenią potem zajmował. Można to oddać w ręce organizacji pozarządowych, które działają w sąsiedztwie i mogą mieć wiedzę o stylach życia mieszkańców.

Samo miasto powinno w sposób systemowy patrzeć, czy lokalizacje są dobre i dostępne dla ludzi o różnych potrzebach i jak urbanistyka wpływa na nasze emocje. To jest to, co często bywa nazywane architekturą zmysłów, a ja nazywam architekturą niewidzialną. Składa się na nią poziom hałasu, dostęp do światła dziennego, zapachy, które nas otaczają. Chodzi

o bardziej wnikliwe projektowanie, nie tylko patrzeć z punktu widzenia fizyczności, konstrukcji, ergonomii. Są przecież budynki, które na pewno nie wygrałyby żadnego konkursu, ale to tam ludzie dobrze się czują, to tam chętniej nawiązują relacje.

Konkursy architektoniczne nie są potrzebne?

Są potrzebne, ale nie powinny dotyczyć tylko kwestii estetyki, funkcjonalności, nowatorskiego podejścia, ale też tego, jak architektura wspiera codzienne życie różnych ludzi, czy są tam szczęśliwi. W konkursach powinny być kategorie, które odpowiadają na pytanie, co to znaczy „architektura sprzyjająca długowieczności”.

Łódzki projekt domu wielopokoleniowego był odpowiedzią na te problemy?

W 2018 r. Łódź zdecydowała się wdrożyć pierwszy w Polsce projekt domu wielopokoleniowego. Miały w nim mieszkać rodziny z dziećmi, osoby z niepełnosprawnością, osoby starsze i osoby młode. Miasto oddało XIX-wieczną kamienicę na adaptację do tego celu.

Nasza fundacja LAB 60+ wdrażała jedynie model funkcjonowania tego obiektu. Dostaliśmy od miasta gotowy projekt opracowany przez kogoś innego. Idea była taka, że zamieszkają tam osoby niespokrewnione, które zostaną uświadomione, na jaką formę zamieszkania się decydują. I to było nasze zadanie: przygotować taki proces, zrobić warsztaty z tymi grupami.

Dziś myślę, że ten projekt się niestety nie udał. Zbyt wiele czynników nie zadziałało, począwszy od wyboru lokalizacji w kamienicy z XIX w., która miała stać się budynkiem łatwo dostępnym. Powstał też konflikt wynikający z konieczności remontu dachu, to przerodziło się w inne konflikty. My przystąpiliśmy do pracy, nie mając wcześniej żadnego wpływu na kształt projektu. Żeby takie działania zakończyły się sukcesem, potrzebny jest proces, a nie projekt. Wnikliwość na każdym etapie. Tutaj tego zabrakło.

A udane projekty?

Potrzebne są badania w tym zakresie oraz ewaluacja projektów, żeby stwierdzić, czy coś się udało, a często brakuje



JACEK TARAN

środków na takie etapy w procesie projektowym. Warty uwagi jest dom wielopokoleniowy na osiedlu Nowe Żerniki we Wrocławiu, to inwestycja TBS-owska, powstała w 2020 r. Mieszkają tam osoby starsze z młodymi rodzinami i tam projektanci bardzo dobrze przeszli do przestrzeni. Nie zrobili kilku bloków, ale jeden, z wewnętrznym owalnym dziedzińcem. Budynek wyposażony jest nie tylko w mieszkania, ale także w przestrzenie wspólne na piętrach, które dają szansę wspierać relacje międzyludzkie.

Gdybyśmy mieli podać przepis na dom wielopokoleniowy, co by się w nim musiało znaleźć?

Bardzo ważne jest wybranie odpowiedniej lokalizacji oraz rozpoznanie stylów życia i funkcjonowania lokalnej społeczności. Konieczne są badania przedprojektowe, niestety w wielu inwestycjach ten etap jest pomijany. I tu nie chodzi o analizy urbanistyczne, ale o to, żeby zbadać tkankę społeczną i zobaczyć, jak projekt jest w stanie wrosnąć w miejsce.

Dopiero potem należy przystąpić do analizy urbanistycznej. Ten etap uważam za kluczowy dla domów wielopokoleniowych. W Holandii funkcjonuje projekt społeczny organizacji Talita, w którym osoby starsze zostały połączone z młodocianymi mamami. Starsi pełnią rolę nauczycieli życia dla młodych mam, a one pomagają w doraźnej codzienności.

DR AGNIESZKA LABUS jest architektką, urbanistką i wykładowczynią Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej. Założycielka i prezeska Fundacji Laboratorium Architektury LAB 60+. Członkini Rady ds. Polityki Senioralnej przy Minister Polityki Senioralnej. Na zdjęciu w Piekarach Śląskich, październik 2024 r.

Tam wcześniejsze rozpoznanie potrzeb było bardzo głębokie. Obojętne, w jakim wieku jesteśmy, to chcemy czuć się potrzebni.

Jednak wskaźniki demograficzne są nieubłagane i pokazują, że młodych będzie coraz mniej. Czy Polska to jest kraj dla starych ludzi?

Nigdy wcześniej w dziejach ludzkości nie żyło pięć generacji jednocześnie, jak teraz. Będziemy coraz bardziej potrzebować środowiska wspierającego, mieszkań podążających za cyklem życia człowieka. Jest taki koncept *Lifetime Homes* wywodzący się z Wielkiej Brytanii.

Może nie każde mieszkanie już teraz musi być wyposażone w uchwyt w łazienkach, ale ta łazienka powinna mieć odpowiedni metraż umożliwiający ich montaż w przyszłości. Powinna też być zlokalizowana względem sypialni tak, że w razie postępującego zaniku sprawno-

ści możliwy jest tam łatwy transfer osoby chorej.

Mieszkania muszą mieć odpowiednio szerokie drzwi i korytarze, aby przejechać wózkem czy nawet łóżkiem na taras czy do ogrodu było łatwe. Mieszkanie powinno być tak zaprojektowane, żeby powstała możliwość wydzielenia pokoju dla opiekuna.

To wszystko kosztuje. Stać nas?

Stać, bo ten koszt jest i tak mniejszy niż koszt opieki medycznej i społecznej czy budowy infrastruktury DPS, ZOL itp. To jest wyzwanie, ale dlatego właśnie tak ważna jest wieloaspektowość tego podejścia do inwestycji sprzyjających długowieczności. Energooszczędność, obniżanie kosztów eksploatacji, adaptowalność konstrukcji – to są kluczowe aspekty. Dziś mamy na rynku mnóstwo budynków w starych technologiach grzewczych, które są nieekonomiczne i niesprzedawalne.

A futurystyczna wizja miasta – latające samochody, ruchome chodniki – ona się spełni?

Bezruch jest wbrew naturze, wbrew poznaniu. Po moich studentach na wydziale architektury widzę, jak często nie znają miasta z perspektywy pieszego, bo od małego byli przez rodziców wożeni. To jest pokolenie, którego może nie jesteśmy w stanie zmienić, ale musimy znaleźć nowe metody, żeby ludziom ułatwić ruch.

To już się dzieje – powstają rozwiązania urbanistyczne, które odbierają prymat samochodom na rzecz pieszych. Pandemia bardzo przyspieszyła wiele zmian, ludzie zaczęli doceniać, jak ważna jest zieleń w mieście. Zaczęli dużo bardziej zwracać uwagę na swój styl życia.

Zatem jakie powinny być te pełne staruszków miasta przyszłości?

Sprzyjające długiemu, zdrowemu życiu. Musimy zacząć myśleć innymi wskaźnikami niż dotychczas. Dziś władze miast chwalą się, ile kilometrów ścieżek rowerowych wybudowały, a nie tym, jakie tereny dzięki temu zyskały dostępność.

Ja bym chciała wiedzieć: zrobiliśmy tutaj ścieżkę, ale ile osób z niej korzysta? Może jest pusta, a może przepełniona? Bo jeżeli ścieżka jest dobrze zrobiona, to ja, która nie jestem zbyt rowerowa, może →

ZDEFINIOWANE PONAD pół wieku temu przez Henriego Lefebvra pojęcie „prawa do miasta” zakładało równy współudział wszystkich członków społeczeństwa miejskiego w możliwościach i prawach, jakie niesie ze sobą życie w mieście. Lefebvre stawiał w obronie grup wykluczonych ekonomicznie, które najbardziej ucierpiały podczas powojennej odbudowy.

Barier i ograniczenia, które blokowały realizację tej idei, celnie diagnozował na łamach „Tygodnika Powszechnego” Kacper Pobłocki: „Całe połacie tkanki miejskiej zbudowano nie po to, aby służyły mieszkańcom, lecz aby utrzymać ekspansję maszyny do zarabiania” („TP” nr 14/2010). Dzisiaj odczuwamy skutki tej ekspansji, która wymknęła się spod kontroli nie tylko urbanistom i architektom, ale przede wszystkim władzom. Wydaje się też konieczne, by postulat Lefebvra rozszerzać o kolejne żądania, zwłaszcza że stoimy w obliczu nowych kryzysów – klimatycznych, demograficznych, wspólnotowych.

Agnieszka Labus, urbanistka z Politechniki Śląskiej, w rozmowie z „Tygodnikiem” mówi o dostępności całego spektrum życia miejskiego również dla tych, których często nazywamy seniorami, choć oni sami wcale tak się nie czują. Postulat budowania pod kątem wydłużającego się życia zakłada konieczność zmiany myślenia o projektowaniu miast przyszłości. Musimy to robić z myślą o nas takich, jacy będziemy za lat kilka czy kilkadziesiąt, nawet jeśli dziś postrzegamy siebie w przyszłości jak kogoś obcego, innego.

Podkreślić warto jeszcze jedno istotne zadanie architektury: winna pomagać w utrzymywaniu relacji, integrować społeczeństwa, a nie przyczyniać się do coraz większego osamotnienia.

© P JACEK TARAN



MATERIAŁY PRASOWE TBS WROCŁAW

Osiedle TBS Nowe Żerniki we Wrocławiu jest dobrym przykładem architektury, która sprzyja budowaniu relacji

→ bym wolała zamiast wsiadać w samochód pojechać rowerem.

Absurdem bywają miejskie drogi rowerowe, do których rower trzeba dowozić samochodem. Ruch jest jedną z determinant długowieczności, a odpowiedzią nie jest liczba siłowni na świeżym powietrzu, tylko kształtowanie otoczenia, jako prewencyjnego i zachęcającego nieświadomie do aktywności. Słynne „Blue Zone”, czyli miejsca na świecie, gdzie jest dużo 100-latków, Sardynia i Okinawa, wskazują ukształtowanie terenu jako jeden z ważnych czynników sprzyjających długowieczności, ono wymusza zdrowy wysiłek.

Dobre jest mieć w życiu pod górkę?

Tak, choć dla niektórych pewnie brzmi to jak absurd. Jednocześnie musi być alternatywa, bo są sytuacje życiowe, w których potrzebujemy windy czy samochodu. Czasami pytam ludzi na wykładach, jak kodują zdrowe nawyki, czy wybierają frytki, czy owoce, windę czy schody, internet czy relacje, samochód czy rower? Ruch, relacje, dieta, sen i gdzie to wszystko ma miejsce – czy jest cicho, ciepło, ciasno?

Cicho, ciepło, ciasno...

...i ciemno. Tak było w brzuchu mamy. Jeżeli my nie mamy spełnionych takich warunków w naszej sypialni, obniżamy swoje szanse na pomyślne starzenie. To się przekłada na komfort snu, ten zaś na stan naszego zdrowia fizycznego i psychicznego. Oczywiście zmiennych jest mnóstwo, bo zanieczyszczenia czy smog także wpływają na nasze choroby układu krążenia. Musimy zacząć mierzyć nasze miasta, budynki i wnętrza innymi parametrami niż dotychczas, żeby minimalizować lęk przed starością na rzecz szans na długowieczność.

A Pani się boi swojej starości?

Boję się, że starość będzie nie taka, jak się spodziewam. Bardzo mocno wierzę w to, że 70 procent sukcesu to pozytywne myślenie. Jeżeli będziemy dobrze myśleć o naszym starzeniu, wydłużamy nasze życie średnio o 7 lat, są na to badania naukowe. I mam chyba to szczęście, że osobowość mam jak moja babcia, która zawsze widzi tą dobrą stronę i jest bardzo aktywna, chociaż przekroczyła już osiemdziesiąty szósty rok życia.

A Pani studenci jak wyobrażają sobie starość?

Wyobrażają sobie, że wyprowadzą się na wieś, a tam będzie mały, biały do-

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 44/2024

REDAKCJA: Monika Ochędowska, Jacek Taran
PROMOCJA: Marek Bednarz, Mateusz Gawron
OKŁADKA: Po przebudowie „Zielonej Krupniczej”.

Kraków, 27 maja 2023 r.

/ Sylwia Penc / Agencja Wyborcza.pl // Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Jacek Taran

PARTNER
WYDANIA



**Cavatina
Group**

mek przy lesie. Pytam wówczas, czy nie biorą w tej wizji pod uwagę nowoczesnych technologii, albo czy myślą o tym, jak na różnych etapach życia zmieniają się relacje wewnątrz rodziny. Takie myślenie to też dowód na to, jak mocno zakorzenione są w nas stereotypy dotyczące starości. Moja córka dostała grę w kalambury. Trzeba było na karcie pokazać babcię. I jak babcia była narysowana? W okularach na fotelu bujanym, z drutami i wełną. Mamy XXI wiek! Jej babcie tak nie wyglądają, nawet jej prababcia tak nie wygląda!

Stereotypy warunkują pracę architektów?

To jest największe przekleństwo, jeśli chodzi o projektowanie, zwłaszcza na rynku deweloperskim. Zazwyczaj osiedla są reklamowane jako „oaza spokoju daleko od miasta”. Jakby na starość wszyscy potrzebowali tylko spokoju, wyciszenia w oczekiwaniu na śmierć. Nie można też myśleć, że jak zaprojektujemy stół do szachów i siłownię, to mamy odhaczony punkt „coś dla seniorów”. Musimy w ogóle przestać mówić o senioralności, a zacząć widzieć długowieczność jako proces w cyklu życia, na który musimy zapracować niezależnie od wieku, w jakim jesteśmy. Senioralność to jest etap życia, a długowieczność to cały jego cykl.

To co robić?

Musimy zacząć badać, analizować i projektować zmiany w otoczeniu, w odpowiedzi na pytanie: na ile sprzyjają długowieczności. Nad takimi autorskimi parametrami pracujemy w Fundacji LAB 60+. Przykładem może być Wielka Brytania, która postawiła sobie za cel wydłużenie średniej długości życia Brytyjczyków o 5 lat do 2030 r., dzięki różnym programom, projektom i inwestycjom. Może powinniśmy nasze miejsca do życia określać nie kodem pocztowym, a kodem długowieczności, wtedy widzielibyśmy, gdzie mamy szansę żyć długo i zdrowo, a gdzie niekoniecznie.

© Rozmawiał JACEK TARAN

Osiedle wzorcowe

BEATA CHOMĄTOWSKA

Pracownicy dawnych państwowych biur architektonicznych podchodzili do osiedli jak do złożonego organizmu, na który składają się nie tylko bloki, ale ich otoczenie: zieleni, placówki edukacyjne i usługowe oraz infrastruktura komunikacyjna. Czy jest to możliwe dziś, gdy nasze osiedla projektują prywatni deweloperzy?

Trochę niezręcznie się czuję wyskakując z pochwałami, bo raczej przywykliśmy do narzekania i sam jestem mocno wyczulony na różne budowlane patologie – mówi mi Franciszek, który jako pierwszy reaguje na mój apel w internecie, skierowany do osób, które dobrze wspominają współpracę z deweloperem. – Tymczasem w moim przypadku obawy zupełnie nie potwierdziły się w praktyce.

Fuszerki i wykopy

Franciszek, pracownik instytucji kultury, mieszka z żoną i dzieckiem w przedwojennej kamienicy na Mokotowie, ale z myślą o przyszłości syna zdecydował się zainwestować w kawalerkę w Miasteczku Wilanów. – Mam poczucie, że za dwadzieścia lat, kiedy struktura społeczna osiedla się zmieni, stanie się ono takim drugim, młodszym Ursynowem, czyli osiedlem-sypialnią dobrze ocenianym przez mieszkańców – tłumaczy Franciszek.

Blok z mieszkaniem, które kupili, realizowała firma Robyg. – Napatrzyłem się w mediach na zdjęcia różnych fuszerek, pamiętam też archiwalne fotografie, na których mieszkańcy wprowadzali się do bloków stojących wśród wykopów – mówi. – Tymczasem odbiorowi naszego mieszkania nie towarzyszyły żadne tego typu atrakcje. Było w porządku, wykonane zgodnie z umową, a przy tym cała inwestycja wokół wyglądała jak trzeba, posprzątany teren, wszystko gotowe. Oczywiście trafiło się kilka drobnych usterek, jednak naszemu doświadczeniu daleko było do licznych relacji rodem z horroru.

Jako atut Franciszek wymienia zaplanowane od początku miejsca wspólne:

saunę, wewnętrzne miejsca zabaw dla dzieci, siłownię. Przeznaczenie tych pomieszczeń wspólnota może w przyszłości zmienić; na razie są otwarte i mieszkańcy z nich korzystają, więc nawet jeśli takie rozwiązanie wliczone w cenę mieszkania było chwytem marketingowym, to jednak udanym. – Cenię sobie też zaplanowanie zieleni na osiedlu. W Miasteczku to standard, ale w innych inwestycjach deweloperskich niekoniecznie. W praktyce tereny zielone często zmieniają się w geokratę.

Zadowolona ze współpracy z deweloperem jest też Ela, inna mieszkanka Warszawy, która kilka lat temu kupiła mieszkanie na osiedlu Przystanek Międzyziesie (w podmiejskiej dzielnicy Wawer, w sąsiedztwie Mazowieckiego Parku Krajobrazowego). Inwestycję w jednym z dwóch pięciokondygnacyjnych bloków realizował Dom Development.

– Był to mój pierwszy zakup mieszkania na rynku pierwotnym – mówi i też wspomina o zaskoczeniu, jakim był dla niej profesjonalizm przedstawicielki firmy, która przekazywała jej lokal. – Przy odbiorze lokalu było dużo technicznych kwestii, których się nie spodziewałam, a później musiałam się nimi zająć, jak wymiana wkładki w drzwiach czy zakładanie filtrów antysmogowych, więc stały kontakt z wykonawcą i dokładne instrukcje bardzo się przydały.

To przykłady w skali mikro – indywidualne doświadczenia dotyczące przede wszystkim jakości samego lokum. A jak wygląda szerszy obraz?

Sprawdzone wzorce

Gdy pytam o przykłady dobrych rozwiązań na poziomie całych osiedli, od moich rozmówców – osób niezwiązanych →

→ zawodowo z branżą deweloperską, za to zajmujących się mieszkalnictwem i jakością współczesnej architektury – słyszę najczęściej dwie nazwy: wrocławskie Nowe Żerniki i Nowy Strzeszyn w Poznaniu. Mówią o nich m.in. Joanna Erbel, autorka książki „Poza własnością. W stronę udanej polityki mieszkaniowej”, Łukasz Drozda, politolog i urbanista, adiunkt na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego, autor książki „Dziury w ziemi. Patodeweloperka w Polsce”. Słowem – eksperci, którzy częściej krytykują, niż chwala.

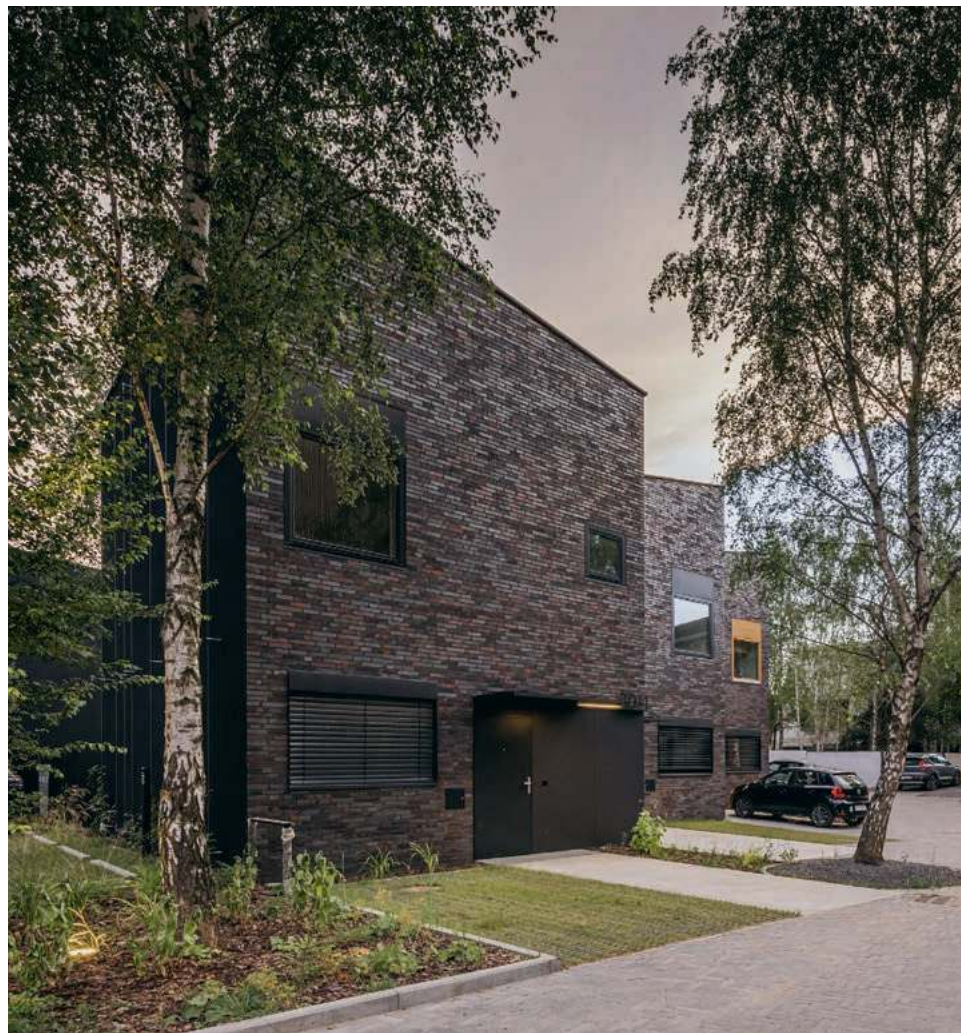
Gdy mowa o pierwszym z wymienianych osiedli, Nowych Żernikach, zwykle pada hasło „wzorcowe”. Odnosi się zarówno do samego osiedla, jego układu urbanistycznego i architektury, jak i modelu, w którym powstawało.

Nowym Żernikom od początku patronowało inne, wzorcowe osiedle wrocławskie z międzywojnia – zespół mieszkaniowy powstały w 1929 r. w ramach wrocławskiej wystawy Werkbundu – „Mieszkanie i miejsce pracy” (Wohnungs und Werkraumausstellung – WuWa). Pomysł zrodził się w 2011 r., kiedy przedstawiciele Dolnośląskiej Izby Architektów ze Zbigniewem Maćkowem i Piotrem Fokczyńskim na czele ustalali szczegóły odbudowy dawnego przedszkola WuWy na nową siedzibę organizacji. Podczas jednego ze spotkań prezydent miasta, Rafał Dutkiewicz, zaproponował wzniesienie całego nowego założenia wzorowanego na tym historycznym zespole, obiecując przekazać na ten cel grunty. Stąd też Nowe Żerniki zyskały przydomek WuWa-2.

Pierwszym etapem prac w Nowych Żernikach było zaproszenie socjologów, którzy dostarczyli wstępnej wiedzy na temat przyszłych mieszkańców oraz ich potrzeb, a już na etapie inwestycji odbyły się rozmowy z przyszłymi użytkownikami.

Nowością był też stworzony przed sprzedażą gruntu masterplan, wypracowany przez kilkanaście pracowni wraz z projektami budynków oraz doprowadzenie na teren osiedla infrastruktury drogowej i oświetlenia, zanim rozpoczęto budowę.

Tak przemysłany proces planistyczny i dochodzenie do jak najkorzystniejszych rozwiązań we współpracy z mieszkańcami zaowocowały dobrą urbanistyką



osiedla. Często podkreślanym przez mieszkańców atutem są przestrzenie wspólne oraz dostępne i wolne od samochodów tereny zielone.

Igor, pracownik dużej firmy w aglomeracji wrocławskiej, który wprowadził się na osiedle w pierwszym etapie jego realizacji (wówczas w planach były tylko deweloperskie lokale na sprzedaż, dopiero później projekt poszerzono o TBS) nie kryje, że wówczas mieszkanie w Nowych Żernikach miało swoje minusy: w sąsiedztwie wciąż był teren budowy, brakowało sklepów i punktów usługowych. Twierdzi jednak, że warto było przeczekać ten etap, zwłaszcza że cena za metr była stosunkowo niska. Podkreśla też, że osiedle ma świetny dojazd i jest stosunkowo blisko centrum. Inna, często wymieniana zaleta to brak ogrodzeń między budynkami, będących zimą nawet wielu starszych osiedli.

Zastosowane w Nowych Żernikach dobre wzorce urbanistyczne pod wieloma względami zdają się czymś oczywistym, znanym już w międzywojniu z osiedli społecznych, a także z czasów PRL-u. Pracownicy państwowych biur architektonicznych podchodzili do osiedli jak do złożonego organizmu, na który składają się nie tylko bloki, ale ich otoczenie: zielen, placówki edukacyjne i usługowe oraz infrastruktura komunikacyjna.

We współpracy z miastem

Prawdziwym ewenementem na skalę ogólnopolską było w tym przypadku co innego: model realizacji inwestycji, w którym pierwsze skrzypce gra podmiot publiczny – w tym przypadku władza samorządowa. I to okazało się kluczem do sukcesu. Miasto w tym projekcie wzięło na siebie rolę dostarczyciela infrastruktury



MARIUSZ LIS / MATERIAŁY PRASOWE PRACOWNI INSOMIA

Osiedle Nowy Strzeszyn w Poznaniu

tury (drogi, kanalizacja i oświetlenie powstały, zanim pojawiły się budynki) oraz patrona całego planistycznego przedsięwzięcia. W kooperację na terenie należącym do miasta oprócz władz miejskich wraz z generalnym wykonawcą weszło kilkudziesięciu architektów i pięciu deweloperów.

Można więc założyć, że bez współpracy, zwłaszcza między podmiotami prywatnymi, inwestorem a samorządem – efekt byłby mniej zadowalający. Podkreśla to również Łukasz Drozda: – Opinia na temat Nowych Żernik wynika z narzucenia dobrych reguł gry deweloperom, a nie stworzenia tych reguł przez nich samych.

Joanna Erbel, która – podobnie jak Drozda – w swojej książce o dobrych praktykach mieszkaniowych wspomina o Nowych Żernikach jako realizacji pod wieloma względami wyjątkowej, z nowszych przykładów udanych

współprac przy inwestycjach samorządowych wskazuje na osiedle Celulozowa we Włocławku oraz mieszkania komunalne budowane w Pleszewie. Potrzeba jednak znacznie więcej inwestycji realizowanych w tym modelu, żeby o wrocławskim osiedlu przestało się mówić „eksperymentalne”.

Pamiętajmy o ogrodach

Komplementowany zarówno przez bezpośrednich użytkowników, jak i ekspertów poznański Nowy Strzeszyn jest inwestycją w pełni prywatną. Osiedle, uznane za najlepszą realizację architektoniczną 2021 r. w Poznaniu, ma znacznie mniejszą skalę niż Nowe Żerniki – liczy zaledwie 100 mieszkań i znajduje się w większej odległości od centrum miasta.

Jego wyjątkowość tkwi przede wszystkim w projekcie urbanistycznym. Inwestor, Area Development, chwalony jest za wycucie, z jakim wpasował go w już istniejący układ. Punktem wyjścia były rosnące w tym miejscu drzewa, które najpierw naniesiono na mapę terenu, dzięki czemu udało się ocalić przed wycinką dwie trzecie spośród nich, a wszyscy mieszkańcy zyskali ogródki. To niby nic nowego – przywodzi na myśl działania Haliny Skibniewskiej, która zastosowała podobną taktykę projektując pod koniec lat 50. bloki warszawskiego osiedla Sady Żoliborskie między rosnącymi tam drzewami owocowymi (osiedle dobrze oceniane do dziś), a jednocześnie rzadkość w czasach, gdy każdy metr kwadratowy gruntu w mieście przelicza się na zyski z metra kwadratowego mieszkania.

Użytkownicy cenią sobie też kameralność zabudowy inspirowanej angielską architekturą mieszkaniową oraz ideą miasta-ogrodu. Zgodnie z zamierzeniem architektów (pracownia Insomnia) chodziło o stworzenie pośredniej formy między domem jednorodzinnym a mieszkaniem. Do zalet, podobnie jak w przypadku Nowych Żernik, zaliczane są wspólne przestrzenie, na które przeznaczono sporo miejsca, pomysłowe przejścia, kameralne placiki. W cenie mieszkań były drewniane altany na rowery, ogrodzenia, a nawet skrzynki na listy, bo autorem projektu zależało na spójności wszystkich detali. Każde z mieszkań, oprócz ogródka i osobnego wejścia, ma garaż.

Jakość dla wybranych

W rankingach najbardziej udanych polskich osiedli pojawia się też katowicki Nowy Nikiszowiec, który z kolei jest jedną z nielicznych inwestycji zrealizowanych w ramach komercyjnej części rządowego programu Mieszkanie Plus przez spółkę PFR Nieruchomości oraz Katowicki TBS.

Chwalone jest za tryb realizacji – w formie konkursu architektonicznego, który bywa rzadkością (wygrała go pracownia 22Architekci), a także za udane nawiązanie do zabytkowej architektury poprzemysłowej. Niestety, gorzej z dostępnością – okazało się, że czynsze w lokalach na wynajem, które miały stanowić tańszą propozycję dla osób mniej zamożnych, rosną szybciej niż w innych lokalizacjach. Po protestach PFR Nieruchomości zadeklarowało, że do końca 2025 roku nie będzie dalszych podwyżek.

Dobre przykłady deweloperskich działań zatem istnieją, można je znaleźć, jest tylko jeden szkopuł: nie każdy może z nich skorzystać. – Twardo stoję na stanowisku, że kiedy zejdziemy na poziom produkowanych masowo mieszkań, to sam model inwestycyjny nie może się spierać przy zaoferowaniu mieszkania dobrej jakości bez napompowania ceny – mówi Łukasz Drozda. Osiedla, które zbierają pochwały, jak Nowy Strzeszyn czy choćby warszawskie realizacje z wyższej półki, to oferta co najmniej dla klasy średniej lub wyższej. Wspomniane przez Franciszka Miasteczko Wilanów, choć niepozbawione wad, jest dobrze oceniane przez samych mieszkańców i wygrywa w konkursach na najbezpieczniejszą, najczystsza, a nawet najatrakcyjniejszą dzielnicę, też jednak uchodzi za osiedle elitarne. Nawet beneficjentami Nowych Żernik, choć jego budowę koordynowały władze, są w przeważającej większości osoby zamożniejsze.

Tymczasem dobrze zaplanowane, zaprojektowane i wykonane mieszkanie powinno stać się standardem, nie wyjątkiem czy eksperymentem. A do tego potrzeba nie tylko dobrej woli samych deweloperów, którzy przecież są prywatnymi podmiotami nastawionymi na zys, ale większej aktywności ze strony państwa, gwarantującego w ustawie zasadniczej każdemu dach nad głową.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

CAVATINA:

lider rynku nieruchomości w Polsce

Projekty architektoniczne Cavatiny wyróżniają się niepowtarzalną i ponadczasową architekturą, w ślad za którą podąża funkcjonalność, energooszczędność i indywidualne podejście do potrzeb okolicy.

Cavatina to polska grupa kapitałowa działająca przede wszystkim na rynku deweloperskim, w obszarze komercyjnym i mieszkaniowym. Od 2015 r. z sukcesem realizuje m.in. inwestycje typu mixed-use w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Wrocławiu, Gdańsku, Łodzi i Bielsku-Białej. Koncentruje się na rozwoju projektów zlokalizowanych w centralnych i świetnie skomunikowanych obszarach miast.

Wchodząca w skład Grupy spółka giełdowa Cavatina Holding S.A. jest jednym z wiodących polskich deweloperów biurowych i rozwija także swoje portfolio mieszkaniowe. Natomiast skupiona wyłącznie na sektorze mieszkaniowym spółka Resi Capital S.A. z powodzeniem realizuje sprzedaż inwestycji własnych. W skład Grupy wchodzi także Cavare – podmiot rozwijający projekty mieszkań na wynajem.

Portfel Grupy obejmuje obecnie 220 tys. m² wynajętej powierzchni biurowej, blisko 7 tys. mieszkań na sprzedaż oraz 1,5 tys. mieszkań na wynajem. Przewagą Cavatina Group jest wewnętrzny łańcuch kompetencji pozwalający na

zarządzanie wszystkimi kluczowymi procesami we własnym zakresie, począwszy od pozyskiwania gruntów, projektowania architektonicznego i wnętrz, wynajmu, sprzedaży i marketingu, po wykończenie i generalne wykonawstwo.

Projekty architektoniczne Cavatiny wyróżniają się niepowtarzalną i ponadczasową architekturą, w ślad za którą podąża funkcjonalność, energooszczędność i indywidualne podejście do potrzeb okolicy. Przy tworzeniu komfortowego środowiska do pracy czy mieszkania, architekci Grupy dbają o wszystkie istotne aspekty projektowania miastotwórczych, zrównoważonych miejsc. Atutami projektów Cavatiny są duża elastyczność w kształtowaniu przestrzeni, zastosowanie nowoczesnych technologii budynkowych i dbałość o strefy zieleni i relaksu.

Projekty Cavatiny znajdują regularnie uznanie także podczas branżowych i architektonicznych konkursów. Wśród wielu nagród warto wspomnieć m.in. o Architecture Masterprize dla Global Office Park, Global Architecture & Design Awards dla kompleksu wielofunkcyjnego WIMA Widzewska Manufaktura czy też Paris Design Awards w kategorii Cultural Architecture za Cavatina Hall.

CAVATINA HALL W BIELSKU-BIAŁEJ

To projekt unikatowy w skali Europy. Poza nowoczesnymi biurami i lokalami usługowymi, powstała nowoczesna sala koncertowa na 1000 osób wraz ze studiem nagrań. Choć Cavatina Hall zainaugurowała swoją kulturalną działalność w grudniu 2021 r., zdążyła stać się kultowym miejscem dla lokalnej społeczności. W świetnie przygotowanej i wyposażonej sali koncertowej widzowie mogli usłyszeć praktycznie każdy rodzaj muzyki – od klasycznej, przez pop i hip-hop, do jazzu i rocka. Cavatina Hall gościła takich artystów, jak Dawid Podsiadło, Sanah, Tommy Emmanuel, Józef Orliński & Il Giardino d'Amore oraz Mroza w ramach trasy MTV Unplugged. W maju tego

Quorum we Wrocławiu



MATERIAŁY PRASOWE CAVATINA x4

Cavatina Hall w Bielsku-Białej



roku zorganizowano Cavatina Guitar Festival dla miłośników gitarowych brzmień, w którym udział wzięło 50 artystów z Polski i zagranicy, dając łącznie 30 koncertów na trzech scenach.

W ramach działającego na zasadach non-profit Cavatina Studio kolejni artyści nagrywają swoje płyty, a w Cavatina Film Production, zajmującym się produkcją i promocją niezależnego kina, zrealizowano już wiele projektów filmowych.



Grundmanna Office Park w Katowicach

GRUNDMANNA OFFICE PARK

Jeden z najnowszych projektów Cavatiny, Grundmanna Office Park, został już trzykrotnie nagrodzony na arenie międzynarodowej. Projekt otrzymał prestiżową nagrodę w konkursie European Property Awards – Five Star Award for Best Office Architecture in Poland. W ramach DNA Paris Design Awards inwestycja Cavatiny otrzymała wyróżnienie w kategorii Architektura – Projekty Komercyjne i Biura; a także tytuł „Gold Winner” w kategorii Office Building Architecture w prestiżowym konkursie International Architecture & Design Awards.

ZRÓWNOWAŻONE BUDOWNICTWO

Jako odpowiedzialny deweloper Cavatina pragnie się przyczyniać do realnej, pozytywnej zmiany, dlatego aspekty zrównoważonego budownictwa wpisuje w każdy etap procesu inwestycyjnego. Za cel stawia sobie systematyczne zmniejszanie negatywnego wpływu realizowanych projektów na środowisko, przy jednoczesnym zapewnieniu maksymalnego komfortu ich użytkownikom. Dąży do tego, by wszystkie projekty biurowe, które tworzy, były efektywne energetycznie. W nadchodzących latach planowane jest zdefiniowanie założeń i określenie potrzeb Grupy, dotyczących stopniowej i zrównoważonej dekarbonizacji, biorąc pod uwagę założenia porozumienia paryskiego, którym jest osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r.

Cavatina minimalizuje wpływ swojej działalności na środowisko naturalne poprzez szereg działań realizowanych na wszystkich etapach projektów – począwszy od wyboru lokalizacji, przez proces projektowania i budowy, na utrzymywaniu/eksploatacji budynku kończąc. Są to przede wszystkim: właściwe gospodarowanie odpadami, redukcja emisji zanieczyszczeń, zmniejszenie zużycia energii oraz wody, używanie wysokiej klasy materiałów budowlanych oraz wdrażanie innych ekologicznych rozwiązań.

Ponadto Cavatina Group, dzięki zgromadzonym wewnątrz kompetencjom, może elastycznie odpowiadać na zachodzące zmiany i sprawnie dostosowywać swój model działania, nastawiając się na obszary o większym potencjale. Wszystkie jej inwestycje biurowe są certyfikowane w międzynarodowym systemie



Liberty Tower w Warszawie

BREEAM, na poziomie Excellent lub Outstanding, i otrzymują wysokie noty we wszystkich kategoriach środowiskowych.

Na potrzeby certyfikacji BREEAM, w odniesieniu do realizowanych budynków, powstały raporty o dostosowaniu każdego z nich do zmiany klimatu. Założenie raportów było następujące: przewidzieć skutki ekstremalnych warunków pogodowych, które wynikają ze zmiany klimatu, i zachęcić do wdrożenia środków mających na celu złagodzenie tych skutków w całym okresie użytkowania budynku.

ZAANGAŻOWANIE SPOŁECZNE

Od 2019 roku działa Fundacja Fiducia – powstała z inicjatywy i dzięki wsparciu Grupy Cavatina. W ramach jej działalności realizowane są takie projekty, jak Cavatina Hall, Holistic Think Tank, Holistic Talk czy Holistic News – własne media w postaci portalu internetowego i magazynu. Celem Fundacji Fiducia jest wyrównywanie szans, zwiększenie dostępności do kultury i sztuki, poprawa jakości edukacji w szkołach i szerzenie szeroko rozumianych działań na rzecz dobra, prawdy i humanizmu. Fundacja realizuje również zadania zachęcające lokalną społeczność do aktywności i realizowania pasji.

W ramach swojej działalności Fundacja Fiducia realizuje interdyscyplinarne programy w obszarze edukacji, które prowadzą do opracowania nowych systemowych rozwiązań. Ponadto, chcąc zapewnić młodym talentom możliwość rozwoju artystycznego, Fundacja finansuje liczne szkolenia dla muzyków, oferuje bezpłatne nagrania ze wsparciem merytorycznym i technicznym oraz organizuje koncerty i spotkania muzyczne. ©

MICHAŁ DUDA:

Co jest najdziwniejsze w pracy muzealników związanych z architekturą? Nie mamy możliwości pokazywania jej samej. Zawsze opowiadamy o niej za pośrednictwem projektów, rysunków, zdjęć, modeli albo historii. Z jednym wyjątkiem – naszej siedziby.



Przebudowa Muzeum Architektury

PIOTR KOSIEWSKI: W 1965 r. powołano Muzeum Architektury i Odbudowy. Do dziś jest jedynym tego typu w Polsce. Skąd pomysł jego powołania?

MICHAŁ DUDA: Obecnie w nazwie Muzeum nie ma już słowa „Odbudowa”, tymczasem ono zapewne okazało się kluczowe dla podjęcia decyzji o jego powstaniu. Wpisywało bowiem Muzeum w ważny w tym czasie mit odtworzenia Wrocławia na gruzach Breslau. Rządzący chcieli stworzyć kilka „kotwic tożsamościowych” budujących lokalną, polską tożsamość.

Od tego czasu Muzeum nieustająco definiuje swoją tożsamość. Po 1989 r. ważnym nurtem w jego działalności stało się przypomnienie architektury przedwojennego Wrocławia, ale też wiele miejsca w jego działalności zajmowała architektura późnego modernizmu, która w III RP długo była wyszydzana. A jak będzie w przyszłości?

Na pewno nadal będzie się to zmieniało. 50 lat temu odkrywaliśmy historyzm, później modernizm. Kolejne pokolenie dostrzegło architekturę PRL-u. Teraz młodzi ode mnie odkrywają postmodernizm. Najważniejsze jest to, że chcemy być instytucją, która pozwoli zobaczyć architekturę w szerszym kontekście.

Naszym zadaniem nie jest prezentowanie mniej lub bardziej wiernie stworzonych modeli poszczególnych budynków, lecz dawanie odbiorcom narzędzi do zrozumienia miejsc, w któ-

rych żyjemy. Dostarczanie wiedzy o genetyce miast, ale też szerzej: całej zagospodarowanej przez człowieka przestrzeni, o tym, jak ona się zmieniała. Ta wiedza ma sprawiać, że będziemy poczuwali się do większej współodpowiedzialności za przestrzeń, w której żyjemy.

Jeżeli będziemy potrafili dostrzec to, co jest wartościowe, na pewno uchronimy przed zniszczeniem ważne komponenty naszego dziedzictwa, do czego jesteśmy zobowiązani wobec kolejnych pokoleń, będziemy też potrafili zrozumieć mechanizmy, które rządziły i nadal rządzą miastem. A to pozwoli na lepsze poruszanie się w rzeczywistości.

To rozszerzanie pola zainteresowań odbija się także w sposobie konstruowania naszej kolekcji – wszystko zaczęło się od zespołu niezwykle cennych detali ze zniszczonych podczas wojny budynków, potem przyszła kolej na klasyków międzywojnia: Bohdana Lacherta, Helenę i Szymona Syrkusów, Jana Koszczyca-Witkiewicza. W 2000 r. częścią Muzeum stało się wrocławskie Archiwum Budowlane – kolekcja ponad 300 tys. projektów dokumentujących rozwój środkowoeuropejskiego miasta od początku XIX w. do nowoczesnej metropolii. Zbiór uzupełniany jest ciągle o nowe nabytki związane z działalnością powojenną, spuścizny Stefana i Marii Müllerów, Haliny Skibniewskiej czy Piotra Wichy.

Wyzwaniem staje się kolekcjonowanie artefaktów projektowych, które nie mają formy materialnej, a wyłącznie cyfrową. To wielkie zadanie, bo zabezpieczenie pamięci o procesach

zachodzących w naszej przestrzeni to temat w dalszym ciągu nieodpowiednio zaopiekowany. W kolekcji i działalności odzwierciedlenie mają trzy ważne dla nas perspektywy: lokalna, krajowa i środkowoeuropejska. Ważne są też dla nas dwa wektory – ten wskazujący wstecz, skupiający się na pamięci i rozumieniu przeszłości, i ten progresywny, polegający na rozszerzaniu perspektywy na różne narracje.

Muzeum opowiada o architekturze, ale często poza nią wykracza, prezentując np. design. Opowiada też o kontekście społecznym czy kulturowym, w jakim powstaje architektura.

Tak, bo trudno odseparować architekturę od wszystkich kontekstów, w których ona powstaje. Zarazem architektura ma bardzo materialny wymiar: jest wynikiem ludzkiej pracy. Zrębem naszej kolekcji są detale architektoniczne pochodzące z budynków, które nie przetrwały do naszych czasów. To one są świadectwem ciężkiej, rzemieślniczej roboty. Jednocześnie mamy świetny zbiór sztuki współczesnej, przede wszystkim pochodzącej z lat 60. i 70. ubiegłego wieku, przykłady abstrakcji geometrycznej, ale też twórców neoawangardowych. Można się zastanawiać, dlaczego właśnie one znalazły się w naszym muzeum. One pokazują, jak bliskie było myślenie w tym czasie architektów i artystów.

Wreszcie, co jest najdziwniejsze w pracy muzealników związanych z architekturą, nie mamy możliwości pokazywania jej samej. Zawsze



MACIEJ KACZOR / MATERIAŁY PRASOWE

opowiadamy o niej za pośrednictwem projektów, rysunków, planów, zdjęć, modeli albo historii. Z jednym wyjątkiem – naszej siedziby. To dla nas najcenniejszy eksponat, o niezwykłej historii, sięgającej późnego średniowiecza. Naznaczony także historią przebudów, zniszczeń i odbudowy. Dlatego bardzo trudnym zadaniem jest czekająca nas modernizacja i rozbudowa Muzeum, bo musimy zderzyć się z potrzebami odbiorców, ale też wyzwaniem, które stawia przed nami współczesność. Chcemy, by to, co powstanie, było równie wartościowe, ciekawe i nieoczywiste, jak wszystkie poprzednie zmiany.

Czy powojenna odbudowa nadal będzie ważnym tematem dla Muzeum?

Stale podejmujemy tematy związane z powojenną architekturą miasta i regionu. Bez niej nie sposób zrozumieć nieprawdopodobnego zjawiska, które wydarzyło się w tej części Europy: od migracji, przez osławianie i próby zrozumienia miejsca, w którym znaleźli się przesiedleńcy.

W przyszłym roku będzie rocznica, jak mówili nasi poprzednicy, „powrotu do Macierzy”. Tym bardziej będziemy opowiadali o tragicznej wielkiej wymianie ludności, która się tutaj wydarzyła. Jest to rzecz wyjątkowa w skali świata. Nauczyliśmy się zapuszczać korzenie w nie swoje podglebie i budować swoją tożsamość z czegoś, co długo było uważane za obce. Ta zmiana przyszła na przełomie wieków. Teraz nie tylko badamy dorobek niemieckiej awan-



JERZY WYPYCH / MUZEUM ARCHITEKTURY

MICHAŁ DUDA jest historykiem sztuki.

W Muzeum Architektury we Wrocławiu pracuje od 2006 r., od roku 2022 jest jego dyrektorem. Autor esejów na temat twórczości architektki Jadwigi Grabowskiej-Hawrylak „Patchwork”, nagrodzonych prestiżową DAM Architectural Book Award. Kurator (wspólnie z Małgorzatą Devosges-Cuber) wystaw poświęconych Jadwidze Grabowskiej-Hawrylak we Wrocławiu i w Nowym Jorku.

gardy architektonicznej, która rozwijała się w latach 20., ale też traktujemy go jako część składową naszej tożsamości. Nie musimy udowadniać prawa do tych terenów.

Jestem dzieckiem Ziemi Odzyskanych. Mam, podobnie jak wielu innych, świadomość tego, że jesteśmy ze „świata obok”. Dawna Polska jest bogatsza o ciągłość, ale uboższa o doświadczenie konieczności, a w pewnym momencie też chęci zrozumienia nakładających się na siebie różnych kontekstów kulturowych.

Na czym ma polegać przebudowa Muzeum?

Chcemy, by możliwie najwięcej zostało ze wspaniałej historycznej przestrzeni średniowiecznego klasztoru, a jednocześnie, by budynek spełniał wszystkie nowoczesne funkcje. Opowiadamy o naszej przemianie, posługując się trójkątem wartości, każdy wierzchołek jest ważny. Pozornie najbardziej oczywista jest tożsamość, czyli ciągłość, którą za wszelką cenę chcemy chronić. Pozostałe dwa wierzchołki to ekologia i dostępność. Każda architektura w pewien sposób negatywnie odcisnęła się na ekosystemie czy na otoczeniu, w którym powstawała.

Dzisiaj, rozbudowując się za publiczne pieniądze, chcemy jak najmniej zaszkodzić ekosys-

temowi, w którym się znajdujemy. A jako instytucja publiczna być dostępnymi dla wszystkich, którzy chcieliby z naszych usług skorzystać.

Budynek zostanie uzupełniony o szereg funkcji, których muzea w dzisiejszych czasach potrzebują, by nie być jedynie miejscami odświeżonej konsumpcji kultury, ale częścią przestrzeni publicznej. Powstaną przestrzenie, w których można kontrolować warunki ekspozycji, ale też przechowywania zbiorów – nasza kolekcja liczy setki tysięcy projektów architektonicznych. Stworzymy nowoczesną pracownię konserwacji papieru. Powstanie też coś, co nazywamy sercem tej instytucji, czyli przestrzeń publiczną służącą edukacji, z księgarnią i kawiarnią.

A jak Muzeum będzie wyglądać?

Chcieliśmy wszystkie przestrzenie zmieścić w historycznych granicach dawnego klasztoru i kościoła św. Bernardyna. To się nie udało i powstanie nowe skrzydło, w którym znajdzie się czytelnia dostępna dla wszystkich. To będzie druga nasza brama na świat. Natomiast okazało się, że najgłębsza rzecz, jaką możemy zrobić, to przywrócić układ funkcjonalny sprzed 500 lat, zaburzony podczas powojennej odbudowy. Odtworzymy zatem dawne wejście, co pozwoli w bardzo prosty i logiczny sposób prowadzić naszych gości po wszystkich przestrzeniach, na których nam zależy, aby były dostępne.

Konkurs architektoniczny zostanie rozstrzygnięty 20 grudnia tego roku. W przyszłym roku ma powstać projekt budowlany, a my musimy zabezpieczyć budżet na tę inwestycję. Otwarcie planujemy na 2029 rok.

Powstanie także wystawa stała.

Kręgosłup czy statement każdej instytucji tworzy wystawa stała, ale z własnego doświadczenia wiemy, że nie można myśleć o niej w dłuższej niż piętnastoletnia perspektywie, bo w pewnym momencie staniemy się Muzeum Muzealnictwa, a nie Architektury. Muzeum musi prowadzić stały dialog ze współczesnością. Prace nad ekspozycją trwają i jedno, do czego jesteśmy przekonani, to to, że ciekawsze dla zwiedzającego będzie zobaczenie materialnego kawałka architektury, niż oglądanie jej na monitorze. Na pewno ekspozycję uzupełnimy o fotografie czy modele architektoniczne, ale one nie będą dominować.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI



Muzeum Architektury
we Wrocławiu

Museum of Architecture
in Wrocław



Krakowskie Rybitwy szansą na lepsze miasto

Park deszczowy na krakowskich Rybitwach – wizualizacja

KINGA DAWIDOWICZ

Zastąpienie przestrzennego chaosu siatką prostopadłych ulic z wysokościami to nie jest dobra recepta na rewitalizację zaniedbanych dzielnic. Konieczne są przemyślane rozwiązania urbanistyczne.

W 2023 r. krakowscy radni odrzucili nierealny projekt „Nowe Miasto” dotyczący rewitalizacji dzielnicy Rybitwy. Zakładał on przeobrażenie znajdującej się tam strefy przemysłowej w dzielnicę mieszkaniowo-biurową. W miejsce hal przemysłowych, zakładów produkcyjnych i terenów zielonych miały wyrosnąć 150-kondygnacyjne wieżowce.

Projekt oprotestowano, a lokalni przedsiębiorcy, reprezentujący różnorodne branże, wskazywali na rażące wady i absurdy planu „Nowego Miasta”. Najważniejsze to utrata miejsc pracy i przychodów miejskiego budżetu (10 tys. zatrudnionych, 10 mld zł przychodów ze sprzedaży), ryzyko zagrożenia powodziowego, nierealność skali, wzmożenie ruchu samochodowego, brak infrastruktury dla mieszkańców czy konieczność wypłacenia ogromnych odszkodowań. Miasto zorganizowało konsultacje społeczne, jednak poza tym gestem dobrej woli nie zaproponowało

żadnej alternatywy dla kontrowersyjnego projektu.

KLASTER RYBITWY

Odpowiedzią na ten stan rzeczy okazała się Fundacja Rozwoju Przedsiębiorczości „Klaster Rybitwy”. Działający w jej strukturach przedsiębiorcy rozpoczęli poszukiwania rozwiązań sprzyjających rozwojowi dzielnicy i niwelujących obecne problemy urbanistyczno-architektoniczne. Tak powstał projekt „Lepsze Miasto – Synergia Park”. Projekt został zlecony pracowni architektonicznej Q-ARCH. Autorami opracowania zostali architekt Robert Kuzianik oraz zaproszony do współpracy Janusz Sepiół, obecnie główny architekt miasta Krakowa.

„»Lepsze Miasto – Synergia Park« – jak mówi Robert Kuzianik – jest wynikiem wnikliwego przyjrzenia się terenowi, który z pewnością nie należy do łatwych. Analiza dotyczyła różnych aspektów, przede wszystkim problemów i wyzwań, z którymi ten teren się mierzy, ale też dobrych cech, które posiada. Jest to teren przemysłowy, choć nie do końca. W części analizowanego kwartału znajduje się osiedle Złocieniec”.

Charakterystycznymi cechami tego obszaru jest jego peryferyjność, chaos przestrzenny, degradacja środowiska i niewydolność transportowa. Pod tymi związłymi ha-

łami kryją się szersze i złożone problemy, z którymi na co dzień muszą się mierzyć mieszkańcy i przedsiębiorcy. Do najważniejszych należą: niedostatek usług publicznych, słabo rozwinięta sieć drogowa, brak szynowego transportu publicznego, zanieczyszczenie odorowe generowane przez sąsiadującą oczyszczalnię ścieków, zdegradowane tereny zielone, a także wysokie zagrożenie powodziowe.

SYNERGIA PARK – ALTERNATYWĄ DLA CHAOSU

Tak wymagający teren potrzebował kompleksowych propozycji i rozwiązań, które zostały zawarte w projekcie „Lepsze Miasto”. „Zadaliśmy sobie pytanie, czy zamiast jednego planu nie powinny powstać cztery mniejsze, dotyczące czterech różnych zagadnień. Zaproponowaliśmy strefy, w skład których wchodziłyby tereny zielone, część biznesowo-usługowa, park przemysłowy i osiedle Złocieniec” – mówi Kuzianik. Sprzeciw wobec projektu przedstawionego przez miasto wyszedł poza ramy jałowego protestu i zaowocował przedstawieniem alternatywnego projektu, co okazało się niezwykle cenne.

Podobnie tę sprawę widzi Janusz Sepiół, który podkreśla innowacyjność projektu i fakt, że ze sprzeciwu wobec złego sposobu planowania miasta, narzucenia arbitralnej



MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA X2

siatki urbanistycznej i nierealnej koncepcji urodził się zamysł skutecznej recepty dla tego obszaru: „Można powiedzieć, że propozycja Nowego Miasta krępowała tę żywą materię, dlatego że ten obszar, wbrew pozorom, jest miejscem bardzo intensywnych procesów urbanizacyjnych. Tam się bardzo dużo buduje, wiele się dzieje. Jest miasteczko Złocien, są nowe hale, drogi, dużo prywatnych inwestycji i na to wszystko postanowiono nałożyć kratę, która unicestwiłaby te działania”.

PRZEMYSŁ I KOMUNIKACJA

Rdzeniem i sercem Rybitw jest część przemysłowa, w której realizują się funkcje produkcyjne, wytwórcze i magazynowe. Projekt „Lpszego Miasta” zakłada na tym obszarze poprawę układu komunikacyjnego i transportu publicznego. Niezbędnym ułatwieniem miałyby być kładka dla pieszych nad kolejną ze stacji Bieżanów oraz nowy dworzec autobusowy. Dzięki tym zmianom obszar przemysłowy nabierze spójności i nadal pozostanie miejscem pracy wielu ludzi. Stworzono by również bufor przestrzenny pomiędzy częścią mieszkalną a oczyszczalnią ścieków.

Istotnym elementem projektu „Lpsze Miasto” miałyby być sieć linii tramwajowej i udostępnienie mieszkańcom połączenia z linią kolejową. „Warunkiem sensow-



Brama Krakowa – wizualizacja

nego rozwoju, zwłaszcza samego Złocienia, jest dojazd tam tramwajem, który wiąże się z przystankiem kolejowym, czyli możliwością integracji tych dwóch systemów transportu w węzeł komunikacyjny. Kraków jest w przededniu, użyję tego słowa: rewolucji, dlatego że od wielu lat pojawiały się marzenia o wykorzystaniu linii kolejowej do transportu publicznego, zwłaszcza aglomeracyjnego. Ale stało się to możliwe dopiero teraz – po przeprowadzeniu przez całe miasto dodatkowej pary torów” – zwraca uwagę Janusz Sepioł. Podkreśla, że obszar ten da się obsłużyć tramwajem i dodatkowo spiąć linią kolejową. W wyniku tego peryferyjny i wykluczony obszar ma szansę stać się terenem uprzywilejowanym. Pozwoli to odciążyć ruch samochodowy.

MIASTO 15-MINUTOWE – TO JEST MOŻLIWE

„Synergia Park” to również rozwiązanie problemów części mieszkaniowej osiedla Złocien. Zakłada zapewnienie mieszkańcom dostępu do komunikacji miejskiej, terenów zielonych, placu w centrum, który pełniłby funkcje społeczne. Robert Kuzianik przypomina, że proponowane rozwiązania to zwrot w stronę projektowania, które obowiązywało dawniej. „W praktyce zastosowaliśmy metody programowania urbanistycznego dla jednostek mieszkalnych. Przeprowadziliśmy analizę, aby wyliczyć dokładnie program usług dla jednostki około 25 tys. mieszkańców. Taka jednostka nazywana jest podstawową jednostką kontaktów społecznych. To jest właśnie ten model, gdzie są szkoły, zieleń, sklepy w zasięgu wszystkich mieszkańców”.

Dzięki tej analizie możliwe jest powstanie modelu miasta 15-minutowego, czyli obszaru, w którym dostęp do niezbędnych usług czy terenów rekreacyjnych jest moż-

liwy w czasie 15 minut spacerem lub jazdy rowerem. Takie podejście daje szansę na jego realizację nawet na terenie dalekim dziś od tych założeń.

BRAMA DO BIZNESU

Park biznesowy to trzeci obszar, który wchodzi w plan projektu Kuzianika i Sepioła. Obaj zgadzają się, że peryferyjne południowe tereny Krakowa zyskają na wybudowaniu tam wielkopowierzchniowego centrum handlowego, które stanęłoby w miejscu po opuszczonych Zakładach Garbarskich. Symboliczną Bramę Miasta stanowiłyby natomiast cztery biurowce, o maksymalnej wysokości 50 metrów, które byłyby gestem w stronę nowoczesności, będąc też punktem orientacyjnym w krajobrazie miasta. Galeria handlowa miałyby szansę przyciągnąć również osoby spoza gminy Kraków. Zapewne w dość krótkim czasie pomogłoby to zrekomensować wydatki publiczne poniesione w związku z inwestycją.

Przemysłowy charakter obszaru złagodzono w projekcie rozległymi obszarami zielonymi. Park Deszczowy (171,2 ha), poza zabezpieczeniem przed powodzią, oferowałby atrakcyjne funkcje sportowe, a arboretum, pomyślane na wschód od obwodnicy Krakowa, jak podkreśla Janusz Sepioł, znacząco podniosłoby atrakcyjność obszaru.

Synergia, nazwa zaproponowana przez Klaster Rybitwy, jest nieprzypadkowa. To właśnie na współistnieniu zabudowy mieszkaniowej, usługowej, przemysłowej i zieleni oparto sens projektu. Być może najistotniejsze jest to, na co zwraca uwagę Janusz Sepioł mówiąc, że „ten projekt pokazuje, że można działać inaczej, nie drogą gigantycznych programów, tylko drogą analizy wartości danego miejsca. Łatwiej wtedy znaleźć sojuszników dla takiego rozwiązania”. ©



MARTA EISMONT / MATERIAŁY PRASOWE MSN x2

Nowy gmach Muzeum Sztuki Nowoczesnej na placu Defilad. Obok jedno z wnętrz MSN. Warszawa, maj 2024 r.

Światło Warszawy

THOMAS PHIFER, ARCHITEKT:

**Światło jest bazowym materiałem architektury.
W Polsce jest niezwykle: zmienne, kapryśne.
Chciałem, by połączyło mieszkańców
Warszawy z budynkiem MSN.**

JACEK TARAN: Przyjechałeś do Warszawy po raz pierwszy w 2014 r. Jakie było Twoje pierwsze spotkanie z miastem?

THOMAS PHIFER: Miałem tu być tylko dwa dni, a zostałem tydzień. Nie znałem tego miasta wcześniej, moje wyobrażenie o nim było dość mgliste. Kiedy jednak pierwszy raz spotkałem zespół muzeum, zacząłem poznawać samą placówkę i równocześnie eksplorować Waśszą stolicę, poczułem, że jestem świadkiem niezwykłego odrodzenia artystycznego. Ta zmiana, która się dzieje w mieście, w mieszkańcach, w mentalności ludzi, była dla mnie urzekająca. Poczułem się jak świadek historycznych i kulturowych przemian. Chciałem być częścią tego renesansu. To było wówczas bardzo silne uczucie.

Zdawałeś sobie sprawę z historycznego znaczenia miejsca, jakim

jest plac Defilad z Pałacem Kultury i całym otoczeniem?

Muzeum znajduje się w bardzo trudnej przestrzeni pomiędzy Pałacem wraz z jego historią oraz komercyjną architekturą, która została zbudowana po II wojnie światowej. Byliśmy tu pomiędzy dwoma bardzo wyrazistymi punktami. Z jednej strony było to spore utrudnienie, ale z drugiej – ogromna szansa na zrobienie czegoś ponadczasowego. One wyznaczały nam ramy tego przedsięwzięcia i podpowiadały jego charakter. Trzeba było umieć odczytać ten kontekst.

Dlatego bardzo ważne wydało mi się to, żeby stworzyć budynek odzwierciedlający wartości instytucji, która będzie z niego korzystać. Ale chciałem też, żeby powstał budynek będący po prostu mocną architekturą. Taką, która będzie trwała jako wyraz głosu reprezentowanej instytucji.

Poszukiwaliśmy zupełnie nowej ekspresji, czegoś, co nie będzie miało cech budynku komercyjnego ani nie będzie pałacem czy pomnikiem. Chciałem, żeby to było coś, co nazywam „witryną światła”. Jak się uważnie przyjrzyysz, to dostrzeżesz, że ten budynek jest zbudowany właśnie ze światła. To światło Warszawy.

Bardzo często, opowiadając o swoich projektach, mówisz o roli światła.

Światło jest dla mnie materiałem bazowym architektury. Chciałem, by połączyło mieszkańców Warszawy z tym miejscem. W Polsce światło jest niezwykle: zmienne, kapryśne. Pory roku wpływają na zmiany koloru światła – latem, zimą, jesienią, to wszystko jest cały czas w ruchu, żyje. Chcieliśmy to pokazać.

Pomysł był taki, żeby światło było częścią doświadczania sztuki. Aby sztuka, doświadczenie i światło były całkowicie nierozłączne. To jest główna idea tego projektu, z niej wyrastają wszystkie inne decyzje architektoniczne i konstrukcyjne.

Kiedy wchodzisz na najwyższe piętro, całe to światło przechodzi przez ciebie. I przestrzeń, która zdaje się magazynować światło, może wręcz dawać poczucie oświecenia. Stajesz się połączony z miastem i jego światłem. Budynek ma wiele okien właśnie dlatego, żeby nie tracić kontaktu z Warszawą. Ten budynek to światło Warszawy.



Obok muzeum powstanie budynek Teatru Rozmaitości. Jest mocno skonstrastowany z gmachem MSN. Różni go właściwie wszystko – kolor, materiały, bryła. Dlaczego te budynki są tak różne od siebie?

Każdy z tych budynków ma za zadanie definiować etos instytucji. Muzeum jest gablotą światła, w której obecna jest sztuka. Wszystko inne musi odejść, zniknąć. Teatr budzi zupełnie inne skojarzenia. Przywołuje wyobrażenia o zacienionych pokojach, kulisach, scenografii, specjalnym oświetleniu dla spektaklu, zupełnie innym od światła, które jest w muzeum. W tym wszystkim są też aktorzy i publiczność. Chcieliśmy, aby te wrażenia były obecne w projekcie. Ten budynek to studium cienia. Spektakl zaczyna się już wtedy, gdy kierujesz do niego swoje kroki. Muzeum to światło, a teatr to cień.

Tyle światła to też mnóstwo energii. Architektura odpowiada za 40 proc. śladu węglowego.

Budynek MSN jest pomyślany tak, że przy świetle dziennym możemy wyłączyć światła i zaoszczędzić ogromną ilość energii każdego roku. Zastosowaliśmy też specjalną izolację dla budynku, która chroni przed utratą ciepła. Energia, którą pozwala tu zaoszczędzić światło dzienne, jest naprawdę bardzo duża.

Kiedy mówisz o swoich projektach muzealnych, często porównujesz je do świątyń. Jak to może wpłynąć na zwiedzających MSN, jak będą się tam czuć?

Chcieliśmy stworzyć przestrzeń, która będzie wpływać na przeżycia duchowe. Ważne było dla nas, żeby ludzie, przyjeżdżając z miasta, zanim wejdą do wnętrza budynku, przechodzili przez arkadę. Myśle, że będzie to część, w której zagłębimy się w ciszę przygotowującą zwiedzających na wejście w głąb budynku.

Potem centralne schody, na których będzie już gwar, rozmowy, hałas. One będą skąpane w świetle, z nich przechodzi się do galerii, gdzie, mam nadzieję, będzie już zupełnie cicho, bo przecież nikt nie kontempluje sztuki w hałasie, w gwarze. Ta cisza połączona ze światłem pozwoli lepiej dostrzegać sztukę i otworzyć się na obcowanie z nią, na jej doświadczenie.

Potem można usiąść na ławce, popatrzyć na perspektywę, jaką otwiera ten budynek, można przejść do biblioteki. Suma tych przeżyć powinna sprawić, że budynek stanie się świątynią, w której poczucie ciszy i światła wzmacnia przeżycie obcowania ze sztuką.

To będzie też budynek całkowicie dostępny, pozbawiony barier, które często są zmurą starszej architektury. Do każdego miejsca będzie można wjechać windą, wszędzie wejść. To wynika też z idei gmachu jako budynku otwartego dla każdego. Świątynia musi być dostępna.

Warszawa to miasto, w którym mocno obecny jest modernizm. Jaki wpływ miał warszawski modernizm na Twoje myślenie o projekcie?

Kiedy przyjeżdżasz do nowego miasta jako architekt, patrzysz, co tu powstało wcześniej, uczysz się tego. Patrzysz na wszystko, co jest dookoła, na historię

miejsca, zaczynasz splatać narrację budynku z terenem. Jednak ważniejsze wydaje mi się znalezienie zupełnie nowego wyrazu. Tradycja jest ważna, ale nie może być dominantą w myśleniu o przyszłości. Projekt MSN ma ambicje odkrycia nowego wyrazu współczesnej Warszawy.

Jesteś znany z tego, że ciągle projektujesz w sposób tradycyjny, postępując się ołówkiem i drewnianymi modelami. W czym ta metoda ma przewagę nad nowoczesnymi sposobami pracy?

Myślę, że to jedyny sposób, aby naprawdę zrozumieć to, co robisz, dokąd prowadzi cię twoja myśl, dokąd zmierza projekt. Oczywiście, że możesz wymodelować to na komputerze, możesz stworzyć różne perspektywy, ale jedynym sposobem, aby naprawdę zrozumieć budynek, jest budowanie fizycznych modeli. Pracujemy w drewnie.

W mojej pracowni mamy osobę, która jest jak stolarz w warsztacie modelarskim. Robi nam piękne, bardzo duże modele, aby jak najbardziej zbliżyć się do tego, co ma powstać, aby możliwe było jak najwierniejsze symulowanie skali, światła i przestrzeni.

Kiedy rozmawiam z mieszkańcami Warszawy, a nawet z architektami, to myślę, że trudno im będzie pokochać ten budynek. Budzi kontrowersje.

Powiedziałbym im tylko dwa słowa: przyjdź i doświadczyć. Ten budynek to zaproszenie do przeżycia i dialogu. Opinie wydane pochopnie, bez możliwości doświadczenia miejsca, często ulegają weryfikacji po bezpośrednim kontakcie. ➔

→ Myślę, że gdy ludzie przyjdą i spędzą popołudnie w tym gmachu, poznają jego wnętrze, światło, przestrzeń, to go pokochają. Zdaje sobie sprawę z tego, że to nie jest łatwy w odbiorze projekt, wymaga zaangażowania, ale to też stanowi o jego sile. To normalne, że budynki, które są tak radykalne w swojej formie, potrzebują czasu, żeby się zrosnąć z miastem, stać się częścią jego tkanki i też jego kultury. Przecież paryskie Centrum Pompidou, kiedy powstało, było jednym z najbardziej znieprawdopodobnych budynków w Paryżu. Podobnie było z piramidą przy Luwrze. Ludzie pytali: dlaczego oni nam to robią? Dziś trudno sobie wyobrazić Paryż bez tych miejsc.

Zatem jest to budynek dla przyszłych pokoleń?

W Europie jest wiele przykładów wspaniałej architektury i jestem dumny z tego, że buduję w jednym z największych miast kontynentu. Miałem świadomość odpowiedzialności i znaczenia tego budynku dla Polaków. Uważam dziś, że może on być powodem do dumy dla mieszkańców Warszawy, którzy zobowiązali się do jego budowy. Architektura powinna być wyrazem głosu czasów, w których powstaje. To nie są dzieła z XVIII czy XIX wieku. To współczesne dzieła architektury, które w istocie są głosem ludzi tego kraju. Chodzi o ten rodzaj języka, który umożliwia dzielenie się wspólnym przeżyciem, który zaprasza do spotykania się w budynku i spotykania się ze sztuką. I gmach MSN jest właśnie takim głosem. To budynek dla ludzi, którzy chcą się spotkać, żeby wspólnie doświadczyć czegoś nowego.

Jak wyglądała współpraca z zespołem MSN? Czy ich sugestie miały wpływ na ten proces, czy pokazałeś im może coś zupełnie zaskakującego, czego się nie spodziewali?

Długo mi zajęło zrozumienie tego, co powinienem tu zbudować. Nie była to natychmiastowa reakcja, takie rzucenie szkicu przez ramię i oto macie, już jest. Spędziliśmy bardzo dużo czasu na rozmowach, na poznawaniu potrzeb, określeniu funkcji. Mam doświadczenie w projektowaniu gmachów muzealnych, ale za każdym razem musisz podejść do tej pracy, jakbyś nic nie wiedział o tym miejscu. Trzeba było też wsłuchać się w głos



JACEK TARAN

THOMAS PHIFER jest amerykańskim architektem specjalizującym się w projektowaniu muzeów. W 2020 r. jego projekt rozbudowy muzeum w Glenstone zdobył Narodową Nagrodę Honorową od Amerykańskiego Instytutu Architektów. W 2022 r. został dożywotnim członkiem Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury. Mieszka w Nowym Jorku.

artystów, polityków, ludzi na wydarzeniach publicznych. Potrzeba było cierpliwości i uczenia się wielu rzeczy od nowa. Składałem wiele różnych propozycji, a każda z nich uczyła nas wspólnie czegoś nowego.

Architekci często mówią, że nie można przyzwyczaić się do pierwszej wersji projektu. Ile wersji powstało przed tą ostateczną?

Najlepsza jest zawsze ta wersja, która dopiero oczekuje na swoją kolej. Mieliśmy wiele różnych pomysłów. Architektura to praca, w której musisz być niezwykle skoncentrowany i cierpliwy, bo efekty przychodzą bardzo powoli. Musisz słuchać miejsca, w którym pracujesz. Musisz słuchać i nie pozwolić sobie na uleganie jakimś szumom, które by mogły zakłócić ten głos. Ale musisz też słuchać siebie samego i ufać temu, jaką naukę daje ci miejsce, w którym pracujesz. Jeśli masz silne poczucie, że to, co tworzysz, jest właściwe, współgra z całym kontekstem miejsca, to po prostu nie rezygnuj z tego pomysłu.

Co dla Ciebie było decydującym momentem w tym projekcie? Takim, po którym powiedziałeś: mamy to.

Nie ma jednego decydującego momentu. To proces, który zaczął się wtedy, gdy w końcu zrozumieliśmy, że musimy stworzyć naprawdę ciężką architekturę. Mówię tu o architekturze, która w swojej formie jest ciężka, ale też abstrakcyjna i że musi być na tyle abstrakcyjna, by mogła wrosnąć i żyć w tym mieście.

Wtedy zaczęliśmy szukać kierunku do tego celu. Jestem przekonany, że to się udało. Wielkie filary, które podtrzymują budynek w arkadach. Monumentalny ciężar, jego skala. Zaczęliśmy to kochać, bo dało nam poczucie, że po wielu próbach wreszcie idziemy właściwą drogą.

Kiedys przez rok mieszkalem w Rzymie i czasami wyobrażałem sobie, jak by to było wejść do term Karakalli. Jak by to było z tym społecznym doświadczeniem kąpeli w tak ogromnym, monumentalnym budynku, który jest o wiele większy, niż powinien być. Część tego doświadczenia możesz odkryć tutaj – dwa najwyższe piętra mają siedem i pół metra wysokości. Kolumny nie możesz objąć rękami. Są zbyt duże i ciężkie.

Za każdym razem, gdy przechodzisz przez ścianę z galerii do galerii, czujesz ten ciężar. Nic tu nie jest lekkie, ażurowe, ulotne. Wszystko się kręci wokół tego poczucia trwałości i ciężaru. To fundament, bo przecież sztuka, kultura to najtrwalsze fundamenty budujące społeczeństwo.

Gdyby były niższe sufity, ciśniejsze przestrzenie, myślę, że stracilibyśmy tę wyjątkową jakość. Nie poczulibyśmy ducha budynku.

Jaka będzie architektura przyszłości? Jakie wyzwania stoją przed architektami?

Myślę, że przez lata powstawały budynki, które zbyt często były zamykane. Od kilku lat obserwujemy trend w końcu otwierający przestrzenie. Każę myśleć o budownictwie otwartym i dostępnym, ale też takim, które łączy ludzi z naturą.

Natura to nie tylko drzewa i nasadzenia, natura to światło, wiatr, powietrze, a przede wszystkim ruch. Połączenie tych dwóch sił – ruchu i światła, może stworzyć nową definicję architektury. Ruch światła definiuje nasze życie i określa nasze dni, programuje nasze zachowania, które przecież są inne zależnie od pór roku, od cyklu przyrody. Ruch światła definiuje miejsce, w którym żyjemy.

Mam nadzieję, że w miarę zmierzania w przyszłość będziemy wkładać wiele wysiłku w łączenie ludzi z naturą i ze światem wokół nich. Musimy wrócić do prostoty, do jedności ze światem. To powinno być coś więcej niż budynki przypominające jaskinie.

Architektura potrzebuje etyki

MICHAŁ SOWIŃSKI

**Budynki nie powinny szczelnie oddzielać od tego, co na zewnątrz,
tworzyć wyizolowanych, obojętnych na wszystko mikroświatów.
Podstawową funkcją architektury jest dbanie o wspólnotę.**

Doświadczenie architektoniczne, jak udowadnia Filip Springer w swojej najnowszej książce „Szara godzina” (choć oczywiście nie tylko w tej), jest czymś, czego nie da się opowiedzieć słowami ani wyrazić obrazami. Trzeba to poczuć. Architektury nie można sprowadzić wyłącznie do parametrów technicznych. Budynki – poza jakościami infrastrukturalnymi i estetycznymi – niosą za sobą także istotne treści polityczne i społeczne. Jednak o nich dużo trudniej nam dyskutować, trzeba je przetestować w praktyce.

Dobrze oddaje to fenomen wielu konkursów architektonicznych, o których Springer wyraża się bardzo gorzko. To, co wygląda ładnie na zdjęciach, często pomyślane jest przede wszystkim właśnie jako atrakcja natury instagramowej – błyszczący, ale nie spełnia swojej wspólnotowej funkcji, nie tworzy przyjaznej i użytecznej dla wszystkich przestrzeni.

Springerowi nie chodzi jednak o krytykę konkretnych obiektów, ale o kwestię znacznie bardziej fundamentalną – to postulat przemyslenia podstawowych założeń architektury w ogóle. W skrócie można wyrazić go hasłem „budujmy mniej” – raczej dogęszczajmy to, co już istnieje, przebudowujemy, adaptujemy. W kraju, gdzie średnia cena za metr kwadratowy mieszkania jest jedną z najwyższych w Europie, może to wciąż brzmieć zadziwiająco, niemniej tego typu myślenie staje się na świecie coraz popularniejsze w planowaniu wspólnych przestrzeni.

Powód jest prosty – nasza planeta ma ograniczone zasoby, a poziom zanieczyszczeń jest już katastrofalny. Sama produkcja cementu odpowiada za 8 proc. emisji gazów cieplarnianych – to dwa razy więcej niż cały transport morski i lotniczy. Jeśli doliczymy do tego koszty środowiskowe transportu materiałów, samej budowy, ale też – co ważne w tym kon-



Filip Springer
SZARA GODZINA.
CZAS NA NOWĄ ARCHITEKTURĘ
Karakter, Kraków 2024

tekście – wyburzania istniejących obiektów, to okazuje się, że mamy wielki, ale zaskakująco słabo zaadresowany problem. Może to dziwić, biorąc pod uwagę, że cały przemysł budowlany odpowiada aż za 40 proc. globalnej emisji gazów cieplarnianych.

To oczywiście fragment dużo szerszego zjawiska, związanego z kapitalistycznym modelem konsumpcji, który, jak do tej pory, opiera się najroźniejszym próbom przeformułowania. Mówienie o konieczności zmiany narracji brzmi dziś już jak zdarta płyta, jednak to wciąż, w połączeniu z politycznymi regulacjami, najlepszy sposób na minimalizowanie skutków kryzysu klimatycznego.

„Szara godzina” adresowana jest do szerokiego grona odbiorców – ale jest też rewizją paradygmatów, w obrębie których funkcjonują architektki i urbaniści. Dziś, pod presją rynku deweloperskiego, dominuje myślenie krótkoterminowe. I nie chodzi wyłącznie o szybki

zysk, ale przede wszystkim brak wizji. Ciekawy przykład od Springera – grodzono osiedla. Niby nikt ich nie lubi, a jednak masowo się na nie godzimy, bo szybko realizują potrzebę bezpieczeństwa. W praktyce jednak blokują choćby budowanie relacji społecznych czy rozwijanie życia osiedlowego. A to właśnie te elementy w dłuższej perspektywie znacząco podnoszą jakość życia (nie trzeba na to przytaczać żadnych z wielu przeprowadzonych badań).

Kształt tkanki miejskiej powinien być ustalany w perspektywie dekad, a nawet wieków. Wszak miasta, w których żyjemy, zakładano wiele pokoleń temu, a raz ustalone, trwale determinują nasze życie społeczne. Architektura i urbanistyka odarta z elementu etycznego – długofalowego dbania o naszą wspólną przestrzeń – jest pułapką, z której jak najszybciej powinniśmy się wydostać.

Oczywiście łatwo jest narzekać, trudniej zaproponować konstruktywne rozwiązania. Kryzysy jednak mają to do siebie, że otwierają nowe możliwości – ułatwiają forsowanie pomysłów, które jeszcze niedawno brzmiałyby niedorzecznie. Coraz trudniej udawać, że możemy budować bez ograniczeń i wymagać od projektantów, by spełniali coraz to bardziej wyszukane kaprysy inwestorów.

Architektura powinna dopasowywać się do komplikujących się realiów świata i mieć na nie wpływ. Budynki – zarówno prywatne, jak i publiczne – nie powinny szczelnie oddzielać od tego, co na zewnątrz, tworzyć wyizolowanych, obojętnych na wszystko mikroświatów. Architektura musi wrócić do swojej podstawowej funkcji, czyli organizowania „swojego miejsca tak, by było nam w nim dobrze, również z innymi ludźmi wokół”, jak pisze Springer. Postulat brzmiący sensownie w swojej prostocie. Oby przyjął się jak najszybciej, bo szara godzina wkrótce zmieni się w ciemną noc. ©P

KOBIETY Z PAPIERU

Trzy autorki bestsellerów, trzy pokolenia, miliony sprzedanych książek. Piszą dla kobiet i o kobietach, ale ich bohaterki wydają się pochodzić z innych planet. Czy umiałyby się ze sobą porozumieć?

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

TUŻ PRZED CZTERDZIESTYMI URODZINAMI, wkraczając niespiesznie w smugę cienia, zadałam sobie niebezpieczne pytanie, czy moja wersja sprzed dwudziestu lat byłaby zadowolona z mojej wersji bieżącej. Odpowiedź jest oczywista. Nie byłaby. Raczej słabo rozpoznaby swoje marzenia w mojej codzienności. Także moje aktualizacje, które nastąpią za dekadę i dwie, pewnie będą zawodem dla mnie dzisiejszej. Ale wiem, co będzie łączyć mnie sprzed lat, obecną mnie i tę za x lat. Chodzi o szukanie ukojenia w literackich portretach kobiet: poszukujących, spełnionych i zawiedzionych. Te z najpoczytniejszych tytułów można traktować jako barometr społecznych oczekiwań wobec kobiet i wyobrażeń ich aspiracji.

Dlatego sięgam do książek trzech polskich autorek z czołówki list bestsellerów: Katarzyny Grocholi, Małgorzaty Oliwii Sobczak i Aleksandry Nęgrońskiej. Reprezentują one trzy pokolenia kobiet, pisarek i dostarczycielek czytelniczej terapii. Ciekawi mnie, jakie są protagonistki ich powieści i jak odbijają się w nich zmiany kulturowe. Interesuje mnie też, czy bohaterki ich książek miałyby sobie coś do powiedze-

nia. Czy mimo że są skrojone pod określone typy czytelniczek, może między nimi zaistnieć kobiecy dialog międzypokoleniowy?

Wyluzuj, czytelniczko!

Katarzyna Grochola (ur. 1957) ma na koncie przeszło 4 miliony sprzedanych książek. Debiutowała powieścią o małżeńskiej zdradzie, pt. „Przegryźć dżdżownicę”, w roku 1997, gdy uchwalono konstytucję III RP, do kin wchodził „Titanic”, a ideałem piękna były supermodelki, którym po piętach deptały dwudziestolatki ze Spice Girls. Kultura popularna nie była krajem dla dorosłych kobiet, które zawiodły się na marzeniach, lecz nie chciały zakładać czapki niewidki.

Opublikowane już na początku wieku „Nigdy w życiu!” i kolejne książki z cyklu „Żaby i anioły” może nie były wydarzeniem literackim, ale socjologicznie miały wagę ciężką. Historia Judyty, zdradzonej żony i matki nastoletniej córki, pokazywała, że istnieje życie po rozwodzie, a zamiast kurczowo trzymać się mężczyzny, lepiej troszczyć się o damskie przyjaźnie.

Pierwsze powieści Grocholi traktowano jako odpowiedź na bestsellerowe książki o Bridget Jones, których autorka



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Helen Fielding jest niemal rówieśniczką Polki. Ale mówienie o imitacji byłoby niesprawiedliwe. Judyta po babkach odziedziczyła nie tylko kompleksy, ale trzeźwość spojrzenia i gospodarność w dysponowaniu polskimi złotówkami. Ówczesne czytelniczki, a potem widzki filmowej ekranizacji bawiły zwłaszcza sceny z udziałem nieporadnej ekipy fachowców z Podhala wznoszących niezarabiającej kroci dziennikarce Judycie piękny dom na wsi. A że były to czasy sprzed boomu mieszkaniowego i windowania do nieba



Czytelniczki na Targach Książki i Mediów Vivelo. Warszawa, 18 maja 2024 r.

cen w budowlance, można było w tę bajkę od biedy uwierzyć.

Grochola prezentowała się wiarygodnie w podwójnej roli – dowcipnej pisarki i kobiety, która z niejednego pieca chleb jadła. Biecznym rezerwuarem pomysłów do prozy okazał się, jak sama przyznawała, epizod pracy w biurze matrymonialnym. Perypetie bohaterów były niestworzone, lecz z protagonistkami można było sobie przybić piątkę. Chaotyczne perfekcjonistki, siostry łąły i śmiertelnie poważne trzpiotki budziły

sympatię. Pisała w „Osobowości ćmy” o miłosnych układankach w kręgu przyjaciół, o romansach międzynarodowych w „Miłości w cieniu słońca”, przytaczała perspektywę męskiego bohatera w „Houston, mamy problem”, popęłała książkę autobiograficzną „Zielone drzwi”, a kilka lat temu zaskoczyła kryminałem „Zranić marionetkę”.

Badacze literatury dla kobiet, Katarzyna Wodniak i Andrzej Rostocki, już kilkanaście lat temu zwracali uwagę na to, że choć Grocholę okrzyknięto mia-

nem „psychoterapeutki Polek”, to podobną rolę odegrała dla rodzimego rynku książki, *de facto* „utrzymując go przy życiu”. Od 2004 r. do dziś plasuje się w czołówce czytelniczego kanonu literatury obyczajowej (wg systematycznych badań Biblioteki Narodowej „Stan czytelnictwa w Polsce”).

Ale potrzeby gatunkowej literatury kobiecej musiały nadażyć za kulturową zmianą. Melodramatyczne sceny w deszczu musiały ustąpić miejsca korporomansom z pejczem i kajdankami w roli

→ afrodyzjaków, erotycznym fantazjom na temat mafii (*vide*: fenomen „365 dni” Blanki Lipińskiej) oraz historycznym harlequinom, jak „Bridgertonowie” Julii Quinn. Grochola pozostała z wiernymi fanami, pozwalając plotkarskim mediom, by uczyniły z niej swoją ulubienicę. Donoszono o jej kłopotach z mężczyznami, nowej miłości i rodzinnych koligacjach sięgających Jerzego Urbana. Dla wielu stała się matką swojej córki, osobowości medialnej – Doroty Szelałagowskiej. Kiedy poważnie zachorowała, też nie obyło się bez asysty mediów.

W tym roku ukazała się powieść, w której Grochola robi wolte. Niech nikogo nie zmyli pogodna okładka i żartobliwy tytuł „Wyluzuj, kobieto!”. To nie jest powieść ku pokrzepieniu serc, lecz ku przestrodze. Wiktorię trudno jest lubić. Zapomniała, że kiedyś była młoda i zdarzały jej się niekontrolowane porywy serca. Na baczności niech się ma poniewierany mąż, a zwłaszcza dorosły syn, który „wymyślił sobie”, że oświadczy się dziewczynie, z którą od paru lat jest związany. Plany ukochanego Piotrusia prowokują bohaterkę do litanii pomstowań rodem z dziewiętnastowiecznych poradników Klementyny Hoffmanowej dla młodych panien.

Zdaniem Wiktorii, skądinąd wszechstronnie wykształconej artystki, przyszła naręczona jest sprawczynią olbrzymiego nieszczęścia, jakim jest odebranie matce jedynego dziecka. „Dobrze wychowana dziewczyna nie pakuje się od razu do łóżka z chłopakiem! Jakoś siebie szanuje! I fakt, że zamieszkali razem, już o niej świadczy!” – peroruje. Synek musi się wyśzumić i ma prawo do przedślubnego życia seksualnego, ale dziewczyna – co to, to nie! Czytając te słowa, czytelniczka, żyjąca podobnie jak Wiktorii w wieku XXI, przeciera oczy ze zdumienia.

Oczywiście jest to pastisz, ale i gorzka diagnoza, choć chyba niezamierzona. Całą tę emancypację, która miała trafić pod strzechy, te lata upominania się o kobiecą perspektywę w literaturze popularnej można wyrzucić do kosza, skoro protagonistka powieści jednej z najpoczytniejszych pisarek jest bardziej konserwatywna od własnej teściowej. Odczarowanie demonicznej w kulturze figury teściowej poczytać zresztą należy za jeden z najcenniejszych, bo nielicznych zysków z lektury „Wyluzuj, kobieto!”. W finale



PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

■ **KATARZYNA GROCHOLA** ma na koncie przeszło 4 miliony sprzedanych książek. Debiutowała powieścią o małżeńskiej zdradzie, pt. „Przegryźć dżdżownicę”. Jej pierwsze książki traktowano jako odpowiedź na bestsellery o Bridget Jones, których autorka Helen Fielding jest niemal rówieśniczką Polki. Ale mówienie o imitacji byłoby niesprawiedliwe.



KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI / FORUM

■ **MAŁGORZATA OLIWIA SOBCZAK** to autorka popularnych kryminałów. Znana przede wszystkim za sprawą serii „Kolory zła”, z prokuratorem Leopoldem Bilskim i galerią kobiet, które nie występują wyłącznie w roli ofiar i mało rozgarniętych asystentek. To kobiety rozpędzają tu fabułę, podsuwając błędzącym jak dzieci we mgle mężczyznom dobre tropy.



ŁUKASZ GOŁAK / EAST NEWS

■ **ALEKSANDRA NEGROŃSKA** swoją drugą serię książek, po młodzieżowych „Friends”, zatytułowała „Students”, a akcję umieściła na uniwersytecie w Leeds, uczelni Zygmunta Baumana. Leeds pojawia się tylko jako punkt na mapie, a całe to studiowanie jest pretekstem, żeby zebrać w jednym miejscu pięknych dwudziestoletnich.

kołtuńskiego dramatu dostajemy scenę polskiego, zakrapianego obiadu rodzinnego, której nie powstydziłby się Marek Koterski, autor „Domu wariatów”. Brakuje tylko apokaliptycznego zakończenia, gdzie tłusty sos, w którym pływa pieczona kaczka, wylewa się z brytfanki i pochłania całe to towarzystwo. Niestety, na taką ekstrawagancję Grochola sobie nie pozwoliła.

Kobiety-pistolety

Po podróży wehikułem czasu, w który wsadziła mnie Grochola, z ulgą sięgnęłam po prozę Małgorzaty Oliwii Sobczak (ur. 1982), rozchwytywanej autorki kryminałów pochodzącej z Trójmiasta i kążącej seryjnym mordercom zbierać żniwo właśnie w tej części Polski (wyjątkiem jest thriller „Wyrobisko”, pisany z Ewą Przydygą, rozgrywający się w Kopalni Soli „Wieliczka”).

Sobczak próbowała sił w literaturze dla dzieci („Mali, Boli i Królowa Mrozu”) i obyczajowej („Ona i dom, który tańczy”) – w październiku ukaże się wznowienie tej żuławskiej sagi rodzinnej), lecz uznanie przyniosły jej dwa cykle kryminalne. Jeden to trylogia „Granice ryzyka”, gdzie współdziałają dziennikarka śledcza Alicja Grabska i detektyw Oskar Korda. Drugi to flagowa tetralogia Sobczak, „Kolory zła”, z prokuratorem Leopoldem Bilskim i galerią kobiet, które nie występują wyłącznie w roli ofiar i mało rozgarniętych asystentek. To one rozpędzają fabułę, podsuwając błędzącym jak dzieci we mgle mężczyznom dobre tropy.

Pierwszy tom, „Czerwień”, spopularyzowany ekranizacją Adriana Panka, opowiada o przemianie i dwoistości kobiecych bohaterek. Młoda dziewczyna zmienia się z pociesznej Małpki w ponętą Pumę, jest wolna od klosza, ale złapana w inną klatkę. Matka dziewczyny dopiero kilkanaście lat po zabójstwie córki dorasta do wiedzy o tym, że nawet bycie dobrą (czytaj: typową) matką nie zmieniłoby biegu zdarzeń. Dojrzewanie do prawdy jest tym, co przeraża mężczyzn, dlatego zwracają się przeciw kobietom.

Drugi tom, „Czerń”, mocno uderza w czułą strunę, jaką jest społeczna bezradność, a czasem przyzwolenie na przemoc seksualną wobec dzieci w przykościelnych salach i zakrystiach. Podział na dobrych i złych jest dość jednoznaczny. Oskarżony jest Kościół i jego sponsorzy,

ale także matki, które nie chronią dzieci. Niektóre z nich same są pokrzywdzone i walczą o to, żeby odrzucić rolę ofiary, w którą wpycha je konwencja gatunkowa.

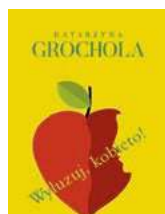
Idée fixe kolejnego tomu „Bieli”, jest trauma międzygeneracyjna, dziedziczona zarówno przez prokuratorów, jak i gangsterów. Wywiera też determinujący wpływ na bohaterki i ich związki z mężczyznami. Utalentowana asesorka niewiele się różni od gibkiej striptizerki, jeśli świat jest zarządzany przez mężczyzn widzących w kobietach, podobnie jak ich ojcowie, tylko ciała.

Najnowszy i ostatni tom „Kolorów zła”, „Żółć”, to odgrywana w przyspieszonym tempie symfonia o damskiej zemście. Nim rozpocznie się vendetta przeciwko Bartoszewi Konarskiemu, współwłaścicielowi szkoły uwodzenia dla mężczyzn, wydawca zachęca nas do lektury sążnistymi cytatami z dziesięciu bookstagramerek i jednego bookstagramera, którzy wychwalają pod niebiosa powieść Sobczak. Chyba po to, żeby czytelniczka nie miała wątpliwości, że obcuje z literaturą może i gatunkową, ale ekstrasztandardową. Coś rzeczywiście jest na rzeczy. W „Żółci” autorka proponuje świat, w którym przemoc psychiczna i ekonomiczna wobec kobiet nie tylko prowadzi do ich odwetu, ale ten rewanż spotyka się ze zrozumieniem organów ścigania.

To prawda, że w książkach Sobczak pełno jest sztampy. Trup dzisiejszy zawsze musi być powiązany z trupem sprzed lat, wszyscy bohaterowie kwalifikują się na terapię, zaś najczęstszą pracą, którą wykonują bohaterki, jest praca seksualna. Mimo klisz to dobra proza gatunkowa, psychologiczną złożonością i poziomem języka polskiego zdecydowanie przewyższa dokonania najlepiej zarabiającego rodzimego autora, Remigiusza Mroza.

Sobczak studiowała kulturoznawstwo i pracowała jako dziennikarka, co czuć w jej prozie. Bohaterowie nie zadają idiotycznych pytań, motywacje sprawców są mniej więcej osadzone w kontekście kulturowym, czasoprzestrzeń jest tylko nieznacznie zakrzywiona dla potrzeb intrygi, a fabuła nie ma większych dziur.

Szkoda tylko, że te bohaterki ze skomplikowaną psychiką – pisarki, rzeźbiarki, instratrenki, dziennikarki – tak się napinają, żeby pokazać nam, jak bardzo



■ Katarzyna Grochola,
WYLUZUJ, KOBIETO!,
Wydawnictwo
Literackie,
Kraków 2024



■ Małgorzata
Oliwia Sobczak,
KOLORY ZŁA,
W.A.B.,
Warszawa 2019-2024



■ Aleksandra
Negrońska, **STUDENTS**,
Wydawnictwo
NieZwykłe
Grojec 2022-2023

Gdyby protagonistki
książek Grocholi, Sobczak
i Negrońskiej usiadły
przy jednym stole,
o rozczarowaniu, naiwnych
wizjach i pomyleniu
uzależnienia z miłością
mogłyby mówić godzinami.

godne są podziwu, a nie pożałowania. Ich literacka skóra zmienia się w gładkie tworzywo sztuczne. Targają nimi afekty, o czym zaświadcza liczba epitetów, w które autorka hojnie je wyposaża. Mimo to na końcu w pamięci zostaje jedynie ich cielesna powłoka – oczywiście szalenie atrakcyjna. „Są kobiety pistolety / I kobiety jak rakiety / Chude, długie i wysokie / Z wydepilowanym krokiem” – śpiewała kiedyś Maria Peszek. Gdybym spotkała bohaterki Sobczak w pozaliterackiej rzeczywistości, to chyba przesłabym na drugą stronę ulicy. Żeby nie poraził mnie bijący od nich blask estetycznie idealnej desperacji.

Girls and boys

Kobiety pistolety zaludniają też triumfującą w rankingach sprzedaży literaturę

young adult. Wśród młodych autorek, które zaczynały na Wattpadzie, a następnie podbiły listy bestsellerów, wytwarzając w zawrotnym tempie setki stronik treści (zwanego kiedyś treścią), moją uwagę zwróciła Pisarka Roku 2023 według Empiku i autorka Książki Roku w kategorii literatura obyczajowa i romans portalu Lubimy Czytać – Aleksandra Negrońska. Swoją drugą serię książek, po młodzieżowych „Friends”, zatytułowała „Students”, a akcję umieściła na uniwersytecie w Leeds, uczelni Zygmunta Baumana. Ale Leeds pojawia się tylko jako punkt na mapie, a całe to studiowanie jest pretekstem, żeby zebrać w jednym miejscu pięknych dwudziestolletnich. Tytuły serii i kolejnych tomów podawane są wyłącznie po angielsku, zaś imiona bohaterów brzmią tak romantycznie lub wymyślnie, jakby autorka wahała się, czy pisać studencki romans, czy dalszą część Harry’ego Pottera: Zayden, Xander, Raiden, Rosanna, Liliana, Devon...

Negrońska przyznaje, że książkę czytała mało i żadna jej nie ukształtowała. Jednak jej fabuły składają się z obrazów, które w literaturze obecne są od dawna. A już ocenę walorów literackich serii „Students” przemilczę. Niewątpliwie redaktorze i korektorze zaproponowali za niskie wynagrodzenie, by uczyniły język tej serii odrobinę gęstym. Nie popadajmy jednak w mentorski lament. Trzydzieści lat temu większość młodych czytała koślawe frazy w „Bravo” i słuchała drewnianych dialogów w „Beverly Hills 90210”. Świat się od tego nie skończył.

Rozciągnięta na cztery tomy i przeszło dwa tysiące stron historia romansu Rosanny i Zaydena może wciągać albo nużyć, ale z socjologicznej perspektywy powinna martwić. W tej baśni nie ma miejsca na dziewczynską przyjaźń, nawet siostra jest potencjalną rywalką. Nie ma miejsca dla bohaterów niezamożnych. Nie ma czasu na niekonsumpcyjne pasje. Podstawową przemianą, jakiej doświadcza Rosanne, jest awans materialny. Co prawda, bogate dzieciaki budzą jej współczucie, bo nie wiedzą, jak zrobić zakupy czy upiec pizzę. Potrafią tylko jeść w drogich restauracjach. Wtedy wkracza nasza bohaterka uzbrojona w nóż i pieczarki, by przeprowadzić kuchenną rewolucję.

Na inną rewoltę jej nie stać. Lgnie do humorzystego Zaydena i przemocowych ➔

↳ typów, jakby potrzebowała władczego przewodnika po świecie marzeń.

Za Weroniką Kostecką, badaczką literatury dla młodych dorosłych, można świat według Negrońskiej nazwać postfeministycznym, czyli fałszywie feministycznym, gdzie gra toczy się o indywidualne spełnienie, a nie o zmianę reguł. Młode czytelniczki wydają się zadowolone, o czym świadczą tysiące entuzjastycznych komentarzy na Instagramie Negrońskiej i Wydawnictwa NieZwykłego.

Halo, tu Ziemia!

Gdyby protagonistki książek Grocholi, Sobczak i Negrońskiej usiadły przy jednym stole, początkowo nie miałyby o czym rozmawiać. Wiktoria z „Wyluzuj, kobieto!” z wysiłkiem odcyfrowywałyaby sens słów wypowiedzianych przez Rosannę ze „Students” (i *vice versa*). Różni je nie tylko metryka – ich wyobrażenia o dobrym życiu dzielą lata świetlne. Rozmowa między nimi byłaby nie tyle dialogiem międzypokoleniowym, co międzykulturowym.

Gdyby mimo to dały sobie szansę i spotkały się za dwie dekady, miałyby tematy do rozmowy. O rozczarowaniu, naiwnych wizjach i pomyleniu uzależnienia z miłością mogłyby mówić godzinami. Literatura zawsze otwierała tajne przejścia, pozwalające uciec od rzeczywistości i nie opuszczać świata złudzeń. Niepokoi jednak to, że pomimo zmieniającej się rzeczywistości, bohaterki nadal są wykrojone z klisz i stereotypów, do których wychowują kolejne pokolenia czytelniczek.

O ironio, najbliższej wielości kobiecych form życia są postacie z brutalnych kryminałów Sobczak. Jeśli czytelniczki kiedyś zapragną opuścić bombastyczny świat koledżów, mrocznych klubów albo niedzielnych obiadów i zechcą wejść w inną, krytyczną literaturę dla kobiet, będzie to podróż trudna i ryzykowna, jak ekspedycja z odległej galaktyki na planetę Ziemia.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK



Siedem błysków

MACIEJ MIŁKOWSKI

Sto lat temu urodził się Zbigniew Herbert. Dzięki niemu wyruszyłem w podróż na ten jedyny prawdziwie szczęśliwy sposób.

ZACZĄŁEM CZYTAĆ JEGO KSIĄŻKI w czasach, kiedy dla mnie samego jakiegokolwiek podróże były zupełnie niedostępne. Poza zasięgiem. Italia i jeszcze bardziej słoneczna (jak to sobie słusznie wyobrażałem) Hellada były dla mnie czymś nieosiągalnym, choć dla wielu ludzi z mojego pokolenia rychło stały się czymś na wyciągnięcie ręki. Polska weszła do Unii Europejskiej, w polskich

miastach rozkwitły lotniska i zadomowiły się tanie linie lotnicze, ale dla mnie wówczas uparta próba zamieszkania na stałe w Krakowie była jedyną podróżą. Też grubo powyżej moich ówczesnych możliwości.

Rejony bytu

Zbigniew Herbert jest więc dla mnie już na zawsze patronem podróży nie-



KRZYSZTOF GIERALTOWSKI / FORUM

Zbigniew Herbert, 1981 r.

sobą jego książki. Byłem we Włoszech z „Barbarzyńcą w ogrodzie”. Byłem w Holandii z „Martwą naturą z wędzidłem”. Byłem w Grecji z „Labiryntem nad morzem”. A kiedy później do Włoch i Grecji powracałem, nie mając już fizycznie przy sobie żadnej z jego książek, bo zabierałem jedynie małe plecaki na kilka tygodni wędrowki i nie mogłem sobie pozwolić na takie fanaberie jak książka, przekonałem się, że i tak na swój sposób mam je cały czas przy sobie.

Pamiętam bardzo wiele cytatów z podróżniczej trylogii Herberta – być może więcej nawet niż z jego wierszy. Pamiętam wiele scen, wiele myśli, czasem po prostu celnych zdań. Bo zdanie w esyście Herberta jest zawsze doskonale zatemperowane. Te frazy, te koncepcje, te obrazy siedzą cały czas w mojej głowie i wyskakują z niej, kiedy sam trafiam w rejon kiedyś przez niego opisywany. Rejon geograficzny albo rejon bytu. Przeczytana niegdyś i mniej lub bardziej dokładnie zapamiętana fraza Herberta pojawia się wtedy w moich myślach jak błysk. Oświecla i porządkuje moje własne doznania. Niekiedy po prostu pozwala zobaczyć, co tak naprawdę widzę.

Błysk pierwszy: Akropol

„Wysoko w górze – on!”, pisze Herbert, a ja nie potrafię nie wymówić tego zdania za każdym razem, kiedy też go widzę. Być może o Akropolu nie da się powiedzieć nic innego, jak tylko wyrazić to zdumienie, że on faktycznie tam jest, że ja go teraz widzę. Freud też pisał o tym paralizującym zdumieniu wywołanym naocznym przekonaniem się, że Akropol faktycznie istnieje. I choć wcześniej o nim czytam, choć się do kolejnych wizyt przygotowuję, to nigdy nie potrafię potem poszukać tego miejsca, z którego Kserkses patrzył na bitwę pod Salaminą, ani tego, z którego Wenecjanie strzelili do tureckiej składowni prochu na szczycie, ani tych skał, po których weszli dwaj śmiałkowie, by zerwać nazistowską flagę. Zawsze powtarzam jedynie za Herbertem, że tam jest „on”. I nawet jak widzę go ze Wzgórza Filopaposa, kiedy w zasadzie jest w dole, to i tak powtarzam, że w górze.

dostępnej albo dostępnej jedynie warunkowo, tak jak zresztą i dla niego samego było w przypadku każdej wyrwanej ponuremu losowi podróży. Herbert nawet kiedy wreszcie gdzieś jest – i o tym w uniesieniu pisze – to zarazem cały czas pamięta, że mógłby tam wcale nie być, że nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek tam będzie. Każda jego podróż była możliwa tylko pod warunkiem przeskoczenia rozmaitych szlabanów politycznych, ekonomicznych i egzystencjalnych.

Może dlatego o podróżach Zbigniewa Herberta czytałem wtedy bez zawiści, ucząc się od niego, że podróż może się przydarzyć, ale może się też w ogóle nie przydarzyć. Może to dzięki niemu byłem w stanie w pełni docenić i w pełni cieszyć się podróżami, kiedy i dla mnie stały się one w jakimś zakresie dostępne.

Gdy zacząłem jeździć do opisywanych przez niego miejsc, zawsze miałem ze

Kiedy w nędznym hoteliku już na pograniczu z niesławną Omonią portier mówi mi, że, owszem, ma pokój, że mogę ten pokój zobaczyć, ale on ze mną nie pójdzie, bo winda dojeżdża tylko do któregoś piętra, a potem trzeba jeszcze w górę schodami, a potem trzeba przejść przez dach, bo pokój jest w takiej przybudówce – to ja już wiem, że ja ten pokój wezmę, bo skoro będzie się przechodziło przez dach, to wiadomo już, co będzie po drodze widać. „Co”, a może raczej „kogo”, bo przecież w tym Herbertowskim zawołaniu „on!” porbzmiewa coś osobowego.

Błysk drugi: wino

„Wino pije się w szklankach, a nie w naparstku na chudej nóżce”, donosi Herbert, raczej gdzieś z Włoch niż z Grecji. I zawsze ta radość, kiedy faktycznie do wina dostanie się szklankę. We Włoszech zdarza się to już niestety dość rzadko, właściwie tylko wtedy, gdy zamówi się wino domu, rozlewane na karafki, a i to raczej w jakiejś bezpretensjonalnej osterii. W Grecji o to łatwiej, bo w wielu knajpach mają tylko wino domu. A przecież Herbert ze szklanki pije też „lepsze chianti”, nawet w Sienie, kiedy tłumaczy, jak należy kosztować (i wachać, i oglądać) wino.

Czasem, gdy starczy mi śmiałości, ignoruję postawiony przez kelnera kieliszek i nalewam sobie wino do przeznaczonej na wodę szklanki. Współbiesiadnikom czasem mówię coś o celebrowaniu zwyczajności, o tym, że wino ma być napojem codziennym, a nie świątecznym, chyba że mamy na myśli świętowanie codzienności właśnie. Moi towarzysze wiedzą jednak, jaka jest prawdziwa przyczyna, i niekiedy ktoś głośno powie: „Tak, tak, Herbert kazał pić w szklankach”.

Błyski trzeci: Wrawrona

Wrawrona? A u Herberta konkretnie Brauron, jak w starożytności. Miejsca, do których jedziemy właściwie tylko dlatego, że był tam Herbert. Dlaczego jedziemy do Wrawrony? Bo Herbert kazał jechać. Budzimy się w Eleusis (nie pamiętam, czy Herbert tu był, ale raczej musiał być). Wsiadamy w autobus do Aten. Wysiadamy na zachodnich przedmieściach. Jedziemy metrem na przedmieścia wschodnie. Jedziemy z przesiadką, ➔

→ na moment wynurzamy się z metra, by spojrzeć wiadomo na co (wiadomo na kogo), na przedmieściach wschodnich wsiadamy w inny autobus podmiejski, który przez żółtawe i suche krajobrazy Attyki wiezie nas do sennego potencjalnego kurortu (który jednak ani trochę nie jest kurortem), a stamtąd parę ładnych kilometrów pieszo w upale, wzdłuż szosy, z plecakami, z resztą wody.

Zadziwiające niskie kolumny miejscowej świątyni Artemidy widać zza płotu, ale wejście jest z drugiej strony, dookoła, jeszcze jakiś kolejny kilometr. Stopem wracamy do wsi Artemida. Trudno o lepszą nazwę. „To nie wakacje, to męczarnia”, mówi wioząca nas kobieta, kiedy trochę zbyt dokładnie odpowiadam na pytanie, gdzie już byliśmy i co widzieliśmy. Herbert kazał. Kazał i do Wrawrony.

Błysk czwarty: suknia Terborcha

Nic tam Rembrandt, nic tam Vermeer. Herbert kazał oglądać Terborcha. „Może jednak jest w Amsterdamie?” – pytamy się, szukając go na próżno na ścianach haskiego Mauritshuis. „Może jednak przeoczyliśmy go w Hadze?” – mówimy, szukając go w amsterdamskim Rijksmuseum? „Wiesz, który! Ten z suknią! Ten, co na skrzydełku...”

Parę lat później znajdujemy go w Berlinie i wtedy wybuch zupełnie nieracjonalnej radości, wtedy nagle znika cały ten nudny i w sumie dość rozczarowujący Berlin, wtedy znowu jesteśmy z Herbertem w Holandii. „Jestem w Holandii, królestwie rzeczy, arcyksięstwie przedmiotów” – powtarzam, choć konkretnie to jestem akurat w niemieckiej stolicy. Wpatruję się w tę faktycznie niesamowicie zrobioną suknię. Trzeba było posłuchać Herberta jeszcze i w tej sprawie: przyjść do tego muzeum i obejrzeć tylko ten jeden obraz.

Herbert uczył, aby zawsze wybierać jeden obraz do oglądania, ale na to jakoś nigdy nie mogłem się zdobyć. Może przy piętnastej wizycie, ale przecież nie przy

pierwszej. Posłuchałem go tylko w Krakowie i tylko w dni wstępu wolnego do Muzeum Narodowego. Parę razy tak poszedłem: obejrzeć jednego Czapskiego, jednego Witkacego, jednego Wróblewskiego. Kiedyś w Berlinie pójść oglądać tylko tę suknię.

Błysk piąty: spóźniony prom

„Statek nazywa się Tezeusz i nikt nie wie, kiedy przypłynie”. W Grecji wszystko się tak nazywa. Kolekcjonuję mitologiczne hotele, w których nocowałem. Spałem w Zeusie, w Posejdonie, w Apollinie, w Afrodycie. W Mykenach chciałem spać w Agamemnonie, bo chyba spał w nim Herbert. Do wyboru jest jeszcze Klitajmestra, ale ostatecznie lądujemy w bezimiennym pensjonacie naprzeciw nieczynnego Agamemnona.

Bezimienne pensjonaty są zresztą w Grecji najlepsze. Tak jak i bezimienne tawerny. Najlepiej, jak nazywa się po prostu „Tawerna”. Najlepiej, jak nie ma menu po angielsku. Niekiedy – szczyt marzeń! – w ogóle nie ma menu. Mówią, co mają, albo biorą człowieka do kuchni i pokazują palcem. A prom faktycznie się spóźnia. Spóźnia się autobus. Jeśli w ogóle jest autobus. Czasem nie da się dojechać tam, gdzie się planowało. Wtedy jedzie się tam, gdzie się da. Czasem się czeka.

Herbert nie mówi wprost, co się wtedy robi, ale między wierszami można u niego wyczytać, że wtedy się po prostu jest – nie tam, gdzie się chciało być, ale tam, gdzie się do tej pory było. Coś się je, coś się pije, patrzy się, rejestruje, próbuje zapamiętać.

Błysk szósty: Grecja kontra Włochy

Herbert pisze, że jadąc do Grecji spodziewamy się przedłużenia krajobrazu włoskiego. Chyba ma na myśli nie tylko krajobraz przyrodniczy, ale i krajobraz miejski, a może nawet ludzki. Ciekawe zresztą, że właściwie u wszystkich podróżyujących powtarza się ta sama kolejność – Włochy najpierw, Grecja, ewentualnie, potem.

Znam wiele osób, które były we Włoszech, a nie były w Grecji, a chyba ani jednego przypadku odwrotnego. Grecja zakazuje tym, że jest nie tylko południem, ale i wschodem. Może dlatego czujemy się

tam jednak bardziej swojsko. Czasem myślę, że to nie tyle dwa filary, co może raczej dwa bieguny naszej tożsamości. Że jesteśmy trochę rozpięci między Włochami a Grecją. Między Rzymem a Atenami. Między autokracją a demokracją. Między ładem a chaosem. Między prawicą a lewicą. Między państwem a jednostką. Może dlatego tak zachwyca Sycylia, która jest trochę Włochami, a trochę Grecją.

Błysk siódmy i ostatni: byłem szczęśliwy

Siena. Długi tekst, robiący wrażenie długiego pobytu, ale przecież w rzeczywistości musiało to być ledwie kilka dni. Parę linijek wyżej kontrastowe wyznaczenie – Herbert wrzuca do sadzawki kilka lirów, chcąc tu jeszcze kiedyś wrócić, ale „prawdę mówiąc, nie ma wiele nadziei, abym tu wrócił”. Myślę o tych słowach bardzo często, gdy gdzieś przyjeżdżam, gdy skądś wyjeżdżam, gdy dokądś wracam. Podróże stały się dla mnie dużo bardziej dostępne. Tak dostępne, jak dla Herberta nie były pewnie nigdy.

Kiedyś czytałem jego teksty, myśląc, że ja sam nigdy tam nie pojadę. Dziś do Sieny mogę pojechać bez większego problemu. Z Krakowa do Pizy, do Perugii, do Bolonii – za sto złotych, za dwieście. Ale myślę też, że wraz z tą narastającą dostępnością coś innego staje się dla mnie coraz oporniej dostępne. Coraz trudniej o podróż niebędącą turystyką. Trudno o podróż w duchu Herbertowskim – podróż trochę z planem, a trochę bez planu, podróż łączącą muzea i katedry z wiejskim krajobrazem, lekturę z rozmową, spotkanie z klasykami ze spotkaniem z żywymi ludźmi, uzupełnioną zawsze o jedzenie i picie – o talerz makaronu, o szklankę wina. Takiej podróży wciąż szukam dla siebie, taką podróż próbuję sobie od czasu do czasu wykroić.

Wiem, że gdyby nie czytany wiele lat temu Zbigniew Herbert, nawet bym nie wiedział, że takiej podróży warto dla siebie szukać. To dzięki niemu od czasu do czasu też mogę powiedzieć: było mi tu dobrze, byłem szczęśliwy.

© MACIEJ MIŁKOWSKI

Autor jest psychologiem, prozaikiem i tłumaczem. Wykłada twórcze pisanie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nakładem Wydawnictwa Próby ukazał się właśnie zbiór jego esejów „Anatomia opowiadania”.



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl



WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

Czekoladowa makieta osiedla Kamionek w muzeum Fabryka Czekolady E. Wedel. Warszawa, wrzesień 2024 r.

Kwestia smaku

DOROTA MALINA

Prywatne kolekcje prezentuje się w muzeach, by podnieść ich wartość. Baśniowe obrazy kubańskiego artysty Roberta Fabelo chodziły na aukcjach za średnio 30 tys. dolarów. Po wystawach w Europie i Stanach ich cena się potroiła, a kolekcjonerzy tacy jak Julio Ortiz, znany okulista z Miami, gratulowali sobie dalekowzroczności.

ZDARZYŁO WAM SIĘ PRZECZYTAĆ CAŁKIEM niezły artykuł i dopiero na końcu zorientować się, że to tekst promocyjny? Palicho, jeśli traktował o historii mierzenia czasu, a sponsorem jest

producent zegarków. W przypadku recenzji wszystko się komplikuje, bo arkana powiązań krytyków z wydawcami to temat na doktorat. O ile po blogerach, instagramerach i innych włodarzach internetowej strefy wpływów nie spodziewamy się obiektywizmu, o tyle od dziennikarzy oczekujemy bezstronności. I myślenia niezależnego od sponsorów.

Podobnie mam z muzeami – jasne, jako instytucje państwowe zawsze były poniekąd tubami systemu: kolonialnej Anglii, komunistycznej Polski czy śniącej o potęgę Francji. Ale przynajmniej w statucie mają misję edukacyjną, a ostatnimi czasy starają się też prezentować alternatywne narracje i zapominaną podszewkę historii. Tyle muzea państwowe, bo coraz liczniejsze instytucje prywatne to już zupełnie inna opowieść.

Podczas wakacji w Bretanii wybraliśmy się do Maison Yves Rocher. Wracaliśmy z uroczej wioseczki Rochefort-en-Terre, Gacilly, gdzie urodził się założyciel kosmetycznego imperium, było po drodze, a ja złapałam się na slogan o „immersyjnym muzeum roślin”. Spodziewałam się krótkiej historii farmakoterapii, starych ziółników i morza informacji o tym, ile zawdzięczamy Matce Naturze.

Tymczasem Maison Yves Rocher zafundował nam godzinny spot rekla-

mowy bogaty w cukierkowe filmiki (kobiety z błyszczącymi od szamponu kaskadami włosów i w słomkowych kapeluszach zbierają maki na polach albo medytują wśród bławatków) i ubogi w fakty. A w chlubnej historii marki pominięto „niedoskonałości” w postaci masowych zwolnień pracowników w Turcji czy kontrowersji wokół sprawy Aleksieja Nawalnego. Widocznie psuły styl Zielonej Księgi Urody. Po wyjściu z „muzeum” czuliśmy się zrobieni w bambuko – godzinna reklamówka, za której oglądanie sami zapłaciliśmy.

Gorzka historia

Przypomniałam sobie o tym, czytając o stołecznym muzeum Wedla.

„To będzie multisensoryczne muzeum: zwiedzający będą czuć zapach prawdziwej czekolady produkowanej tuż obok, widzieć przez szybę linię produkcyjną, będą mogli smakować produktów. U nas będzie można zanurzyć się w historii czekolady” – zapowiada z dumą jego dyrektor, etnograf Robert Zydel. Dają Fabryce Czekolady kredyt zaufania, bo przecież *food studies*, czyli kulturalna historia jedzenia, bywa fascynująca i dotkliwie jej nam w Polsce brakuje. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że nad nowym muzeum, oprócz zapachu ➔

⇒ czekolady z pobliskiej fabryki, unosi się smrodek marketingu.

Dyrektor Fabryki Czekolady, były kierownik Muzeum Etnograficznego w Warszawie, jest, jak czytamy w Wikipedii, „prekursorem wykorzystywania technik etnograficznych w badaniach marketingowych”. I choć zarzeka się, że „nie jest Willym Wonką”, deklaruje: „Bardzo nam zależy na młodych odbiorcach, chcemy, żeby mieli dobre wspomnienia związane z naszą marką”. No tak, *get them young* to znana strategia pozyskiwania klientów. Podobnie jak wzmianki o znanym i lubianym bohaterze popkultury.

Wbrew dyrektorskiemu dementi powstać Willy’ego Wonki często pojawia się w tekstach o Fabryce, również anglojęzycznych. Czasem polskim Willym Wonką jest Zajdel, ale znacznie częściej sam Emil Wedel, który rozkręcił założony przez swojego ojca, Karola, interes (obecnie w rękach japońsko-koreańskiego koncernu Lotte, ale o tym muzealnicy milczą). Peryfrazą ewidentnie ma na celu przyciągnąć fanów Roalda Dahla lub Tima Burtona, zwłaszcza młodszych. Ze statecznego wąsatego protestanta taki Willy Wonka, jak z Bydgoszczy Wenecja, ale wiadomo – najbardziej lubimy to, co już znamy, więc copywriterzy chętnie sięgają po popkulturowe haczyki.

Zwłaszcza że muzeum obiecuje interaktywne doświadczenia i degustacje, zupełnie jak u Roalda Dahla. W dodatku nie tylko dla szczęśliwych znalazców Złotego Kuponu. Wystarczy 70 złotych (55 dla młodszych i starszych) i można śmiać się, podjadać i dotykać eksponatów. Wystawa „opowiada słodkie dzieje czekolady, inspirowane również niezwykłą historią rodziny Wedlów, która stworzyła to wyjątkowe miejsce”.

Słodkie dzieje czekolady? – zapyta każdy, kto choć liznął gorzkiej historii kolonializmu. O ciemnej stronie kakaowego medalu przeczytać można w niedawno wydanej „Prawdziwej historii czekolady” autorstwa Michaela i Sophie D. Coe (przekład Ewa Klekot). I wielu innych książkach z gatunku *food studies*, które pokazują mroczną genezę i niesmaczne kulisy wielkiego biznesu czekoladowego, obnażając niewygodne prawdy pod pozłotką.

W muzeum Fabryka Czekolady E. Wedel (kuratorka muzeum, Marta Marocka, za każdym razem sumiennie



MARK ZALEJSKI

Budynek Fundacji Louis Vuitton. Paryż, wrzesień 2024 r.

powtarza całą nazwę, bez skrótów i pominięć, starannie lokując markę) zostaniemy raczej po jasnej stronie mocy. Dowiemy się, jak z ziarenka kakaowca powstaje pyszna tabliczka, poznamy historię rodziny Wedlów, obejrzymy stare etykiety wedlowskich smakołyków, a nawet zaprojektujemy własne opakowanie Ptasiego Mleczka. A na koniec wydamy trochę złotych kuponów w sklepiku z pamiątkami i w Pijalni Czekolady.

Bilety, słodki suwenir i filiżanka czekolady to, nawet ze zniżką rodzinną, lekko licząc, kilkadziesiąt złotych. Może warto, bo zakład Wedlów to ważny punkt na historycznej mapie Warszawy. I, jak napisał internauta recenzując „Recepturę”, serial o architektce pracującej dla Wedlów i jej prawnuczce: gdyby nie nachalna reklama, mógłby to być całkiem przyjemny film.

Słodki biznes

We Francji, gdzie *food studies* mają długą i piękną tradycję, bo w kraju smakoszy i wyrafinowanej gastronomii intelektualny namysł nad jedzeniem, od Brillat-Savarina przez Barthes’a po charyzmatycznego François Régis-Gaudry’ego (to ten od monumentalnej „Francji na talerzu”), zawsze był w cenie, wystaw jedzeniu nie brakuje: marsylski MUCEM niedawno celebrował dietę śródziemnomorską („Le grand Mezze”), a paryska Conciergerie w zeszłym roku udowodniała, że

Noma Noma, ale to Paryż jest „światową stolicą gastronomii”.

Jeśli szukać we Francji analogii do Fabryki Czekolady, internet podpowiada stołeczną ChocoStory, która wszelako nie cieszy się wielką estymą. Angielska nazwa, belgijski założyciel i obiecywane w broszurkach degustacje sprawiają, że w zbiorowej wyobraźni Francuzów muzeum ma nalepkę „dla dzieci”.

Owszem, zwiedzający może poznać historię brązowego złota i azteckie legendy, ale o handlu trójkątnym raczej się nie dowie. Nauczy się za to robić własną czekoladę. No i co się naje, to jego. Muzeum mniej nachalnie niż Wedel promuje markę, bo współpracuje z belgijską Belcolade, która ofertę kieruje głównie do cukierników. W związku z tym wstęp jest dość drogi, bo placówki nie dofinansowuje dział marketingu żadnej wielkiej firmy.

Słona cena

Inaczej z drugim flagowym francuskim produktem, czyli perfumami. Muzeum perfum Fragonarda to jeden wielki i wonny spot reklamowy, po którym człowiek spaceruje lekko odurzony, by nieuchronnie wylądować w sklepie z perfumami, do którego muzeum właściwie jest aneksem. Zwiedzanie trwa pół godziny i jest darmowe, choć po wizycie człowiek, jak po degustacji w supermarkecie, myśli, że pewnie wypada by coś kupić...



HUGHES HERVE / HEMIS.FR / AFP / EAST NEWS

Muzeum perfum Fragonarda. Paryż, sierpień 2019 r.

Dużo bardziej wyrafinowaną i subtelną operacją marketingową jest fundacja Louis Vuitton. Subtelną? – zapyta każdy, kto widział zaprojektowany przez Franka Gehry'ego statek kosmiczny, który grupa LVMH postawiła na skraju Łasku Bulońskiego. I nazwała Fundacją Louis Vuitton, żeby imię i nazwisko ojca założyciela wybrzmiewało przy każdej okazji. Dyskretnie jak złote logo LV na markowej torebce. No i co z tego, powie wielbiciel sztuki, trochę marketingu, ale w zamian wielkie dzieła wielkich artystów.

Tylko ultrabogatyh mecenasów stać na to, żeby ściągać ze Stanów dzieła Rothki czy Basquiata. Mają przestrzeń, pieniądze na ubezpieczenie i szczerze dzielą się pięknem z szeroką publicznością. Gorzej, że korporacyjnych mecenasów coraz częściej oskarża się o wybielanie wizerunku i unikanie podatków. Jak zwykle bowiem jeśli nie wiadomo, o co chodzi... Teoretycznie bogaci kolekcjonerzy mogliby przecież trzymać dzieła w swoich licznych posiadłościach i podziwiać „picassy” przy posiłkach w gronie najbliższych (i innych bogaczy). Zwykle tego nie robią, a do dzielenia się pięknem nie zawsze niestety popychają ich szlachetne pobudki.

Prywatni kolekcjonerzy wypożyczają dzieła na wystawy dlatego, że to podnosi ich wartość (dzieł, nie kolekcjonerów, choć zgodnie z logiką kapitalizmu jesteś tym, co masz, więc wychodzi prawie na to

samo). Wielu traktuje sztukę jako inwestycję. A zwrot z inwestycji często szybuje w górę, kiedy muzealni kuratorzy skrupulatnie sprawdzą proveniencję rzeźb i obrazów. Poza tym wystawa w uznanej instytucji to promocja zarówno dla artysty, jak i „pieczęć autentyczności” dla dzieła. Przykład? Lekko baśniowe obrazy kubańskiego artysty Roberta Fabelo chodziły na aukcjach za średnio trzydzieści tysięcy dolarów. Po wystawach w Europie i Stanach ich wartość się potroiła. A kolekcjonerzy tacy jak Julio Ortiz, znany okulista z Miami, gratulowali sobie dalekowzroczności.

Kwas z podatkami

Ortiz to płotka w porównaniu z rekinami takimi jak Bernard Arnault. Właściciel LVMH zgromadził taką kolekcję, że zamiast wypożyczać ją innym postanowił wybudować własne muzeum. Otwartą dla wszystkich świątynię sztuki współczesnej, w której szczerze pokazuje to, co ma, aby „stworzyć przestrzeń twórczego dialogu między artystami i publicznością”, a „sztuka stała się dostępna dla ogółu”.

Tyle ze strony internetowej fundacji. Francuski fiskus ma nieco inne zdanie. Kilka lat temu głośno było nie tyle o wystawach, co o kreatywnej księgowości grupy LVMH. Ponieważ francuskie prawo podatkowe to wiedza tajemna, której piechotnicze strzegą armie urzędników, nie będę udawać, że dokładnie rozumiem, o co poszło. Dość powiedzieć, że szczerzy mecenas skorzystał z tak zwanej ustawy Aillagona, która miała zachęcać wielkich przedsiębiorców do hojnego mecenatu. Firmy, które sfinansują budowę instytucji dla dobra ogółu, mogą odliczyć to sobie od podatku. Formuła równania oczywiście jest skomplikowana („Obniżka podatku dochodowego o 66 proc., ograniczona do 20 proc. dochodu podlegającego opodatkowaniu, z możliwością przeniesienia nadwyżki darowizny na okres pięciu lat”), ale gołym okiem widać, że ewidentnie warto, bo wielkie grupy rzuciły się zakładać fundacje i stowarzyszenia „pożytku publicznego”.

Bernard Arnault obiecał wybudować muzeum za 100 milionów euro. Budżet został przekroczony kilkakrotnie (kto widział dzieło Gehry'ego, zrozumie, że oszczędność środków to nie jego

emploi), więc ostateczny koszt wyniósł 780 milionów, za co LVMH dostało od fiskusa ponad 500 milionów upustu. I tu pojawiły się oskarżenia: że nie sposób sprawdzić, ile naprawdę kosztował budynek, że to kwota (jak sam budynek) astronomiczna i żaden mecenat, skoro prawie za wszystko i tak zapłacił podatnik. Że dostępność dostępnością, ale muzeum w szesnastej dzielnicy (enklawa starych pieniędzy i starej burżuazji) woła 16 euro za wstęp. A w muzealnym sklepiku obok pocztówek i plakatów można zakupić torebki Louis Vuitton. Niby altruizm, a tak naprawdę oszustwa podatkowe i autopromocja – taki sąd wydała opinia publiczna. Fiskus, po długiej i ciężkiej batalii sądowej i korzystnym dla miliardera wyroku sądu apelacyjnego, w marcu 2024 ostatecznie złożył broń.

Podobnie było z kolegą po fachu i najbliższym rywalem Arnault, François Pinaultem i jego Bourse de Commerce. Podobnie, tylko jeszcze mniej przejrzystość, bo miliarder nie założył fundacji (w znaczeniu prawa francuskiego), tylko holenderski *stichting* „François Pinault Foundation” i dzięki temu „organizmowi” (skrzynka pocztowa w Amsterdamie) optymalizuje podatki holdingu.

O ile Arnault dość nachalnie promuje markę, o tyle Pinault, choć marek ma mnóstwo (między wieloma innymi Gucci, YSL, Balenciaga Bottega, Alexander McQueen, dom aukcyjny Christie's i czasopisma), skupia się raczej na unikaniu podatków, zwłaszcza spadkowego. Kolekcjoner „dzieli się pasją do sztuki współczesnej”, za to niechętnie dzieli się majątkiem. Obecnie w starym budynku paryskiej giełdy oglądać można wystawę „Le monde comme il va” (w wolnym tłumaczeniu: jak się miewa świat). Na jesień zapowiedziano Arte Povera. Dzięki szczeremu mecenasowi włoską sztukę ubogą można oglądać za jedyne 14 euro.

Wbrew temu, co może się wydawać, nie stawiam w jednym szeregu Wedla i wielkich francuskich mecenasów. Zwracam tylko uwagę, że granica między mecenatem a sponsoringiem mocno się zaciera, a na rozmytym pograniczu wesoło tańczą Umpa Lumpasi marketingu i kreatywnej księgowości. Lepiej nie dać się omamić, tylko sceptycznie podejść do serwowanej nam opowieści (i darmowej czekolady).

© DOROTA MALINA

Gigantomania

ANITA PIOTROWSKA

Patos wypada tu zbyt patetycznie, halucynacje tandetnie, satyra nazbyt ciężko. To filmowe igrzysko, którym nie sposób się nasycić.

PRAWDOPODOBNIEM MAM W SOBIE geniusz. Ale nie posiadam talentu” – mówił magazynowi „Rolling Stone” w najlepszym dla siebie czasie, niedługo po nakręceniu tytułów, które zmieniły historię kina. W 1991 r. w wywiadzie dla BBC Francis Ford Coppola podsumował siebie nieco inaczej: „Jestem tak samo dumny ze swoich porażek, jak ze swoich sukcesów”. Te dwa cytaty doskonale zarysowują dzisiejszy autoportret mistrza i rezonują z jego najnowszym dziełem.

Żaden bon mot („łabędzi śpiew”, „piękna katastrofa”, „zmierzch bogów”) nie oddaje tego, czym jest „Megalopolis” – tytuł mówi sam za siebie. Lecz kto bogatemu zabroni? Twórca „Ojca chrzestnego” wyłożył 120 milionów dolarów z własnej kieszeni, by sfinalizować wielkie filmowe marzenie. W efekcie dostajemy gorącą obrazów, bieżącą ideę, gonitwę myśli – przenoszonych aż czterdzieści lat i jednocześnie jakby zastygłych w swoim niedomyśleniu. Wieszczących upadek imperium amerykańskiego i świata w ogóle z pozycji spóźnionego proroka. Stęsknionych za kinem, którego dawno nie ma i raczej już nie będzie – łączącego autorstwo z gigantomanią. Odnajdziemy w tym i przebliski geniuszu, jak i, niestety, uwiad talentu. Ów proces zaczął się już w latach 80., gwałtownie przyspieszając po „Draculi” (1992). Potem Coppola kręcił filmy na tyle sporadycz-



nie, że każdy kolejny wydawał się ostatecznym, acz ciągle niespełnionym pożegnaniem. I właśnie „Megalopolis” mogło być ową spektakularną kodą na miarę tego twórcy – gdyby tak mocno nie przestrzelił (i zarazem nie odpuścił) na wielu polach.

Adam Driver gra tu poniekąd młodsze alter ego Coppoli dzisiaj, czyli wizjonerskiego architekta i prawdziwego artystę. Jego spojrzenie zatrzymuje czas niczym w stopklatce, a genialny wynalazek, jakim jest niezniszczalny materiał o nazwie megalon, może zbawić świat. Cezar Catillina (kombinacja antycznych nazwisk nieprzypadkowa) to potomek uprzywilejowanego rodu i świeżo upieczony noblista, który zamierza radykalnie zrewitalizować Nowy Rzym. Czytaj: dystopijny Nowy Jork, miasto betonu i stali, zdegenerowanych oligarchów, skorumpowanych mediów i ukrytej nędzy.

W przeciwnym razie jego koniec, wzorem dawnych imperiów, będzie nieuchronny. Tak oto, za pomocą starożytnego sztafazu wpisanego w science fiction i podpartego lekturami (od cytowanych tu wprost mów Cyncerona i sztuk Szekspira, przez Jana Jakuba Rousseau i Ralpha Waldo Emersona, aż po bezpośrednie czerpanie ze „Źródła” Ayn Rand), opowiada Coppola odwieczną historię idealisty stojącego naprzeciw potężnych i złych. Za swoim bohaterem próbuje odbudować skruszałe pomniki i ożywić zwiertzałe utopie, ostrzega przed populizmem, a nawet (dosłownie!) przed Mus-

solinim i Hitlerem. Szkoda jednak, że robi to w sposób tak bałaganiarski, trwoniąc nie tylko własną fortunę czy cnoty warte przypominania, zwłaszcza w przededniu prezydenckich wyborów w USA, ale i zgromadzone przed kamerą talenty – Giancarla Esposito, Jona Voighta, Laurence’a Fishburne’a, Aubrey Plazy, Shii LaBeoufa czy Dustina Hofmana. Operową epickość zastąpił mało kreatywny chaos.

W każdej niemal scenie czuje się jej zakulisowy ciężar. Że ten przeładowany film powstawał za długo, za bardzo „natry”, w atmosferze niespodziewanych trudności i personalnych konfliktów, a improwizacje reżysera i aktorów na planie nie zawsze przyniosły odświeżający efekt. Nawet potencjał antyku – polityczne spory, nieczyste rozgrywki czy łacińskie maksymy, i jeszcze te wszystkie uczty, gladiatorzy, rydwany – nie zostały wykorzystane z inwencją i rozmachem, jakich można się spodziewać po takim artyście. Tym bardziej po takim budźecie. Aż chciałoby się przytaknąć cynicznemu Cicero, burmistrzowi Nowego Rzymu, stawiającemu na patodeweloperkę i kasyna, kiedy ostrzega, iż utopia w praktyce zamienia się we własne przeciwieństwo. Albo, jak scenariusz filmu, staje się swoim bladym cieniem, chociaż Coppola dwoi się i troi wizualizując futurystyczne fantazje Catilliny, na granicy szalonego marzenia i alkoholowego delirium.

Docenimy za to kinofilskie mrugnienie okiem, jak podzielony ekran, który ma być hołdem złożonym „Napole-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



GUTEK FILM / MATERIAŁY PRASOWE

MEGALOPOLIS

– reż. Francis Ford Coppola.
Prod. USA 2024.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach.

Francis Ford Coppola – amerykański reżyser, scenarzysta, producent, biznesmen, głowa filmowego klanu – funkcjonuje w branży od ponad sześćdziesięciu lat. Był twórcą kina niezależnego, jednym z reformatorów Hollywoodu i ma na koncie parę arcydzieł, by wymienić tylko „Czas apokalipsy”, „Rozmowę” czy „Ojca chrzestnego”. Na swój nowy film czekał widzom czekać aż trzynastę lat.

Na zdjęciu: Adam Driver i Nathalie Emmanuel w filmie pt. „Megalopolis”.

onowi” (1927), niememu klasykowi Abła Gance’a. Albo jawne czerpanie z „Metropolis”, „Blade Runnera” czy „2001: Odysei kosmicznej”, aczkolwiek pod względem nowatorstwa dzielą go od tych tytułów lata świetlne, a wątek uderzającego w miasto radzieckiego satelity wydaje się wręcz kuriozalny. Na pewno też inaczej ogląda się żałobę Catilliny po śmierci żony, mając świadomość, iż małżonka reżysera, będąca z nim przez ostatnie sześćdziesiąt lat, zmarła tuż przed canneńską premierą filmu i właśnie Eleanor Coppola został on potem dedykowany. To zresztą kolejny niewykorzystany w pełni wątek – uciec od przeszłości w przyszłość – przykryty naiwną historią miłosną, pieprzonymi intrygami pomiędzy alkową a tronem i odmieńnianym przez wszystkie przypadki pojęciem Czasu, niczym bez mała u Nolana.

„Kiedy robimy skok w nieznane, to dowód, że jesteśmy wolni” – powtórzyłby pewnie autor za swoim protagonistą. Tej totalnej wolności w kinie mógłby mu pozazdrościć dzisiaj niejeden filmowiec. Oraz niespożytej pasji i wiary, że sztuka uratuje świat. Bo w kontekście „Megalopolis”, które sam twórca nazywa skromnie baśnią, a którego wyniki kasowe również okazały się nader skromne, brzmi to ironicznie. Z cmentarzyska wybujałych pomysłów zostaje w sumie niewiele. Patos wypada na ekranie za bardzo patetycznie, halucynacje zbyt tandetnie i mgliście, satyra nazbyt ciężko. Dostrajamy filmowe igrzysko, choć i nim nie sposób się nasycić – zwłaszcza gdy na każdym kroku czuć przerost ambicji nad realnymi, niekoniecznie finansowymi możliwościami.

I tak jak po „Czasie apokalipsy” mówiło się, że tamten film wcale nie był o Wietnamie, lecz „był Wietnamem”, w sensie włożonych weń gigantycznych środków, artystycznego szaleństwa i amerykańskiego prężenia mięśni, tak o „Megalopolis” można rzec podobnie. Sęk w tym, że nowe dzieło Coppoli, zrodzone z troski o upadający świat, który wszyscy, a zwłaszcza ci trzymający władzę, muszą przemyśleć na nowo, nie jest już dziełem kinowego „rewolucjonisty” (taki tytuł nosi jego biografia, niedawno u nas wydana). Za bardzo grzeszy reżyserską pychą, a ta, jak wiadomo, kroczy przed upadkiem i źle się sprzedaje w kinie, coraz bardziej wyczulonym na wszelkie przejawy megalomanii. Może dlatego śmiech na sali słychać było w niezamierzonych przez twórcę momentach. ©

Lektor: Przyjaciółki



■ Ewa Mańkowska
HANNA I DOROTA
Wydawnictwo EMG,
Kraków 2024,
ss. 430

ŚWIETNA WIELOWARSTWOWA KSIĄŻKA, OPARTA NA SUMIENIACH studiach archiwalnych, ale też z nutą osobistą, bo opowiada historię po części rodzinną. Mija właśnie sto lat od wyjazdu grupy polskich malarzy, uczniów Józefa Pankiewicza, do Paryża. Członkowie Komitetu Paryskiego, czyli kapiści, mieli zmienić obraz naszej sztuki. Ewa Mańkowska skupia się na dwóch należących do tej grupy artystkach: Hannie Rudzkiej-Cybisowej (1897-1988) i Dorocie Berlinerblau-Seydenmanowej (1898-1943), swojej bliskiej krewnej.

Wątek kobiecy jest tutaj ważny: potrzeba swobody ekspresji artystycznej łączy obie serdeczne przyjaciółki, należące do pokolenia pionierek emancypacji. Dorota, urodzona w zamożnej zasymilowanej rodzinie żydowskiej, ma oparcie w bliskich: maluje także jej matka, Helena z Oppenheimów, a starsza siostra zostaje pierwszą w Galicji kobietą-adwokatką. To Aniela Steinsbergowa, działaczka PPS, współtwórczyni Komitetu Obrony Robotników. Droga do niezależności Hanny, pochodzącej ze zubożałych ziemian córki tradycjonalistycznego ojca, była trudniejsza.

Hanna jako artystka pozostawała długo w cieniu męża, Jana Cybisa, który zresztą porzucił ją w czasie wojny; po wojnie uczyła na krakowskiej ASP. Dorota natomiast, zamordowana przez Niemców, zniknęła jakby z pamięci nawet ludzi jej bliskich. Ciepłe wspomnienie poświęcił jej w 1945 r. kolega-kapista Tadeusz Piotr Potworowski, nie pojawia się natomiast w esejach innego kapisty Józefa Czapskiego, tak wrażliwego na tematykę Zagłady. No i niewiele jej obrazów ocalało, choć te, które możemy oglądać, dobrze świadczą o jej talencie. A listy cytowane przez autorkę świadczą też, jak hojnie wspierała przyjaciół-malarzy i jak skutecznie wcielała się w rolę ich marszandki, szukając nabywców na obrazy. Hanna o tym pamiętała.

Zmartwychwstaje w tej książce wiele światów: salony obwieszone płótnami, które w większości uległy zniszczeniu albo zostaną rozkradzione podczas wojny, cukiernie i kawiarnie Krakowa, Warszawy i Paryża, pracownie artystów z przeciekającymi dachami, no i cyganeryjne szaleństwo we Francji. „Życie kapistów” – pisze Mańkowska – toczyło się jak w zwariowanej fabule filmu pełnego kontrastów: od radości po smutek, od głodu po sytość, od euforii po przygnębienie i wizję katastrofy”. A potem przychodzi katastrofa prawdziwa. Odtworzenie ostatnich miesięcy życia Doroty-Dosi ścisła gardło. Czas postawić kropkę. ©

OLGA

Drenda:

O nielubieniu



NIE JEST TO ZAPEWNE POWÓD DO DUMY, bo być może lepiej byłoby aspirować do uniwersalnej wyrozumiałości – ale nie jest i nie będzie mi dana przynależność do hipisów. Otóż zdarza mi się nie przepadać, żywić rodzaj niechęci, a nawet uprzedzenia. Nie wobec jakichś wro-

dzonych właściwości ludzkich, na które nic poradzić nie można – bo cóż, nie można. Chodzi raczej o życiowe błahostki, drobnice – nawyki, rysy charakteru, przyzwyczajenia, które zgrzytają z moimi.

Bardzo ceniony przeze mnie prof. Bartłomiej Dobroczyński kiedyś wyznał w druku, że wieloletnią przyjaźń zakończył wskutek różnicy zdań na temat serialu „Twin Peaks”. Ja może nie podzielałam w takim stopniu tej reakcji, ale przyznaję, że coś podobnego niewiem; szanuję oczywiście bliźniego w człowieku, który np. ma silną potrzebę organizacji (która mnie dla odmiany irytuje), ale zdaję sobie sprawę, że potencjalny konflikt interesów jest nieunikniony i dlatego lepiej zachować dyplomatyczny dystans. Po prostu nie wchodźmy sobie w parady. Mnie zapewne też ktoś nie lubi z jakiejś błahiej przyczyny.

Ta niechęć czy rezerwa nie jest podszyta innym uczuciem. Może wynikać z uprzednich doświadczeń, choć nie zawsze. Najczęściej jest to po prostu zwykłe, banalne, prostackie, pozbawione podtekstów, niewymagające psychoanalizy nielubienie, rzecz brzydka, lecz ludzka. Przyznaję się do niego, bo raz, że uczciwość wobec samej siebie może i naraża na rozczarowanie, lecz oszczędza też wielu nieprzyjemności; a dwa – być może uda mi się dać dobry przykład w trudnej i zanikającej dziś sztuce niuansowania.



*Taki gość
przysiadł
czasem
na ramieniu*

OLGA DRENDA

Niuansowania, bo oczywiście niechęć czy antypatia znajdują się w pewnym niebezpiecznym spektrum. Dalej od niego leży nietolerancja, a później – wrogość. Jestem tego świadoma. Ale być może prawo do nieprzepadania otwarcie za czymś to szansa, żeby zatrzymać się na tym łagodnym etapie i nie zjeżdżać po równi pochyłej.

Jak wspomniałam, za nielubieniem nie muszą stać głębsze motywacje. Człowiek ma wiele defektów i niezrozumiałe działania, na które odpowiedź brzmi „po prostu tak mam”, do nich należą (choć można się spierać, czy to rzeczywiście taki znowu defekt). Zwyczajnie „im bardziej Puchatek zagłądał do środka, tym bardziej Prosiaczka tam nie było”. Ale żyjemy w czasach triumfu uproszczonej i często przeinaczonej wiedzy psychologicznej, która rozsnuwa obietnicę wytłumaczenia wszystkich niuansów zachowań i preferencji ludzkich.

Takim wytłumaczeniem często bywa klucz lękowy; zgodnie z nim, to lęk ma czać się za każdym rodzajem niechęci, unikania, antypatii, irytacji, braku entuzjazmu itp. Jeśli więc np. nie podoba mi się nowy, syntetyczny głos w nawigacji Google Maps, to mogę się spodziewać, że jakiś życzliwy spróbuje mnie przekonać, iż wie lepiej ode mnie, co czuję, i że z pewnością jest to „lęk przed nieznanym”. Jeśli postanawiam wybrać się np. do wróżki, to nie może motywować mnie ciekawość ani chęć niezobowiązującego eksperymentu, tylko, ma się rozumieć, lęk przed nieprzewidywalnym światem i potrzeba kontroli. Trochę jak w żartach z brodą z czasów początków psychoanalizy, kiedy to wszystko miało kojarzyć się oczywiście z tzw. jednym.

Takie wyjaśnienie jest popularne. Lęk to oczywiście emocja podstawowa, powszechna i bardzo ludzka. Zapewne też dość dobrze przebadana. Ale, co najważniejsze – do pewnego stopnia uleczalna. Taki lęk, który utrudnia życie bądź ma skłonność do pojawiania się bez powodu, można przynajmniej częściowo niwelować – czy to przez metody terapeutyczne, czy farmakologicznie. Być może chodzi o to, że jeśli założymy, że brzydkie zachowania u nas czy u kogo innego mają bazę w lęku, to da się je usunąć, a nas – naprostować, byśmy wyszli na ludzi. Jest to niewątpliwie obiecująca perspektywa.

Ale ludzie przejawiają zachowania rozmaite. Mam przypuszczenie, że w tym zbiorze mieszczą się i takie, które wyjaśnić nie tak łatwo, a jeszcze trudniej się z nimi pogodzić. Oprócz niechęci może być to np. złośliwa satysfakcja, mściwość, przyjemność z nękania bliźniego, potrzeba rozróby, skłonność do konfabulacji i innego rodzaju, nazwijmy to, grzeszki. One nie muszą być dożywotnim przeznaczeniem; bywa, że ulatniają się same, że egzorcyzmuje je samo życie. No ale są, i niekoniecznie u ich źródła leży coś sterowalnego. A jeśli przyjąłbyśmy do wiadomości, że bywamy niesterowalni, nienaprawialni, paradoksalni, a do tego niemili i przykrzy, to co by się stało?

©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo: Święto światel



SZEŚĆ ŚCIANEK Z CZEKOLADY DO DELIKATNEGO oddzielenia, zanim zatopi się zęby w piance. Pomaga, jeśli ptasie mleczko wcześniej się mocno schłodzi, albo wręcz zamrozi. Wy też tak je zjadaliście w dzieciństwie? Analogicznie, nie mógłbym się związać z nikim, kto

wcinał delikacje od razu, a nie obgryzał najpierw biszkoptowy krążek dookoła, żeby dopiero na koniec poczuć smak galaretki. To kwestia strategii przyjemności, ale też analitycznego podejścia do poznawania świata. Decyzji, że możemy świadomie, działając wedle planu, podzielić doświadczenie na warstwy, stopnie i etapy, dzięki czemu dowiemy się wreszcie, chociaż na moment, o co z tym życiem chodzi.

Mniej więcej tych samych różnic dotyka spór o ułożenie garów w zmywarce, ukryta siła napędowa wielu rozstań i rozwodów. Ale dzisiaj zero zmywania, szkoda zachodu z robieniem domowych pianek marshmallow, skoro mamy ptasie mleczko (ale tylko w oryginalnej wersji waniliowej, bez żartów proszę!). Bądźmy amerykańscy do cna, kupujemy wszystko gotowe i zafoliowane – w ten dzień, kiedy zamieniamy się w Amerykanów. Czy raczej ich udajemy, jak podświetlona świecą wyszczerzona dynia udaje w tę noc czystocową duszę.

Ciepłej spojrzałam na halloweenową estetykę, kiedyś doczytał, że pierwotnie w Anglii i Irlandii była to wydrążona rzepa – znacie moją miłość do niej, toż my z niej wszyscy, cóż tam dynia, wciągnięta do obyczaju dopiero w Ameryce. A te bandy bachorów, którym wciskamy pośpiesznie zakupione batoniki i inne śmiecie w sreberkach – to dalekie echo dzieci z dalekich północnych hrabstw uprawiających *souling*: była to obietnica modlitwy za dusze zmarłych krewnych w zamian za „duszone ciastka”, czyli okrągłe wypieki, mocno doprawione angielskim zieleńcem i gałką, z obowiązkowym znakiem krzyża – żeby było jasne, że łakomstwo jest tu furtką do ścieżki ku wyższemu głodom.

Fascynuje mnie skojarzenie obrzędów wokół grobów z mocno doprawionymi wypiekami – rozmaite „chleby zmarłych” znajdziemy w prawie każdym z hiszpańskich regionów, w wielu miejscach Hiszpanii i Portugalii. A i u nas jest ta paskudna pańska skórka, którą nasz przesytny komercyj-

nymi słodyczami trzyma na cementarnych straganach. Słodki smak, cukier, syrop, suszone owoce, wyraziste przyprawy jako emblematy życia i jego energii, lykane niczym lek oddalający śmierć? Pilnuj, kucharzu, swej chochli i zostaw lepiej kształconym te sprawy!

Z chęcią się cofnę, bo to się staje pokrecone ponad siły mojego umysłu. Przeglądam w tych dniach na fejsie czy Instagramie nadal aktywne, nieskasowane profile pochowanych ostatnio znajomków i druhów. Będą tak wisieć na wieki, nie domknęci cyfrowo, jakby nie wszystkim umarli – a może po prostu nie wszystkim żyli? Przynajmniej w tej części dnia i nocy, jaką media społecznościowe zapewniają prawie każdemu i każdej – z każdym rokiem i każdym rocznikiem w coraz większym wymiarze. Życie nie całkiem ujęte w kontur, jakby je mało wał impresjonista. Wszędzie i nigdzie, w dziesięciu konwersacjach o niczym naraz, w domu z wrażeń, a nie z cegieł: próżnia bez szczęścia, ale i bez lęku, bo jak się nie całkiem żyje, to się i nie całkiem umiera. Adres elektroniczny w chmurze jest bezpieczny, bo śmierć wciąż przysyła swoje wezwania poleconym pod konkretne drzwi.

Taki nie całkiem i na niby jest też ten nasz Halloween, sympatyczny, ale udawany, bezpiecznie oddzielony od śmierci, którą nasz język do niedawna przynajmniej oswajał przez kościelne pieśni i zaduszne obrzędy, świeczki i kwiaty – zresztą obecnie ten rodzaj ikonografii rozdzieliśmy do skali takiego kiczu, że w ogóle nie widać, co jest za jego zasłoną. Pal sześć, że to import, ale żeby chociaż smaczne ciastka dawali! Takie jak na diwali, które w tym roku Indusi zaczynają akurat w ten czwartek. Mało jest ich w Polsce, więc nie zobaczycie tego łatwo na ulicy, chyba że mieszkacie w podwarszawskim Raszynie. Święto światel i życia, pełne świec, kwiatów i słodyczy – dam wam przepis na proste laddu z kaszy manny. Z punktu widzenia łasucha nie mogło być lepszej koniunkcji.



Rava laddu

210 g kaszy manny 100 g cukru pudru

125 ml gorącego mleka 3 łyżki klarowanego masła

Po 1 łyżce rozdrobnionych nerkowców i rodzynnek

2 szczypty kardamonu ■ kilka słupków szafranu

Podsmażamy delikatnie przez minutę **rodzynki i nerkowce** na **łyżce masła**, odkładamy. Na tę samą patelnię dodajemy resztę **masła** i bardzo ostrożnie prażymy **kaszę**, ciągle mieszając, aż będzie złota; to może zająć nawet 10 minut. Chwilę studzimy, dodajemy **cukier, nerkowce**, mieszamy i wlewamy pomału **mleko**, w którym rozpuściliśmy uprzednio **szafran**, aż uzyskamy masę, z której da się lepić kulki około dwucentymetrowej średnicy. ©©



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

JAK ŻDŹBŁA TRAWY

Mój Nowy Jork to fragmenty miast,
których nigdy tak naprawdę nie widziałam.

JULIA FIEDORCZUK

PAMIĘTAM SIEBIE JAKO DWUDZIESTOPAROLETNIĄ POETKĘ przed debiutem książkowym, ślęczącą z ciężkim, papierowym słownikiem nad odbitym na ksero tomem „The Double Dream of Spring” Johna Ashbery’ego. Zawile terytorium pamięci przypomina wczesne obrazy Giorgia de Chirico, choćby ten z 1915 r., którego tytuł Ashbery wykorzystuje jako tytuł książki.

„Podwójny sen wiosny” przedstawia skrawek dziwnego, pustego pejzażu z widocznymi w oddali sylwetkami ludzi. Tylko skrawek, bo na pierwszym planie znajduje się ustawione na sztalugach płótno ze szkicem jakiejś skomplikowanej konstrukcji architektonicznej, przy czym budynek zawiera w sobie fragment tego, co na drugim planie. Głowa kamiennego mężczyzny po lewej stronie rymuje się wizualnie z widoczną po prawej stronie obrazu głową manekina. Co tu jest rzeczywistością, co przedstawieniem? Kto śni, a co stanowi treść snu?

Wśród słupów

Hipnotyzujące obrazy włoskiego artysty odkrywałam w spiralnej przestrzeni nowojorskiego Muzeum Guggenheima (duża wystawa o surrealizmie, rok 1999). Puste place, długie cienie, nielogiczna perspektywa: przeczytałam gdzieś, że wczesne pejzaże de Chirico śniły o wieżowcach Manhattanu. Nie wiem, czy to prawda, za to ja rzeczywiście dużo w tamtym czasie śniłam, nie tylko o Ameryce, chociaż o niej też, „żeby się zgubić pośród trzynastu milionów słupów trawy,” jak to ujął Ashbery w wierszu pozlepianym jak kolaż z różnych skrawków amerykańskiej mitologii i popkultury.

Kiedy w amerykańskim wierszu pojawia się trawa, po prostu nie da się nie pomyśleć o Walcie Whitmanie. „Żdźbła trawy” (1855) to jedna z najsłynniejszych książek poetyckich wszech czasów i ważne źródło dla różnych nurtów poetyckich, także tego, z którego wyłoniła się tzw. „Szkoła Nowojorska” (nazwa odnosiła się w pierwszym rzędzie do dominującego w malarstwie lat 50. ekspresjonizmu abstrakcyjnego, z czasem objęła również poetów). Nie była żadnym formalnym ugrupowaniem, składała się po prostu z kilkorga przyjaciół – najbardziej zapamiętaliśmy właśnie Ashbery’ego, ale też Franka O’Harę i Jamesa Schuylera.

Nowojorczycy wstrząsnęli powojenną poezją przeciwstawiając eleganckim, akademickim formom nieskrępowaną inwencję językową i humor. „Słupy” (oryg. *pillars*) z wiersza Ashbery’ego nie są tym samym, co „żdźbła” (a ściślej, „liście”, *leaves*) trawy z książki Whitmana, a jednak zachodzi między nimi jakieś pokrewieństwo. Czyżby delikatne żdźbła z biegiem czasu właśnie tak zогromniały, że stały się potężnymi filarami, na których wspiera się nowoczesna poezja?

Zabawny i nieco surrealistyczny wiersz Ashbery’ego jednocześnie uznaje wpływ Whitmana – jednego z trzech poetów, których O’Hara uznawał za „lepszych od kina” – i ironicznie go podważa. Wędrowka „pośród trzynastu milionów słupów trawy” to także klasyczna amerykańska podróż, oczywiście samochodem, najlepiej na zachód (wtedy „słupy” mogą być telegraficzne). Oklepany topos uruchamia takie słowa: jest to w końcu sen, sen o Ameryce.

Na wyspie

Stoję pośrodku ogromnej hali dworca Port Authority, wraz z grupą innych studentów z Polski zakwalifikowanych do programu wymiany kulturowej „Interexchange”. Czekamy na autobusy, które rozwieżą nas po Ameryce do prac, które będziemy wykonywać przez kolejne 3 miesiące. Szukam toalety, ale nie ma toalet, są tylko pokoje wypoczynkowe, *restrooms*. Swoją drogą to świetnie, myślę, że istnieją takie pokoje, tylko nie jestem pewna, czy wolno mi z takiego przybytku skorzystać.

Jestem bardzo zmęczona, pierwsze noce na Żółtej Wyspie spędziłam w motelu gdzieś w Chelsea (nie był to jednak słynny Hotel Chelsea, w którym mieszkowała Nico z Velvet Underground i gdzie Sid Vicious zabił Nancy Spungen), było za to głośno i duszno. Nie mogliśmy spać, więc wędrowaliśmy kanionami ulic w górę Manhattanu w poszukiwaniu jedzenia i picia. Choć mam za sobą trzy lata studiów anglistycznych, wierzę, że „sklep” to po angielsku „*shop*”, jest to ten zenujący moment, kiedy język, który uważało się za w miarę opanowany, okazuje się w praktyce działać bardzo słabo.

Tamtego wymiętego ranka na Port Authority dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że *restroom* to eufemistyczne określenie toalety i owszem, mam prawo z niej skorzystać.





Informacja o śmierci artystki rzuca nowe światło na lipcowy poranek. Kiedy O'Hara wyszedł z domu, a następnie wędrował od sklepu do sklepu, jadł kanapkę, kupował alkohol, papierosy, tomik Verlaine'a i inne prezenty dla ludzi, do których wybiera się z wizytą – ona już nie żyła. Za każdym razem, kiedy czytam ten wiersz, wstrzymuję oddech. Billie Holiday szeptała, bo po utracie tak zwanej „Cabaret Card” (karty identyfikacyjnej zezwalającej na występowanie w miejscu, gdzie sprzedaje się alkohol) nie miała prawa śpiewać w Nowym Jorku. I choć straciła tę kartę z powodu używania narkotyków, to był to także policyjny sposób na ograniczenie działalności czarnoskórych artystów, zwłaszcza tych, których przesłanie komplikowało amerykański sen.

Cedar Tavern działała jeszcze w czasie tamtej mojej pierwszej podróży (zamknęła się na początku XXI w.), Five Spot Café już od dawna nie. Greenwich Village, Bowery i Chelsea zdążyły się zgentryfikować, po dawnej artystycznej przeszłości pozostały głównie wspomnienia i formy konsumpcji nieco ciekawsze od tych obowiązujących w górnej części Manhattanu, przeobrażonej w bardzo drogie centrum handlowe. Już wtedy trudno było uwierzyć, że jeszcze w latach 50. i 60. artyści zjeżdżali do „Village” z powodu niskich kosztów utrzymania.

Współcześnie ślady artystycznej przeszłości mają charakter pomnikowy. W lipcu 2017 r. na nowo otwartej stacji metra przy 86 ulicy pojawił się mozaikowy portret Lou Reeda (wykonał go Chuck Close). W Battery, dużym parku na samym dole Manhattanu, z widokiem na rzekę Hudson i port, od 2006 r. sąsiadują ze sobą cytaty z O'Hary i Whitmana. Starszy poeta, którego pamiętamy jako piewcę natury, ➔

Później odnotuję, że specyficzna skłonność do eufemizmów jest wpisana w amerykańską odmianę angielszczyzny, swego rodzaju eufemizmem jest także nazwa naszego programu: o ile wiem, nikt nigdy w jego ramach nie przyjechał z USA do Polski, czemu więc *exchange*?

Nad klawiaturą

Tamtego lata zadzwoniłam, raz, do Johna Ashbery'ego: odezwała się sekretarka automatyczna, ale nie miałam odwagi zostawić wiadomości. Zamiast tego pojechałam odwiedzić Cedar Tavern w Greenwich Village. W latach 50. przesiadywali tam malarze, muzycy i literaci: Allen Ginsberg, John Cage i, oczywiście, Frank O'Hara, który czasem pisywał wiersze na serwetkach koktajlowych.

Niedaleko znajdowało się studio ekspresjonisty Roberta Motherwella, kilka ulic dalej – The Five Spot Café, gdzie występowali artyści tacy jak Thelonious Monk, Ornette Coleman czy Billie Holiday. To właśnie tam Lady Day „nad klawiaturą” szeptała Malowi Waldronowi piosenkę w jednym z najpiękniejszych nowojorskich wierszy, jakie kiedykolwiek czytałam. Mam na myśli „Dzień w którym zmarła Lady Day” O'Hary, klasyczny przykład poetyki typu „robię to, robię tamto”, czyli opis jego zwykłych czynności, zwieńczony jednak wstrząsem na widok jej twarzy – twarzy Billie Holiday – na okładce gazety „New York Post”.

Obok: Greenwich Village,
2017 r.

Powyżej: Port Authority Bus
Terminal, 2019 r.



FELIX STAHLBERG / CC BY 4.0

→ zachwycał się nowoczesnym miastem okrętów, wysokich fasad, marmuru i żelaza.

Młodszy wyznawał: „Nie umiem nawet docenić żdźbła trawy, jeśli w pobliżu nie ma stacji metra, sklepu z płytami czy jakiegoś innego dowodu na to, że ludzie choć trochę lubią życie”. Człowiek potrzebuje sklepu z płytami, żeby docenić żdźbło trawy. Czy podobna myśl spodobałaby się Whitmanowi? Niewykluczone. Ginsberg wyobrażał sobie Whitmana w supermarkecie „polującego na obrazy” („*shopping for images*”), ale to było w Kalifornii. Już nie pamiętam, czy w czasie moich pierwszych wędrówek po Chelsea, Village i Battery kupiłam jakieś płyty, na pewno mnóstwo książek, wiele z nich nadal mam na półkach. Pracowałam jako *housekeeper* (to po amerykańsku sprzątaczką), a potem także jako kelnerka. Angielski powoli zaczynał działać.

Z psem

Dwanaście lat później i nieco na zachód, West Village, okolice Canal Street: stoję na chodniku przed jakąś kawiarnią, nie zanotowałam nazwy. Jestem bardzo przejęta, bo mam za moment poznać Laurie Anderson. Artystka będzie gościłą festiwalu Ars Cameralis w Chorzowie (to część trasy o tytule „*Transitory Life*”), a ja mam przetłumaczyć tekst jej występu, umówiliśmy się, żeby porozmawiać o tym tłumaczeniu, przyszłam za wcześnie.

Układałam sobie w głowie, co powiem: że to opowiadactwo, te długie frazy, ten żywy, kolokwialny język – to przecież z Whitmana. Że odbieram jej teksty jako jednocześnie amerykańskie i wyrotowe, i tak dalej, żeby tylko zamaskować paraliżującą nieśmiałość i spróbować zrobić jak najlepsze wrażenie. Wreszcie wchodzi do środka. Po chwili przychodzi także Laurie Anderson – z mężem (Lou Reedem) i suczką (Lolabelle).

Witamy się, a dosłownie moment później zaczyna dzwonić budzik w moim telefonie (to jeszcze nie smartfon), panicznie szukam go w torebce – i to by było na tyle, jeśli chodzi o robienie wrażenia. Tak bardzo się stresuję, że zamiast raz a dobrze wyłączyć alarm, wiele razy z rzędu wciskam „drzemkę”, w konsekwencji naszą pierwszą rozmowę uparczywie przerywa sygnał mojego budzika. Laurie twierdzi, że całkiem jej się to podoba. Lolabelle patrzy na mnie przenikliwym psim wzrokiem i wie wszystko.

„Serce psa”, film Laurie Anderson z 2015 r., będzie elegią dla Lolabelle (i dla Lou). Szczekanie Lolabelle słychać w utworze „*Bodies in Motion*” ze wspaniałej płyty „*Homeland*” (ukazała się w czerwcu 2010 r., kilka miesięcy po tamtym naszym spotkaniu).

Przez ulicę

Nowością jest High Line, park utworzony na estakadzie dawnej linii kolejowej West Side. Rozciąga się po zachodniej stronie Manhattanu, przez całą długość Chelsea, do Hudson Yards. Deptak, z którego widać dachy budynków – i rzekę. Tam idę, kiedy udaje mi się wreszcie wyłączyć budzik.

Dzięki Laurie Anderson West Village kilkakrotnie była moją przystanią w ciągu kolejnej dekady. Szczególnie pamiętam wczesną wiosnę 2015 r., w Polsce dopiero co wyszła moja „*Nieważkość*”, byłam zmęczona i trochę przybita,

przystanek w Nowym Jorku był częścią dłuższej trasy i cieszyła mnie możliwość zatrzymania się na parę dni w miłym miejscu. Dość regularnie wtedy biegałam. Moja trasa prowadziła od Canal Street na zachód do rzeki Hudson, następnie w dół wzdłuż wybrzeża do Battery Park. Wracałam powoli, codziennie inną drogą i pewnego razu trafiłam na antykwiariat z wystawionymi na chodnik skrzynkami pełnymi przecenionych książek. Moją uwagę przykuła broszura o domowej hodowli krocionogów i karaluchów.

„Bierzesz dla syna?” – zapytała antykwiariuszka, która nie wiadomo kiedy znalazła się tuż obok mnie. Była to stara kobieta o pięknej, bardzo pomarszczonej twarzy, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że już ją gdzieś widziałam – może w jakimś filmie? „Nie mam syna – odparłam – biorę dla siebie”. „Hodujesz karaluchy?” – drążyła. „Jeszcze nie – podjęłam grę. – Ale może niedługo kupię sobie jednego”. Doradziła mi, zupełnie poważnie, żeby od razu kupić dwa, wyjaśniając, że to dobre na *taniec*. „Kiedy będziesz przechodziła przez ulicę o, stamtąd – wskazała ręką kawiarnię po przeciwnej stronie – do tutaj – teraz wskazała dłonią na swoje serce – będziesz tańczyła”.

Najwyraźniej mój Nowy Jork miał pozostać nieco surrealny. Broszurę o domowej hodowli krocionogów i karaluchów – pięknie ilustrowaną – posiadam do dziś, choć nigdy nie kupiłam karalucha (ani dwóch). Z tekstu broszury bije entuzjazm, być może jej autorką była moja antykwiariuszka? Zawsze, kiedy znajduję się w tamtej okolicy, czuję, że trochę tańczę. Laurie Anderson ujmuje to inaczej: „Idziesz / I nie zawsze o tym wiesz / ale zawsze spadasz. / Z każdym krokiem lekko pochylasz się do przodu / A potem powstrzymujesz się przed upadkiem. / Raz po raz spadasz. / A potem powstrzymu-



U.S. DEPARTMENT OF AGRICULTURE // CC BY 2.0

jesz się przed upadkiem. / W ten sposób można jednocześnie iść / i spadać”. („Język przyszłości”, „20”, tłum. JF).

Na skwerku

Kilka lat później, nieco na wschód i w górę, ulica Lafayette (całkiem niedaleko od Saint Mark's Place, gdzie dawniej znajdowała się Five Spot Café). Na chodnikach mnóstwo kwiatów, właściwie nic innego nie widać, tylko kwiaty: parę tygodni wcześniej zmarł David Bowie. Idąc dalej w górę, niemal dokładnie środkiem Manhattanu, trafia się do słynnej księgarni The Strand. Żałoba w stylu O'Hary: kupuję sobie zbiór wywiadów z Marcelem Duchampem.

Luty 2024: wzdłuż parku High Line wyrosły ekskluzywne wieżowce, podobno jest to jedna z głównych atrakcji turystycznych Nowego Jorku. Spełnienie marzenia o sytuacji doskonale pastoralnej: wędrując wzdłuż dawnej estakady, będącej materialnym śladem po epoce pociągów, tych paradygmatycznych maszyn przecinających dzikość nowego kontynentu, można podziwiać więcej niż tylko żółtą trawę. Wspaniałe ogrody łączą przyrodę ze sztuką, chętni mogą uczestniczyć w rozmaitych wydarzeniach i aktywnościach (od podglądania gwiazd po imprezy z okazji Halloween).

Tym razem jednak wiem to wszystko wyłącznie z drugiej ręki – nie mogę wybrać się na spacer ani tam, ani właściwie nigdzie. Parę dni wcześniej nie zauważyłam stromego schodka, potknęłam się niefortunnie i coś chrupnęło mi w stopie. Dopiero po powrocie do Polski będę mogła ustalić, co dokładnie się stało (dla porządku: złamanie kości śródstopia), tymczasem kuśtykam w ortezie i o kuli. Wysiadam na stacji metra Sheridan (tuż przy Stonewall) i bardzo, ale to bardzo powoli wychodzę na powierzchnię. Nowy Jork, a zwłaszcza

Manhattan, nie jest łatwym miejscem dla kulejącej osoby. Szukam „małego trójkątnego skwerka”, o którym wspomniał w mailu Eliot Weinberger, kiedy tłumaczył mi, jak dotrzeć do restauracji, w której zjemy lunch. Ma to być miejsce, gdzie „słyszysz, co mówi osoba siedząca po drugiej stronie stołu”.

Długo idę od stacji, mam wrażenie, że wszyscy wokół pędzą. Moje ciało nie znało dotąd takiego tempa. Ma to pewien urok – poznawanie ruchliwego miasta z perspektywy żółwia. Wreszcie docieram na miejsce, Eliot już tam jest, z ulgą opadam na krzesło i nie wiem który już raz w ciągu ostatnich dni opowiadałam o moim idiotycznym wypadku. Rzeczywiście jest cicho, rozmowa toczy się od tematu do tematu – od anioła do innego (znajomego) anioła – i jest sednem tej podróży. Spędziłam ją, jak ekscentryczny francuski pisarz Raymond Roussel (ważny dla Ashbery'ego) – głównie w pokojach hotelowych.

Odrzucam się powoli, moja poturbowana noga odpoczywa. Zgentryfikowane miasto, pełne bogatych ludzi przebranych za hippisów i bitników oddala się nieco, przybliża się za to inne – to znane z wierszy (i snów). Wyśnione – w szczególności – miasto pojawia się w wierszu „Instrukcja obsługi” Ashbery'ego (z opublikowanego w 1956 r. tomu „Some Trees”). U Ashbery'ego jest to konkretnie Guadalajara, miasto „które najbardziej chciałem zobaczyć, i którego najbardziej nie zobaczyłem, w Meksyku”. Ashbery wyobraża sobie jakieś święto na rynku, znajduje się tam „małe wymyślne podium dla orkiestry”, a obok kwaciarki „rozdają różane i cytrynowe kwiaty”. Trwa „parada par”, choć jest to w istocie parada barw.

Sama ze sobą

Mój Nowy Jork to fragmenty miast, których nigdy tak naprawdę nie widziałam. Lata 50., Frank O'Hara siedzi przy stoliku w Five Spot Café, obok Larry Rivers, malarka Grace Hartigan i Kenneth Koch. Grace patrzy w kierunku środka sali, kogoś tam widzi. Frank mówi coś do niej, wyraźnie zaafektowany. 1966: przyjeżdża Laurie Anderson. Chwilę wcześniej ruszyła „Fabryka” Andy'ego Warhola, Velvet Underground już działa. Nadal jest tanio, „rynek sztuki” podobno nie istnieje. „Bardzo dużo gadaliśmy”, wspomina Laurie Anderson. Znam tylko to, co dobre, bo to wspomnienia i sny. 1974: (wciąż jeszcze nie ma mnie na świecie) Laurie Anderson ma na sobie łyżwy, łyżwy tkwią w lodowym bloku.

Artystka gra na skrzypcach uruchamiając jednocześnie muzykę elektroniczną z nagrania – w ten sposób wykonuje duet „sama ze sobą”. To jeden z pierwszych performance'ów tej niebywale wszechstronnej artystki, która jednak mówi o sobie, że uprawia „najstarszy zawód świata”, czyli jest opowiadaczką. Lodowy blok topi się stopniowo, performance skończy się, kiedy skrzypczka straci równowagę. „Cóż więcej moglibyśmy zrobić, jeśli nie zostać?” – retorycznie pyta Ashbery w „Instrukcji obsługi”. © JULIA FIEDORCZUK

Autorka jest pisarką, poetką, tłumaczką i wykładowczynią literatury amerykańskiej. Na początku listopada ukaze się jej najnowsza książka poetycka pt. „Głif”.

Obok: High Line Park, Nowy Jork, 2015 r.



STANISŁAW

Mancewicz:

O wilku mowa



ZAUWAŻYĆ NA POCZĄTKU WYPADA, ŻE POPRZEC ŁADUNEK ZAWARTY W OKREŚLENIU „inteligencja” polska zdolność pojmowania nowoczesności kuleje. Słowo „inteligencja” w polszczyźnie nie ma nic wspólnego z automatyzacją czy robotyzacją na dowolnym poziomie za-

awansowania, ale jest w tych kontekstach dziś używana. Niby wszyscy to wiedzą, ale – jak to w Polsce – i tak się boimy. W polszczyźnie „inteligencja” występuje jako chwalebny przymiot umysłu, bądź jako określenie warstwy bądź klasy społecznej.

Powiało się ongiś, że ktoś należy do „inteligencji pracującej”, a dotyczyło to ludzi z wykształceniem akademickim, chodzących do biura. Inteligencja niepracująca – to ciekawe – w polszczyźnie nie istniała. Ukończone studia do bycia inteligentem jednak nie wystarczały, potrzebny był jeszcze etos. Bez etosu można było być najwyżej półinteligentem bądź ćwierćinteligentem. Dziś zdaje się te wszystkie określenia zaszły mocno patyną i mało kto ich używa, robią to zaledwie ludzie obecni umysłowo i emocjonalnie w czasach dawno minionych – tak jak my, tu ponuro siedzący. Inteligent wiele razy w Polsce był ofiarą i celem. Inteligencja, zwłaszcza jej rola w historii, była, bywa, a jej niedobitki będą bywać, celem ataków bądź sztyderstw. Inteligencję łatwo obwiniano o co się tylko dało. Celowali i celują w tym ćwierćinteligenci właśnie. A więc nie podobała się miękkość, oportunistyczny, wyobcowanie, oderwanie, skłonność do cieniowania, przykra zdolność do adaptacji oraz nadmiar (bądź szokujący brak) pobożności. Słowem życie inteligencji bywało ciężkie, bywała ona i bywa winna wszystkiemu, bo taki jest w Polsce los wszystkich za wiele myślących.

By nie popadać w bezbrzeżny smutek, rzecz trzeba, że inteligent polski miewał chwile chwały i zasług. Zasługą rzadko dającą do myślenia jest nazwa własna, a mamy tu na myśli „literatkę”. Wedle znalezionych definicji w internecie literatka to naczynie „codziennego użytku, służące do picia wódki”, o pojemności minimum sto, a maksimum dwieście mililitrów. Słowem literat, a więc także i inteligent, pił literatkami. Na dzisiejsze standardy jest to – każdy przyzna – niemało. Być może literatka miała być ostatnim śladem obecności inteligencji w polskiej kulturze, jak nosorożec włochaty w stanie mumifikacji. Miała, bowiem nadeszła era inteligencji sztucznej. Dla wielu obywateli pretensje wobec starej inteligencji gładko przerozdziły się w niechęć wobec inteligencji nowej.

Oto byt cyfrowy – poprzez okoliczność wyłącznie lingwistyczną – uzupełnił lęki i pretensje wobec bytu opartego na homeostazie, metabolizmie i rozmnażaniu. Sztuczna inteligencja przestrasza dziś bardziej niż białkowa. W spisie jej wad na pierwszym miejscu widzimy dziś zdolność do naśladowania głosów. Rzecz jasna, mało kto się boi, gdy utalentowany artysta naśladuje szczekanie psa czy ćwierkanie wróbelka, gdy zdolny imitator niespodziewanie miauknie na widok myszki – wtedy jest nawet śmiesznie. Gdy jednak usłyszymy głos człowieka zmarłego... Żarty się kończą. Dawniej takich zdolniaków na wszelki wypadek palono na stosie, dziś stosy są wirtualne, ale nie bezpachowe.

Na koniec przypomniły nam się przygody Czerwonego Kapurka. Zwłaszcza wilk, obecny w tym nieśmiertelnym dziele kultury ludzkiej. Kto dziś pamięta, że ten łobuz umiał znakomicie udawać głosy, zarówno babci, jak i osoby nieletniej? Wilk, postać niemoralna, mięsożerna, obciążona odrażającą tradycją swego stada, chępiąca się brakiem zasad, do dziś budzi uczucie najgłębszej odrazy. Historia kołem się toczy. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

HALLOWEENOWY PREZENT

Prapremiera słuchowiska Olgi Drendy tylko dla subskrybentów „Tygodnika”

Zapach obróbki skór upijał całe Rybitwy, a w niskim hallu garbarni był jeszcze ostrzejszy. Swędział głęboko między nozdrzami a czołem.

Matka S. węszyła zachłannie. Szła za Czapłą korytarzem, po schodach, korytarzem.

Łopatki odstawały od miękiszu. Głowa wisiała na szyi, ciążyła ku posadzce z szarego lastryko.

Minęli wiele drzwi, pomieszczeń wynajętych od zakładu na biura albo fikcyjne biznesy.

Przy gabinecie tabliczka: J. K. Czapla. Hipnoza, sugestia, analgezia.

Czapla uchylił okno. Żabi kolor ścian zlewał się z zapachem w błoto, ciężko nim było oddychać, jeszcze ciężiej wcisnąć w nie słowa.

– Odcięli mu dłoń – Matka S. zaczęła rzeczowo. Czapla milczał, robił miejsce dla słów.

– A on sądzi, że zabrali mu duszę.

„CHASZCZE. AUTHENTIC KRAKÓW EXPERIENCE” to słuchowisko według pomysłu i koncepcji artystycznej **OLGI DRENDY**, z tekstem laureatki Nagrody Conrada **ELŻBIETY ŁAPCZYŃSKIEJ** (powyżej publikujemy jego urywek), muzyką **MICHAŁA STĘPNIA** oraz animacjami **YANY MAROZ** (ich fragment jest tłem tego ogłoszenia).

Prapremiera słuchowiska, składającego się z czterech opowieści, odbędzie się w serwisie „Tygodnika” 30 października.

Całość dostępna będzie wyłącznie dla subskrybentów i subskrybentek „Tygodnika”.

Subskrybuj na www.TygodnikPowszechny.pl/kup i jako pierwsza/pierwszy wysłuchaj premiery słuchowiska (nie tylko) na Halloween.



Weź, czytaj i przestrasz się z nami!

SUBARU CROSSTREK

GOOD
VIBES
ONLY



SAMOCZODY SUBARU
SĄ OBJĘTE 8-LETNIAŁ GWARANCJĄ
SUBARU SAFE8

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**



LAT
GWARANCJI

SUBARU SAFE8



SUBARU

SUBARU
ZALECA
PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY
SUBARU

KERATRONIK
Kompleksowe systemy GPS

warta.

Santander
Leasing

ENEOS
MOTOR OIL

YOKOHAMA